



Т Е К А

W I L E Ń S K A

W Y D A W A N A

P R Z E Z

J A N A Z E Ś L I W I N A .

Numer pierwszy.



W I L N O

**Drukiem Teofila Glücksherga,
Księgarza i Typografa Wileńskiego Naukowego Okręgu.**

1857.

Chyba 25 J

Т Е З А

W I L E Ń S K A

W Y D A W A N A

J A N A Z E S L I W I N A.

Numer pierwszy.

W I L N O

Drukłem Teofila Glücksberga,
Księgarza i Typografa Wileńskiego Naukowego Okręgu.

1857.

D-[or] 10/89

WILNO

AWA W A C Y W

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, dnia 24 Czerwca 1857 roku.



Cenzor, PAWEŁ KUKOLNIK.

05358

numer bieżący.

WILNO

Księgarnia i Typografia Wileńskiego Naukowego Ośrodka



SPIS RZECZY.

	stronica.
Franciszek z Assisu, przez Wł. Syrokomlę	1.
Trzy promienie ducha, przez Karolinę Proniewską	16.
Piastunka. Relikwie z pocziwój przeszłości, przez Adama Pługa	22.
Dydaktyka B. F. Trentowskiego (Urywki)	77.
Kwestye żywotne, przez Pirogowa, przekład z Rossyjskiego przez K. Szlagiera	134.
Mińsk, przez Wł. Syrokomlę	173.
O Ziemianach podług dawnych praw Litewskich, przez M. Malinowskiego	233.
Krótki zarys historyi literatury Czeskiej, przez Ludwika Rittersberga (z Pragi Cz.)	251.
List Professora Z. (z Pragi Czeskiej)	273.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Raz, drugi.

Na ziemię nawieje,

I w górę pociągnie,

Na ziemię wytryśnie,

Jak deszcz z nieba, jak z nieba.

Niech w jeden dzień

Pelagry świat cały,

I niech się woda

Potężna pędzi chłodem

Bożanka iłłowi, bożanka

1857

1	Franciszek z Assisii, przez Wł. Syrokomlę
16	Trzy promienie ducha, przez Karolę Pionowską
22	Pisanki. Relikwie z pocztów, przez Adama Pługa
27	Dydaktyka B. F. Trentowskiego (Utyki)
	Kwestye żywość, przez Piotrowa, przekład z Hołystyńskiego
134	przez K. Szlagiera
172	Miśka, przez Wł. Syrokomlę
	O Ziemianach podług dawnych praw Litewskich, przez M. Mał-
233	nowskiego
	Krótki zarys historii literatury Czeskiej, przez Ludwika Ri-
251	terberga (z Pragi Cx.)
272	List Profesora Z. (z Pragi Czeskiej)

FRANCISZEK Z ASSISU.

KANTATA

PRZEZ

WŁADYSŁAWA SYROKOMŁĘ.

N^o 1.

CHÓR.

Aniołów i ludzi
I ptaszek śpiewanie
Niechaj się rozbudzi,
Niech głośną zostanie
Wszelchświata modlitwa poranna;
Raz, drugi i trzeci
Nad ziemią zawisnie,
I w górę polecie,
Na ziemię wytryśnie,
Jak deszczyk majowy, jak manna.
Niech w jedno uczucie
Połączy świat cały,
I zleje się w nócie
Potężna pieśń chwały:
Hozanna królowi, hozanna!

On w piersiach aniołów i ludzi i ptaków
 Dał świętą potrzebę śpiewania;
 Bóg mocy niebieskich jest Bogiem śpiewaków,
 On niebo przed nimi odsłania.
 Więc kiedy nam piersi rozżarza i pali
 Do pieśni ta chęć nieustanna,
 Posłuszni natchnieniu będziemy śpiewali:
 Hozanna królowi, hozanna!

N^o 2.

RECITATIVO.

Niegdyś we Włoszech był piękny młodzieniec
 Zwany Franciszkiem z Bernardonów rodu.
 Podwójny pieśni i muzyki wieniec
 Skroń jego chwałą opasał zamłodu.
 Do dźwięków wiersza, do muzyki grania
 Namiętnym taktem jego pulsa biły;
 Lecz Niebu więcej poświęcił kochania,
 Z całego serca, ze wszystkiej swęj siły.
 Jak pierwszych wieków pustelnik sędziwy,
 Pracą, modlitwą i postem się krzepi,—
 Lubił pustynię i natury dziwy,
 Tam mu się modlić bywało najlepiej.
 Tam gdy go ogień rozpromienia Boży,
 Ukląkwszy w cieniu gałęzistym drzewa,
 Tak się zaduma, że piosnkę ułoży,
 I pocznie śpiewać, niewiedząc że śpiewa.
 Nieraz gdy gorzał w tej świętej zabawie,
 W duszy nadziejska zjawiała się siła,
 A przed oczami miewał sny na jawie,
 Kraina cudów przed nim się odkryła.
 Jednego razu w noc ciemną majową
 Na rozmyślaniach klęczał wedle drzewa;

Wtém na gałązce ponad samą głową
 Słowik czarodziej piosenkę zaśpiewa.
 Taka go rwała do śpiewu ochota,
 Że tworzył cuda gardziołkiem śpiewaczem,
 Tryska trelami, pieści się, szczebiota,
 I jakby rzewnym rozlega się płaczem.
 Franciszek słuchał, i łzy lejąc z powiek
 Głośno zawołał: »O Boże mój Boże!
 »Ja, krwią najświętszą odkupiony człowiek,
 »Czemuż tak cudnych hymnów Ci nieżłożę?
 »Bracie słowiku, nieuciekaj z drzewa:
 »Serce mi rwie się do pieśni ptaszczej,
 »Będziemy śpiewać—kto kogo prześpiewa,
 »Ten swego Stwórcę miłuje goręcej!
 I tak wydali walkę w cześć Jehowy
 Święty wyznawca i śpiewak gajowy.

N^o 3.

S Ł O W I K.

Nie wam, nie wam
 Dolecieć tam,
 Gdzie nasza pieśń dostrzeli:
 Nad piętra chmur,
 Gdzie pieją chór
 Ptaszki i anieli!

FRANCISZEK.

(Przegrywka).

On sam nauczył pieśni
 I ptaszka i cheruba:
 Nie wam, śpiewacy leśni,
 Nie wam, niebiescy, chluba!

Panu samemu cześć,
Panu samemu sława:
On pieśniom daje treść,
On dźwiękiem je napawa!

S Ł O W I K.

Znam pieśń człowieczą, znam:
To twardych słów igraszka!
Ludzie, nie wam, nie wam
Pieśnią prześcignąć ptaszka!

FRANCISZEK.

Bracie, śpiewaku drzew,
Człek się nieupokorzy:
Silniejszy jego śpiew
Nótą miłości Bożej!

S Ł O W I K.

Ptaszkowa modlitwa strzelista, głęboka!
On Pana ogląda w widniejszym zakresie,
On cuda natury ogląda z wysoka,
Modlitwę na skrzydłach do niebios doniesie,

Bez egoizmu plam,
A wyśpiewaną prościęj!...

Ludzie, nie wam, nie wam
Prześcignąć nas w miłości!

FRANCISZEK.

Bracie, śpiewaku kniej,
By godnie kochać Pana,
Wy macie środków mniej,
Bo ptaszkom iza niedana.

My czujemy-tylko sami
Urok miłości Bożej:

Gdy człowiek zlany łzami
W ziemskim się prochu korzy,

Myślą przebiega góry,
Nurtuje otchłani wody,
Przebiega czarne chmury,
Leci na xieżyc młody,

Do gwiazd, do mlecznych dróg,—

I widzi ze wszech stron,

Że wszędzie Bóg

Że wszędzie On!

On w chwale majestatu

Założył wszędzie tron:

W słońcach i w pytku kwiatu,

Wszędzie On!

Zawsze On!

A chcecie ujrzeć Mocarza,

Co słowem światy utwarza?—

Patrzcie na tej góry szczyty!

Stroma, straszna ze wszech stron!

Tam człowiek na krzyż przybity:

To On!

Z pod cierniowej korony krew' z czoła mu tryska;
Cizba widzi w nim lichy cel uragowiska.

Błaga o kroplę wody przykowan do drzewa;

A z rozdartej swęj piersi zdroje krwi wylewa,

Zdroje łaski dla ludzi— i w skonania chwili

Modli się za oprawców, co go umęczyli.

Kiedy patrzą nań ciekawi,

Gdy się znęca zgraja sług,—

Okiem światu błogosławi:

To On... to Bóg!

To miłość Boża— to duch wcielony!...

O gdzież te słowa? o gdzież te tony?

Gdzie jest piosenka, co w rym pospłata

Tę wielką miłość Boga do świata?...

Kocham Cię, Boże, całą istotą!
 Tłumne uczucia piersi mi gniotą,
 Tysiące hymnów szumi w mej głowie;
 Lecz niewyspiewam, lecz niewysłowię!
 Najwyższa pieśnią, gdy w próch się korzę,
 Jęcząc ze łzami: kocham Cię, Boże!

N^o 4.

RECITATIVO.

Ukląkł Franciszek w niebieskim zachwycie,
 Oczy wyteżył ku niebios oddali.
 Zda się, że z piersi uleciało życie;
 Ono się tylko w głębi serca pali.
 Twarz mu się mieni gorącem to zimnem,
 Snadź kipi w myślach to radość, to trwoga:
 Pierś uroczystym kołyszże się hymnem,
 Którego żaden niestłysz prócz Boga.
 A słowik, siedząc na gałęzi drzewa,
 Wysięk człeka uważa z oddali;
 Jedną piosenkę szczebiotliwie śpiewa,
 Jedną modlitwą Pana Boga chwali.

S Ł O W I K.

Ja znam, ja znam
 Moich piosenek skalę:
 Nie nam, nie nam
 Śpiewać o Bożej chwale!
 Czuł ziemski pył,
 Że mu na ziemi ciasno,
 W górę się wzbił,
 Upadł pod pieśnią własną.
 Ptaszkiowie my
 Mędrsi od ziemskich dzieci!
 Jak dusza śni,
 Tak się piosenka kleci.

Bez żadnych zmian
 Ciągniemy hymn zaczęty:
 Tyś Bóg, Tyś Pan,
 Ty święty, święty, święty!

RECITATIVO.

I na promieniach porannego słońca
 Płyną słowika czarodziejskie tony.
 Cała natura powtarza bez końca:
 »O święty, święty! o nieogarniony!«
 I cichy wietrzyk i jeziora fala
 I stare dęby i chmurki w lazurze,
 Stworzenie chórem Jehowę wychwala,
 Słowik rój wiedzie w przyrodzenia chórze.

Wtém z po za gaju, z nad wodnej wilgoci,
 Echem przypływa pieśń ziemskiego świata:
 Z blizkiego zamku, gdzie wieża się złozi,
 Odgłos piosenek biesiadnych dolata.
 Zbliża się, zbliża:— to z hucznój biesiady
 Wraca rycerstwo i orężem dzwoni;
 Za nimi śpieszą minstrelów gromady,
 Z piosenką w ustach, z harfami we dłoni.
 Z wesołym śmiechem postępuje rzesza,
 Słychać jój łoskot od wawozów góry;
 Echo jój pieśni swawolnie się mięsza
 Z uroczystymi hymnami natury.

N^o 5.

P I E Ś Ń.

JEDEN Z RYCERZY.

Héj, nie masz na świecie jak życie rycerza!
 Gdy walczy w turnieju, gdy goni na ostrze,
 Gdy piersi uzbroi, gdy ciosy wymierza,
 Gdy sztandar swój ziemi nad wójkiem rozpostrze,

A wrogów toporem nasiekłszy do syta,
Do zamku swych przodków zajeżdża gromadą;
Tam każdy rycerza wesoło powita,
Dziewica uśmiechem, trubadur balladą;
I rusza do kniei polować na zwierza!
Héj, niemasz na świecie jak życie rycerza!

C H Ó R.

Héj, niemasz na świecie jak życie rycerza!

JEDEN Z RYCERZY.

Héj, niemasz na świecie jak życie rycerza!
Niedźwiedzia lub dzika gdy wbije na ostrze,
I z łowów na powrót gdy w trąbkę uderza,
Gdy sztandar gościnny nad zamkiem rozpostrze;
A potem z drużyną, przy pełnym puharze,

Bratersko ucztuje dni całe;
Przywoła minstrelów, i śpiewać im każe
Kochanie, zwycięstwo i chwałę;
I znowu wyprawy na wrogów zamierza!
Héj, niemasz na świecie jak życie rycerza!

C H Ó R.

Héj, niemasz na świecie jak życie rycerza!

JEDEN Z MINSTRELÓW.

Héj, niemasz na świecie nad życie minstrela!
On śpiewa na dworach mocarzy,
On sercom zbolałym radości udziela,
On mężnych do boju rozżarzy.
Powiernik miłości i bicia serc świadom,
Sercami jak zechce tak włada!
Gdzie przybył—sąsiedzi donoszą sąsiadom,
I zaraz zakipi biesiada:
Bo przybył z pieśniami posłaniec wesela!
Héj, niemasz na świecie nad życie minstrela!

CHÓR RYCERZY.

Niech żyje pogromca i wrogów i zwierza!

CHÓR MINSTRELÓW.

Niech żyje z pieśniami posłannik wesela!

RYCERZE.

Héj, niemasz na świecie nad życie rycerza!

MINSTRELE.

Héj, niemasz nad życie minstrela!

N^o 6.

RECITATIVO.

Z brzękiem zbroicy, z tętnieniem podkowy,

Z chórmi pieśni, wedle uczyty prawa,

Przeciągał orszak biesiady światowej,

Kędy Franciszek Bogiem się napawa.

Ocknął się, głośnie obudzony wrzawą,

Uchylił głowę i uważnie słuca:

Takty piosenki, bijące tak żwawo,

Niebyły obce dla młodego ucha.

Cenił rycerzy, jak wszyscy współcześni,

Jako obrońców kraju i kościoła;

Kochał minstrelów, bo znając cel pieśni,

Wiedział co nótą smutna i wesoła.

Do dźwięków wiersza, do muzyki grania

Namiętnym taktem jego piersi biły.

Bóg, co kraj ducha przed piewcą odsłania

Rymotwórcami obdarzył go siły.

Poczuł natchnienie ku świeckiej piosence

Opiewać boje, łowy i puhary,—

I mimowolnie zadrzały mu ręce,

Jakby szukając dźwięcznych strón cythary.

Ale cythary pod ręką niebyło,

Zatęsknion po niej jak po cacku dziecię;

A tu natchnienie z nieprzepartą siłą

Wiodło myśl jego po tym pięknym świecie,

W krainę bojów, zwycięstwa, kochania,

Gdzie leży niwa dla pieśni bogata. . . .

Dawno Franciszek sam sobie zabrania

Tych marnych uczuć znikomego świata;

A jednak serce rwało się ku ziemi,

Chciał swoje ziemskie wypowiedzieć żale:

Wybrał najświętszą pomiędzy ziemskimi

Pieśń o swym kraju i o jego chwale.

Więc chociaż z sobą nie miał swój cythary,

Głos wydać z piersi odważył się śmielej;

Dobrawszy słowa do muzycznej miary,

Taką pieśń posłał za echem minstrel.

N^o 7.

SPIEW FRANCISZKA.

Niéma na świecie niéma

Jak ta ziemia bogata!

Miedzy morzami trzema

Króluje berłem świata!

Niemasz bogatszej strony,

Jako kraj mój rodzony!

Świat zdumiewa mocarka,

Wszystko zbiega się do niej;

Rzym, Neapol, gród Marka,

To trzy kwiaty jój skroni.

Niemasz sławniejszej strony,

Jako kraj mój rodzony!

Tu, choć ziemia bez pracy,

Urodzajna i święta;

Tu najlepsi śpiewacy,

Najpiękniejsze dziewczęta.

Niemasz weselszej strony,

Jako kraj mój rodzony!

Łaski świeże, a świeże

Płyną na nią jak rosa:

Tu najprawsi rycerze,

Tu najczystsze niebiosa.

Niéma szczęśliwszej strony,

Jako kraj mój rodzony!

O! jak chlubnie, jak miło,

Wyznać przed światem Bożym,

Że się tutaj zrodziło,

Że tu głowę położym:

Bo nie masz milszej strony,

Jako kraj mój rodzony!

N^o 8.

RECITATIVO.

Kiedy tak mówił—uderzył blask słońca,

Jęknął dzwon ranny w pobliskim kościele;

Poważne echo o pagórki trąca,

Nad dolinami jako mgła się ściela.

Umilkło ptastwo, ścięchnął wiatr w dąbrowie,

Ogarnął echo dzwon rozkołysany,

Jęcząc i mruczając w uroczystym słowie:

„Módlcie się Panu nad Pany!”

Ten jęk Franciszka duszę opamięta;

On przetań oczy, badając czy nieśni.

„Witaj mi, dzwonów harmonijo święta,

„Co od światowej odrywasz mię pieśni!

„Piękny jest wprawdzie mój kraj rodowity,

„Niedziw, że z piersi piosenkę wymami;

»Ale piękniejsze są niebios błękity,
 »Świeższa ojczyzna ponad błękitami.
 »Tam, tam daleko— tam dla pieśni droga!
 »Leć, duszo moja, do Boga, do Boga!»

N^o 9.

MODLITWA FRANCISZKA.

Panie, Panie, Boże mój!
 Przebaczenie święte daj,
 Żem na ziemski nócil strój,
 Żem zanadto kochał kraj,
 Żem na chwałę lubych stron
 Śmiał oderwać pieśni ton!
 Źródłem pieśni Tyś jest sam,
 Tobie służy hymnów treść!
 Jam się ważył, choć to znam,
 W inną stronę myśli wznieść!
 Oto błaga ziemski syn
 Przebaczenia swoich win!
 Przebaczenie, Boże, daj,
 Za myśl ziemską w serca dnie:
 Że gdy wspomnę ojców kraj,
 Cóż do pieśni duszę rwie;
 A gdym Boga pieśnią czeił,
 To zabrakło marnych sił!
 Ziemska pieśni! dość już dość
 Być narzędziem ziemskich chwał!
 Tybyś mogła w serce wrość,
 Bóg nie na to serce dał!
 Och! już nigdy w cieniu drzew
 Mnie nieskusi ziemski śpiew!

N^o 10.

RECITATIVO.

Bóg przyjął świętą ofiarę człowieka,
 Ofiarę barda, co swe stróny zrywa:—
 I oto słysząc z wysoka, z daleka,
 Muzyka jakaś dźwięczna, pieśzczotliwa
 Płynie z błękitu nad góry, nad gaje,
 Drga w rdzeni drzewa, po gałązkach lata,—
 Głos się dla ucha znajomym być zdaje,
 Przecież to dźwięki nieziemskiego świata.
 Są tu i hymny i ptaszat piosenka,
 A wszystko zlane w tak cudnym doborze,
 Że się słuchając mimowolnie kłęka
 I ucha od niej oderwać niemoże.
 Och! lecz niekażde śmiertelnika ucho
 Godne usłyszeć te święte rozgwały!
 Trzeba być godnym miłością i skrucą,
 Unieść się duchem przez potęgę wiary!
 Bliżej... wyraźniej... nad gęstwiną drzewa
 Tryskają tony dźwięczne i bogate:
 To chór aniołów nad Franciszkiem śpiewa,
 By ziemskiej pieśni nagrodzić mu stratę.

N^o 11.

CHÓR ANIOŁÓW..

Wesel się, synu człowieczy!
 Pan kontent z ofiary twojej:
 W zamianę znikomych rzeczy
 Muzyką niebios cię poi.
 Ona twe serce rozżarzy,
 Od ziemskiej pieśni uleczy!
 W chórze niebieskich pieśniarzy
 Wesel się, synu człowieczy!

CHÓR SŁOWIKÓW.

Ej drobnież my ptaszkowie
Pieśnią wzruszamy las,
Modlimy się Jehowie,
Jako nauczył nas!
Ej weźcie nas, anieli,
Weźcie w niebieski chór!
Niech nasza pieśń wystrzeli
Aż pod obłoki chmur,
I tam, i tam,
U niebios bram
Odbije wtór!

FRANCISZEK.

W obec ptaszka i anioła
Pieśń człowiecza taka błaha!
Wtenczas tylko wzrosnąć zdoła,
Kiedy zaprzeć się niewaha,
Kiedy ziemskie minie cele,
Gdy miłością Bożą płonie,
Gdy się śpiewak krzyżem ściele,
Gdy wyciąga w niebo dłońie!
Ja mizerny, w mój pokorze,
Jednym hymnem wciąż zadzwonię:
Chwała Tobie, wielki Boże!
Chwała Tobie na Syonie!

N^o 12.

CHÓR OGÓLNY.

Aniołów i ludzi
I ptasząt śpiewanie,
Niechaj się rozbudzi,
Niech głośną zostanie

Wszecchwiała modlitwa poranna;
Raz, drugi i trzeci,
Nad ziemią zawisnie,
I w górę poleci,
Na ziemię wytryśnie,
Jak deszczyk majowy, jak manna.
Niech w jedno uczucie
Połączy świat cały
I zleje się w nócie
Potężna pieśń chwały:
Hozanna królowi, hozanna!

On w piersiach aniołów i ludzi i ptaków
Dał świętą potrzebę śpiewania;
Bóg mocy niebieskich jest Bogiem śpiewaków,
On niebo przed nimi odsłania.
Więc kiedy nam piersi rozżarza i pali
Do pieśni ta chęć nieustanna,
Posłuszni natchnieniu będziemy śpiewali:
Hozanna królowi, hozanna!

TRZY PROMIENIE DUCHA.

KONSTANTEMU GORSKIEMU

W DOWÓD CZCI POŚWIĘCA

KAROLINA PRONIEWSKA.

Piękna jest ziemia, wielkie Stwórcy dzieło;
Za cóż ją człowiek nazwał leż padołem?
Wszystko od Boga swój początek wzięło,
Lecz świat nie Niebem—człowiek nie Aniołem.
Tylko niekiedy w zachwycenia chwili
W niebieską piękność ziemia się wysili.

Jasne słońeczko, co jak Boże oko
Wszzechwidny promień rozsiewa szeroko,
Strumieniem światła oblewając z góry
Bogactwo ziemi i piękność natury,
Odbija w wodach blask cudnych promieni,
Łamiąc się w kształty niezliczonych cieni.

Ten błękit niebios jak zwierciadło czyste
Duszy dziewiczą pogodą jaśnieje,
To się w tumany przyobleka mgliste,
To znowu chmury czarnemi się chwieje;

Niepewne, zmienne, jak człowieka życie,
To miljonem światła się promieni,
Tych gwiazd rozsianych na ciemnym błękiecie,
Gdy czarnej nocy płaszczem się ocieni,
I xiężyc snuje swe srebrzyste włosy
Na ciche wody i na smugi rosy.

Piękne jest niebo w swych światłach i cieniach;
Piękna jest ziemia we wszystkich stworzeniach—
W tych oceanach wody niezmierzonych,
W tych ziemi łąkach okiem nieścignionych,
I w gór tych pasmach olbrzymich, wspaniałych,
I w tych drzew cieniach wzrostem okazałych
W dolinach kwiaty okrytych wonnemi,—
W każdej najmniejszej części Bożej ziemi
Jest twórcza piękność—myśli Bożej znamie...

I ty, człowieku! ty, Boży Adamie!
Jak pięknym jesteś w swym pierwotnym bycie!...
Lecz tyś wygnaniec, i smutne twe życie...
Wśród uczuć błogich, z towarzyszką miłą,
Tylą Bożemi darami ujęty,
Gnieciony smutku niepojętą siłą,
Rajskiego życia wspomnieniem przejęty,
Płaczesz i tęsknisz z uczuciami swemi
Na tę rozległą, piękną Bożej ziemi!

Tęskni wygnaniec do swojego raju,
Pokoju szczęścia szukając aż w Niebie:
Ach, w tym cudownym swoich marzeń kraju
Człowiek się wznosi nad siebie!...

Uczucia święte, wznosząc skrzydły swemi
Duszę człowieka daleko od ziemi,
Ogniem zapału i mocą zachwyty,
Cudem modlitwy i siłą zaklęcia,

U bram wieczności—u niebios zenitu—
Wyzwały ducha Bożkiego dziecięcia,
By ziemię zdołał, człowieka weselił;
A gdy ujęły go w swoje objęcia,
Na trzy promienie ten duch się rozdzielił,
We trzy postacie dziewicze się wcielił.

Pierwsza w cudownym jaśnieje uroku,
Obojętnemu niewidzialna oku,
Wybrane dusze lubym dźwiękiem pieśni
W błogiem uczuciu tęsknoty, boleści.
Serce w niej tonie jakby w jasnym zdroju
Światła i prawdy, miłości, pokoju:
Bo ona wszystko cudnym blaskiem złoci
Wiecznej miłości i wiecznej dobroci.

I cudne skarby zawiera w swém łonie,

Gdy w ciemną otchłań przeszłych wieków tonie,

Lub gdy przyszłości zasłonę rozdziera:

Przenika ziemię i niebo otwiera.

Ona potęgą zapału jaśnieje,

Cudnemi barwy zdobiąc ojców dzieje,

Głosem proroka powołuje synów

Do światła, cnoty i szlachetnych czynów.

Bo w niej, jak w Arce, jest pamiątka żywa,

Co wieki splata w swe złote ogniwa,

Smutek i radość zdoła pieśni dźwiękiem,

I głos rozpaczy wtórzy lutni jękiem,

I z piekieł progu do niebios zenitu

Unosi duszę potęgą zachwytu.

Miłość i piękność wszędzie za nią leci,

Gwiazda nadziei nad jęj czołem świeci.

Matka niedoli i siostra boleści,

Pieśń wieszczów Ludu na swém łonie pieści.

Męczeńskie skronie opromienia wieńcem,
Wieczność jęj życiem, krzyż jęj oblubieńcem,
A serca czyste jęj dziewiczem łozem:
Dziś ludzie zowią ją Natchnieniem Bożem;
Przez dawnych mędrców duchem ukochana,
To córą Niebios Poezyą zwana.

Druga dziewica nieścigniona wzrokiem
Pierwszą otacza łudzącym obłokiem,
Lejąc dźwięk cudny w każde pieśni słowo,
Jest najpiękniejszą swęj siostry połową.
Jęj dźwięk niebieski, harmonija żywa
Z anielskich chorów na ziemię wypływa,
I Bożkie czucie lejąc w serca ludzi,
Cudną potęgą martwe dusze budzi,
I z kajdan ziemskich ku niebu wyrывa;
Z niej niezbadanych uczuć zdroj wypływa,
I słowo ducha, nieznane na ziemi,
Mówi do Boga dźwięki niebieskimi...
I serca tkliwe błogiem czuciem pieści,
Lub je rozdziera odgłosem boleści,
Przeraża trwogą, gdy w obchodzie zgonu
Brzmi z smutnym jękiem grobowego dzwonu.

Ta córą Niebios cudna i prawdziwa,

Piękność i miłość w swym dźwięku ukrywa.

W niej się zawiera wieczna tajemnica,

Co w genijuszu utworach zachwyca,

Rozrzewnia serce i duszę przenika;

Lub ptasząt chórem i śpiewem rolnika

Gdy ziemię wita jutrzeńka zaranna,

Modlitwa w Bożką harmoniję złana,

Wszystko co żyje w jeden hymn przemienia,

I chwali Stwórcę pieśnią przyrodzenia.

Ona swą siłą elektryczną budzi
Zapał do boju i potęgę ludzi,
Jak archanielska trąba brzmi wśród burzy,
I pieśniom ludu i modlitwom wtórzy.

Wieszczę natchnienie zdobi dźwięcznym wieniec,
Niebo jój życiem, Bóg jój oblubieńcem;

Ziemia jój bytu myślą niedocieką,
W cudownej pieśni i w duszy człowieka.
Z niej hymn miłości tworzą aniołowie,
A w ludzkim dźwięku Muzyką się zowie.

Trzecia widomej postaci dziewica
Ujmuje duszę i oko zachwycą,
Wdzięk i harmonję siostr swych łącząc razem,
Blask swój rozacza precudnym obrazem,
Choć ziemia tylko jój bytu granicą,
Lecz jój potęga wieczną tajemnicą,
Wybrany tylko z Niebios bywa dana,
Zimnemu oku i sercu nieznana,
Co kształty tylko podziwia i blaski;—
Lecz ten, co światło czerpie w zdroju łaski,
Widzi w niej cudne natury odbicie:
Bożką wszechmocność i duchowe życie.

W tych cudnych kształtach utajoną bywa
Dusza i życie, Bożka myśl prawdziwa,
Co się objawia w tych światłach i cieniu:
Dziwną potęgą jakby w zachwyceniu
Martwe postacie zdobiąc krasą życia,
I cudną sztuką natury odbicia
Żywemi farby nowe światy stwarza,—
Żwierciadło duszy wielkiego Malarza,
Bożki majestat w swęj głębi odbija:
W niej się uwiecznia wszystko co przemija,

Niebo i ziemia precudnemi szaty,
Postacie ludzkie z temi wdzięków kwiaty,
Jakby zakłęte w piękności rozkwicie
W swych martwych kształtach kryją cudne życie.

O! któż wypowie, ile wrażeń błogich,
Ile jój ludzie winni wspomnień drogich,
Gdy dla pokoleń przyszłych i nieznanych,
Przechowa rysy osób ukochanych!

Uwiecznia dzieje pełne chwały czynów,
W pamiątkach przodków, dla przykładu synów,
Uczucia święte budzi swym zapałem,
Bożkięj piękności zdobiąc ideałem
Święte obrazy, w których wiara mieści
Wspomnienia cudów życia i boleści
Boga człowieka i Jego wybranych!

Duch mistrza tonie w krainach nieznanych,
Ideał tworząc z nadziejskiego świata;
Za tło mu służy natura bogata

A wieczność jego zapału granicą.
W niej tworzy obraz ducha tajemnicą,
Nad wszystko ziemskie cudniejszy widokiem,
Gdzie miłość wieczna, światłości potokiem
Opromieniając wiarę i nadzieję,

W Bożkięj piękności wybranym jaśnieje.

Są inne również cudne Nieba córy:

W dziełach snycerstwa i architektury

Wielkość i mądrość przedwieczną tłómaczą;

Lecz pierwsze miłość i moc Bożą znaczą

I więcej wszystkim na ziemi dostępne,

Rozweselają nasze dni posępne,

Wszystkie zarówno swą potęgą dzielną,

Wienczą wybranych sławą nieśmiertelną...

PIASTUNKA.

RELIKWIE Z POCZCIWÉJ PRZESZŁOŚCI,

PRZEZ

ADAMA PŁUGA.

DROGIÉJ SWÉJ PIASTUNCE

ELŻBIECIE PODLESKIEJ

w dowód szacunku i wdzięczności poświęca Autor.

Będzie już temu z pół wieku. Na Litwie, w jednym z rozległych kluczów wielkiego pana, zadzierżawionym Podeczaszyco-
wi N*, na folwarku, w schludnym ekonomicznym domeczku, w noc
późną, buchało światło ze wszystkich okienek i gwar, i krzątania
była tam wielka. Było to w wielką sobotę: młoda więc pani ekono-
mowa, spodziewając się na święcone i X. Wikarego, i kilka ro-
dzin sąsiadów officyalistów, a nawet Państwa Podeczaszyco-
wskich, których doskonałość tradycjonalnie od pokolenia do poko-
lenia szła w jej rodzinie, a razem też pilnując, aby i w domku
w każdym kącie było i białe i świeżo i porządek wszelki. Tym-
czasem małżonek, dając parobczakowi ostatnie rozkazy, muskał
czuprynę przed małym lusterkiem, i strojne szaty przywdziewał,
mając się udać na rezurekcyę do wiejskiego kościołka. A gdy

się przystroił, wziął łacińską książkę w kieszonkę, i uściskawszy
czule gospodarną zoneczkę, — „No, rzekł, Basienko, do widze-
nia tymczasem; ja się i za ciebie pomodłę, a ty już sobie potem
pobiegiesz na Summę. Na ranną przekąskę *chmarę* ci przypro-
wadzę gości, bądź więc gotowa, a jak szyby zadrzą w chatynce,
to będzie znaczyć, że ci z mózdzierza *resurrexit* posyłam, bo ja
dziś będę puszkarzem i niepożaluję prochu na to *wesołe alleluja*.
Chwytaj więc żwawo czepiec na głowę i strojną sukienkę, bo wnet
i my przyciągniemy.

— Dobrze mój kociku! tylko ostróżnie tam z tą strzelaniną.“

— Fraszki, moja Basienko! przecieżem nie dziecko. Ba! daj-
że mi naszą dziecinę, niech ją także uściskam.

— Ej gdzie tam! śpi mały, jak bobak!

— No, to go w kołysce tylko ucałuję.

I uchyliwszy z nad kolébki zasłonę, na czołku śpiącego dzie-
cięcia tkliwy pocałunek złożył.

Młoda gospoia zostawszy sama z dwiema dziewczkami, po chwi-
li dobiła z pieca ostatnie baby, i wnet się wzięła do zastawienia
stołu, który ubrała prawdziwie z pańskim przepychem! Niebra-
kło ani cietrzewia, ani głuźca, ani nawet dzież głowizny, że
się już nie niemówi o plackach, mazurkach i babach, o babach,
co powyrastały jakby prawdziwe Babilońskie wieże.

Nareszcie, wszystko przygotowawszy, okadziwszy izdebki smół-
ką od mrówek z lawendą, i przywdziawszy świąteczne suknie,
klękała przed obrazem z pokorną modlitwą, by uczestniczyć choć
duszą w wielkiej uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego.
I z oczyma utkwionemi w oblicze Matki Najświętszej, wszystkie-
mi myślami uniosła się w Niebiosy... W tém, jakby piorun u-
derzył, drgnął cały domek w posadzie, brzękły szyby w okien-
kach, zahuczały dzwony kościelne, a w ślad zawyły psy na po-
dwórku i żałośnym płaczem zajęczało dziecko w kolébce... Ból
jakiś dziwny przejął serce kobiety, porwała się na nogi z trwo-

ga niepojęta, i zgubiwszy watek modlitwy, nieprzytomnie szepiała biegąc do kołyski: „Bądź wola twoja!.. bądź wola twoja!..”. Wzięła dziecinę na ręce, i z tkliwą pieśczęcią tuliąc ją do łona, to całowała jasną jej główkę, to piosnką, to serdecznym szczebiotem, starała się łzy jej utulić. Dziecie coraz rzewniej płakało, nie krzykiem kapryśnego pieśczocho, ale łkaniem żałosnym, cichym, lecz głębokim, wskroś duszę przenikającym, i obejmując rączkami szyję macierzyńską, z jakimś przerażeniem spoglądało dokoła, jak gdyby straszne marzenie, co je w płaczu ze snu zbudziło, dotąd w oczach mu stało. Pieśczoćty, i pocałunki, i śpiewki, i słodkie słówka, i jaskrawe kraszanki, któremi matka chciała je zabawić, wszystko było daremne! biedna kobieta sama nie wiedziała co począć? Od pieśczoćty i zabawek przeszła do modlitwy i żaęgnywania, od modlitwy do szepćów dla odpędzenia uroków; a kiedy to nie niepomogło, gdy coraz rzewliwiej łkało niebożatko, tuliąc się do jej piersi, strach szczególniejszy opanował jej serce, łzy bujne trysnęły z oczu, i przerażona, nieprzytomna sobie, z boleśnym jękiem padła na kolana, łkając z dziećciem jak dziecie... A wicher marcowy szturmujący z plutą w okienka, i jęczący w kominie, mieżając się z odgłosem dzwonów, rozbijających się na alleluja, i z ponurym wyciem psów, przerażonych tą nocną wrzawą, jeszcze powiększał tę dziwną zgrozę, która w niej nagle powstała.... i zdało się niebodze, że oto się zbliża ostatnia świata godzina, że oto drży ziemia, niebiosy się wala, i na głos straszliwej trąby Archanioła, umarli z grobów powstają... W tém nagle skrzypnęły wrota, zaćtętniały tłumne kroki w podwórku, zagadały jakieś głosy tajemnicze a smutne... wiatr przycichł, umilkły dzwony, ustało psów wycie i płacz dziecący.... drzwi się rozwarły... kobieta klęcząca spójrzała ku nim, zerwała się na nogi, i z dzikim jękiem, padła na ziemię, jak piorunem rażona, niepuszczając dziecka z objąć zakrzępych.... Czterech ludzi wniosło do izby skrwawio-

ne zwłoki jej męża, któremu złomek moździerza, rozerwanego w owym potężnym strzale, co to na *wesołe alleluja* szybami zatrząśł w chatynce, roztrzaskał głowę i trupem go położył.

Takie to było *wesołe alleluja*! Nieprzeczuwała nieszczęsna wdowa, krzątając się ochoczo około *święconego* i ciesząc się doskonałością sporządzonych przysmaków, że wszystko to na stypę mieżowską gotuje!... Rospaęzy i łez jej malować niebędę; dość jest powiedzieć, że cios ten straszliwy spadł na nią w trzecim roku najszczęśliwszego małżeńskiego pożycia, i że, pozbawiając ją ukochanego męża, zostawił samiuteńką na Bożym świecie, wdową i sierotą z sierotą na rękę, bez kawałka chleba przy duszy.

Lecz było to w owe błogosławione czasy, w które, jak wieszcz powiada:

Jeżeli cześć się w życiu oddawała cnocie,

To nieszczęście poczczono w wdowie i sierocie.

»Wdowa« — to słowo było pobudką czułości,

I jak we łzach się zlewa łal wszystkich żałości,

Tak w tém słowie leżała serdeczna wymowa,

I było to zaklęciem, gdy kto wyrzekł: »wdowa«.

Wdowie w pomoc pospieszyć niebyło zasługa,

Bo z jej błogosławieństwem biegło szczęście struga;

Ale wdowę ucisnąć, to więcej niż zbrodnia,

I już za życia w sercu piekielna pochodnia.

Tak samo też wiercono, że gdzie jest sierota,

Tam chleba niezabraknie, choć niebędzie złota,

I takiemu domowi Pan Bóg błogosławi,

Co sierotę ode drzwi swoich nieodprawi,

Lecz do serca przytuli, przyjąwszy od proga,

I nauczy miłości i bojaźni Boga.

Czasem toś nierozeznał nawet po pieśczoćcie,

Które dziecie przybrane, a które jest matki,

Bo się razem chowały i karmiły dziatki,

A gdy któremu dodać — to chyba sierocie.

Nie dziwy za t $\acute{e}$ m, że biedna Barbara z dziecinką swoją, znalazła w ciężkiej niedoli i współczucie serdeczne i pomoc obojętną: i nie tylko nie miała potrzeby powiększać żalu swojego kłopotliwym pogrzebem, lecz i o przyszłość mogła zupełnie się nie troskać. Każdy z kolegów nieboszczyka j $\acute{e}$ j m $\acute{e}$ ża rad był podzielić się z nią dachem i chlebem;— lecz przed wszystkimi pocziwi Podczaszycowstwo, co na pierwszą wieść o j $\acute{e}$ j nieszczęściu przybiegli z słowem pociechy, ofiarowali najskuteczniejsze wsparcie, prosząc jakby o łaskę, aby po dawnemu mieszkała w tym samym dworku, i nim co lepszego sobie obmyśli, nie odrzucała pensyi i ordynaryi m $\acute{e}$ żowski $\acute{e}$ j, a jak synaczek podrośnię, aby im pozwoliła zająć się jego losem i po rodzicielsku wychować: bo powiadali, że wszystko to winni pamięci nieboszczyka, który lat ośm pocziwie dla nich pracował.

Łzy rzewnej wdzięczności biednej wdowy były jedyną odpowiedzią na tę ofiarę szlachetną, której się godną nieczując, a niemogąc odrzucić, ślubowała w głębi sw $\acute{e}$ j duszy, cał $\acute{e}$ m sw $\acute{e}$ m życiem wypłacić się za nią zacnym tym ludziom, i świątce ślub sw $\acute{o}$ j spełniła.

Skoro więc tylko nieboga nieco ochłoneła z żałości, a z po za t $\acute{e}$ ż d $\acute{o}$ jrzała świat, rozjaśnionego r $\acute{a}$ jskim uśmiejem dzieci $\acute{e}$ cia, wnet biegła do Podczaszycow $\acute{e}$ j, u n $\acute{o$ g j $\acute{e}$ j błagać o słu $\acute{z$ bę, o pracę, któraby mogła choćby tylko za chł $\acute{e}$ b się j $\acute{e}$ j odwdzi $\acute{e}$ czyć. A w prośbie t $\acute{e}$ j było tyle prawdy, tyle szczer $\acute{o}$ ści, tyle szlachetnej dumy i poznania obowiązku, że Podczaszycowa musiała uszanować delikatność j $\acute{e}$ j uczuć, i aby niepokarzać biedaczki *łaskawym chlebem*, a razem niepozbawiać się słodczy dobrodziejstwa, wymyśliła dla ni $\acute{e}$ j jakieś lekkie zajęcie, zrobiła nibyto *szafarką*, oddawszy kluczyki od apteczki swojej, oraz obiecała dawać j $\acute{e}$ j do szycia suknie i bieliznę.

Mało tego było dla pocziw $\acute{e}$ j Barbary, która od razu pojęła wybieg dobrej Pani; ale z pokorą a wdzięcznością poprzestała

i na t $\acute{e}$ m, obiecując sobie jak $\acute{o}$ s poradzić, byle tylko mieć o co się zaczepić. Jako $\acute{z}$ *in gratiam* swego urzędu, przeniosłszy się z dzieckiem na mieszkanie do dworu, udając zrazu, że niby rada obowiązkowi swemu i doś $\acute{c}$ ma igły i kluczy $\acute{o}$ w, tak zręcznie poprowadziła rzeczy, że przy końcu roku opanowała ju $\acute{z}$ i spiżarnię i całą garderobę; a stało się to jak $\acute{o}$ s tak naturalnie, że dobra Podczaszycowa ani się spostrzegła. Bo to podręczna apteczka wiele zasobów brała ze spiżarni, więc Pani Barbara *ex officio* musiała nieraz tam zajrzeć, a zajrzawszy, okiem gorliw $\acute{e}$ m spostrzegła i to i owo, co nie tak było jak trzeba: więc raz, drugi, po przyjacielsku napomni $\acute{a}$ ła klucznicę; a gdy to niewzi $\acute{e}$ ło po $\acute{z}$ adanego skutku, objaśniła Pani cały stan rzeczy, i niby tymczasowo opanowawszy wakujące miejsce, żadnym ju $\acute{z}$ sposobem z niego się ruszyć nie dała. A Podczaszycowa, widząc jak to raduje pocziw $\acute{a}$ kobietę, a razem jak gospodarstwu z t $\acute{e}$ m dobrze, po kilkunastu próbach oporu, nareszcie poddać się musiała. To samo i z garderobą: z tytułu szwaczki, biorąc do naprawy suknie i bieliznę, pomału, pomału, zagarnęła jedno i drugie pod swoje klucze, a w końcu, bielizna zaprowadziła ją do pralni, tak samo jak s $\acute{e}$ r i masło, powiodły do obory. Wtedy dopi $\acute{e}$ ro odetchnęła nieco swobodni $\acute{e}$ j i wesel $\acute{e}$ j na świat spojrz $\acute{a}$ ła. Mogła ju $\acute{z}$ sobie powiedzieć, że niedarmo j $\acute{e}$ chł $\acute{e}$ b u dobrych państwa, którzy się zlitowali nad j $\acute{e}$ j sieroctwem, i że za grosz ofiarowany i za przytułek jako tako im się wypłaca. Ale choć j $\acute{e}$ j sumienie mogło by $\acute{d}$ z spokojn $\acute{e}$ m, niepoprzestało na t $\acute{e}$ m sere $\acute{e}$, które swą wdzięczność do exaltacyi podniosło. Pocziwa Basia, córka ubogi $\acute{e}$ j szlachty, od dzieciństwa przywykły do szczer $\acute{e}$ j pracy,— którą, za panieństwa swego, utrzymywała starych rodziców, a po zam $\acute{e}$ żciu, całe gospodarstwo m $\acute{e}$ żowskie,— słu $\acute{z$ ąc Podczaszycowstwu za trzy inne słu $\acute{g}$ i, nie w t $\acute{e}$ m osobliwego niewidzi $\acute{a}$ ła, i ani pojmowała nieocenionych swych zalet; dla ni $\acute{e}$ j to wszystko było zbyt prostą i naturalną rzeczą: pracy więc swojej nieu-

ważała nigdy za zasługę, a tém bardziej za poświęcenie jakiego serce jęj pragnęło. Nieprzestawała więc wyszukiwać coraz nowych zatrudnień, ktośby mogła być pożyteczną ukochanym swym Państwu, i coraz nowę sobie wynajdując, nigdy ich dosyć nie miała: bo coraz większą zyskując przyjaźń u Podezaszycowstwa, i coraz więcej łask ich doznając, zawsze się nad wartość wynagrodzoną czuła, i ze łzami Boga błagała w codziennęj swojej modlitwie, by otworzył dla niej drogę poświęcenia.

Droga ta przed nią leżała otwarta, na niej się wszystkie jęj ścieżki schodziły; ale codziennie ją deptać niestrudzoną nogą, zająca ta niewiasta zawsze się sądziła daleką od niej, i większą połowę brzemienia kłopotliwego życia Podezaszycowstwa wiawszy na swe ramiona, jeszcze się nieczuła dość obciążoną; zazdrosząc każdemu, kto mógł dla nich pracować. — A rzeczywiście kłopotliwe było to życie! Ojciec Podezaszyca w zamieszkach krajowych straciwszy całe mienie, nie, oprócz swego błogosławieństwa i pocziwych zasad, nie zostawił synowi. Pan Adolf, wzrosły w dostatkach, a nawet zbytkach, najkrwawszą pracą musiał dorabiać się fortuny, i przy pomocy Bożęj, po kilkunastu latach pocziwój służby u dawnych przyjaciół swojego ojca, ujrzał się nareszcie panem kilkudziesięciu tysięcy złotych, za które wiawszy dzierżawę, zaczął na własną rękę gospodarzyć; a na wspólniczkę swych trudów, wybrał bogobojną dobrą, pracowitą, rozumną, słowem najzaśniejszą, ale uboższą, pannę, którą całęm sercem ukochał, będąc jęj drogim wzajemnie. Dzierżawa była rozległa, ale spustoszona przez poprzedników do najwyższego stopnia. Chłopi ginęli z głodu, waliły się chaty i folwarczne budynki, remanentów prawie żadnych nie było, zasiewy zostawione najgorsze, — zgoła ruina. Trzeba było to wszystko dzwigać na nowo, skupowywać dobytek dla siebie i dla włościan, myśleć o wozach, plugach i wszelkich gospodarskich narzędziach, budować chaty, chlewy i stodoły, restaurować gorzel-

nię, że nie już niewspomnę o płotach, mostkach, grobelkach, i tysiącznych innych drobnostkach, które potrzebowały poprawy i opatrzenia. Nie dziwy tedy, że zający nasz Podezaszyca, który nie tylko przez pocziwe serce, ale i przez rozum, nie tylko uważając to za największą zbrodnię, ale i za własną swą szkodę, nie dość że niecierpił poddanych, lecz podzwignienie ich z nędzy uważał za najświętszy obowiązek i za najlepszą spekulację; nie dziwy, powiadam, że z takim postępowaniem ciężko musiał pracować i niemało biedy przecierpieć na tęj swojej dzierżawie. A jeszcze Bóg mu błogosławił szczęściem domowem, licznem go obdarzając potomstwem, i rzadki rok minął, żeby z nową pociechą, nowy mu ciężar nie przybył, żeby w świątyni rodzicielskiej miłości pod codzienną ofiarę nowy ołtarz niestanął.

Miarkujcież tedy, ile to nieoceniona Basia miała zajęcia przy tęp osobliwszém swoim usposobieniu, przy tęp namiętności do pracy, podniesionej nieodstępna myślą, że nigdy i nieczem dość się wywdzięczyć niezdolą dobroczyńcom swoim za litość, doznana w czarnej godzinie. — A jednak klucznica, szwaczka, garderobna, słowem *totumfacka* w niewieściem gospodarstwie, które w najdrobniejszych szczegółach szło u niej jak najdoskonalszy echronometr, jeszcze więcej pragnęła i niezliczonych używała wybiegów, aby sobie trudu przysporzyć. Jakoż po kilku latach gorliwych starań, ujrzała się wreszcie u szczytu możebnej szczęśliwości, uwieńczywszy dotychczasowe swoje urzędy, najmilszym obowiązkiem piastunki kilkorga dzieciąt Podezaszycowstwa; — piastunki — jeśli dość tego nazwiska dla istoty, co wychowanców swoich ukochała więcej niż własne jedyne dziecię; co nie tylko spoczynku, lecz snu i pokarmu wyrzec się była gotowa, byle tylko pieszczochy jęj drogie były okryte, umyte i syte, zdrowe i wesole, w porę uspięne, w porę zbudzone, a po bożemu, z świętym paciorkiem, i z moralną nauczka; żeby żadnemu nieza-
brakło zabawki, i żeby żadne o xiażeczce lub o robótce swojej

niezapomniało: bo starsze czytać, szyć i haftować uczyła.... Podczaszycowstwo zwali ją swoim aniołem stróżem, dziatwa niemogąc dobrze wymówić jej imienia, z Barbary zrobiła *Babę*, z baby babunię, a nazwa ta została przy niej już na całe życie, nie tylko w ustach dzieci, ale i dorosłych, nie tylko w domu Podczaszycowstwa, ale i w całym sąsiedztwie, i stała się dla niej prawdziwą chlubą i radością. Widziała w tym ona jakby uświęcenie tej miłości, którą dla wychowanców swych tchnęła, jakoby przyznanie jej za członka tej rodziny, do której całą duszą przylgnęła. I niejeden też z obcych a nieświadomych rzeczy, słysząc jak na nią dziatki wołały Babciu, Babuniu, biegąc w jej objęcia z tkliwą pieczęcią, widząc jak oboje Podczaszycowstwo przemawiali do niej z prawdziwie krewniaczą uprzejmością, jak ją sadzali u swojego stołu, przy którym rozdawała potrawy i pilnowała dzieci, niejeden pomyślał, że to doprawdy jakaś ich krewna uboga, jakaś dobra dusza, co wstydząc się służby u cudzych, swoim szczera pracą i życzliwym sercem płaci za chleb powszedni i za współczucie.

Tak mijały lata niepostrzeżone i nieliczone. Nieoszaczowana Baba (zwijmy ją tak jak wszyscy), coraz to szerzej władając, coraz to gorliwiej pańskiego dobra i dziatwy strzegąc, cudów dokazywała. Trudno uwierzyć, i ja bym niewierzył, gdybym na własne oczy niewidział, jak podoływała tym niezliczonym obowiązkom, dobrowolnie wziętym na siebie, do wypełnienia których dawniej niedosyć kilku sług było. A co dziwniejsza, że wszystko to szło jak z płatka, i na pozór nie ją niekosztowało, tak zręcznie umiała skryć cały mechanizm tego *perpetuum mobile*, którego tylko błogi rezultat Podczaszycowstwu był widoczny: bo szło jej o to, aby dobrzy ci państwo, poznawszy się na ogromie ponoszonej przez nią ofiary, niepozbowili jej tego szczęścia, które wtedy tylko swojego szczytu u niej dochodziło, gdy mogła sobie powiedzieć, że nie się w całym dworze niedzieje

bez jej dozoru i pomocy. Od świtu na nogach, nim dziatwa wstanie, już ona bywało obiegnie chlewy, oborę, kurniki, dójrzy nabiału, dowie się do ogrodu, wyda kucharzowi i gospodyni, dla państwa kawę, dla dzieci śniadanie zgotuje, a pilnując garnuszków u kominka, wyprasuje sukienki, czepki i koszulki, i szepcąc sobie godzinki, czynem i słowem Pana Boga chwali; a nieraz jeszcze to i ulubionych kanarków Podczaszycowej dójrzy, i wazonny poleje, i w saloniku prochy pościera. Żebyż to na tym koniec! Każdy z dzieciaków miał jakieś pieśczone swoje stworzenko, kurę lub gaskę, jagnię lub cielátko, psa albo kota, kruką, srokę lub szpaka, wiewiórkę albo łasiczkę: w domu więc cały zwierzyniec, a wszystko to na opiece pocziwów Baby i na jej odpowiedzialności; cała ta zgraja skrzydlatych i czworonożnych musiała być i nakarmiona, i napojona, i oczyszczona, i wolna od wszelkiej napaści lub krzywdy; i w samej rzeczy równiej prawie z dziatwą doznawała od niej pieczęci i troskliwości, bo inaczej dziatwa nie byłaby spokojną, a więc i Baba szczęśliwą. I jeszcze nie koniec. Dziewczęta miały swoje laleczki: trzeba więc było i o stroju dla nich czasem pomyśleć, trzeba było pamiętać i o urodzinach i o imieninach tych bałwanków, wyprawiać dla nich bale, wesela, chrzciny, i t. p. Każde też z dzieci miało swój ogród warzywny, swoją gruszę lub jabłoń, co wszystko szczególniejszego wymagało dozoru. W święta wielkonocne każde z nich musiał mieć swoje własne święcone, na Boże narodzenie—własne kiełbasy, na Boże ciało—własne wianuszki, na Zielone święta—maj własny; a wszystko to o głowę Baby się opierało, na wszystko ona radzić musiała. Pamiętajmy wreszcie i o tym, że i o sobie trzeba było pomyśleć i sobie uszyć i koszulę i suknię, i zrobić pończoszkę, i czepeczek wystroić, a nawet i nici naprząć, (bo młoda nasza Babka, choć we wdowim kapturku, choć przy tylu zajęciach, zawsze jednak strojnie i hoźo wyglądała, ubogo lecz chędogo, a wdzięk lica reszty do-

pełniał). Gdyby tylko zechciała, najlepszą partję mogłaby zrobić; nieraz się oświadczała o nią officjaliści zamożni, których pociągał znany powszechnie jęj statek, słynna gospodarność, piękna twarzyczka, a nawet i grosz nie lada, bo przy oszczędnem życiu i rządności, przy ciągłych darach od dobrej pani, z pensyi swojey nie prawie niestracać, po kilku leciech służby już z parę set rubli złożyła do skrzynki: niebrakło więc wcale dobrych konkurentów; raz nawet jeden dzierżawca, sąsiad Podczaszycowstwa, o rękę jęj prosił, lecz i ten dostał odkosza. Nie niepomogły ani najgorliwsze jego zabiegi, ani namowy dobrych państwa; pocziwa wdówka z wesolą twarzą odrzuciła ten zaszczyt, mówiąc z uśmiechem: „Gdzież tam mnie myśleć o ślubnym wianku? wszakci wiadomo światu żem baba! toż to byłoby śmiechu i zgorszenia!“ A gdy Podczaszycowstwo na seryo zaczęli jęj przedstawiać korzyści ze związku z człowiekiem zamożnym, statecznym i kochającym, który mógł zapewnić byt niezależny i jęj i dziecięciu, rozplakała się kobiecina rzewnymi łzami, i ze łkaniem całując ich ręce, prosiła, aby jęj nieodpędzali od siebie, aby pozwolili dokonać wieku pod ich błogosławionym dachem: bo o los dziecka swojego, co wzrasta z ich dziećmi, żywiąc się z niemi chlebem i nauką jednaka, może być spokojna, a dla siebie niezna większego szczęścia, jak służyć im do śmierci. Została więc rzecz ta w zawieszeniu; pan Hilary niezaniechał swoich konkurów, Podczaszycowstwo nie tracili nadziei, że się Barbara da wreszeie namówić, i żadnej nieopuszczali zręczności, aby doprowadzić do skutku ten pożądany związek, w którym jęj szczęście widzieli. Tak minęło dwa lata. Gospodarstwo pana Adolfa, szło coraz lepiej, dziatwa podrosła, dwaj chłopcy, a z nimi i syn Barbary, poszli już do szkół, słudzy pod przewodnictwem Baby wytresowali się wybornie: pod względem więc materialnym państwo Podczaszycowstwo nie tak to bardzo uczuli by jęj stratę, a z nałogów serdecznych w każdej chwili radziby zro-

bić ofiarę dla dobra tęj nieocenionęj służi. Takim więc przedstawieniem rzeczy przy ciągłej namowie, znacznie osłabili upor Babuni; a gdy pan Hilary ułożył się jeszcze z Podczaszycem, aby wziąć na wspólną sąsiednią znaczną dzierżawę, pewność, że i za mąż poszedłszy nieoddali się od tych ludzi, do których całą duszą przylgnęła, resztę jęj skrupułów zwalczyła, i na wielką radość Podczaszycowstwa, nieocenioną ich przyjaciółką, ze łzami wprowadzie, ale przecię przyjęła pierścienek od pana Hilarego, a za parę miesięcy miało nastąpić i weselisko.

Tymczasem nastał pamiętny światu rok 1812, ryknęła burza z zachodu, zaszumiała krwawa ulewa, a gdy pustoszały całe krainy, gdy się waliły starożytne trony—co za dziw, że w nawałnicy tęj srogięj nieostało się i ciche szczęście Podczaszycowstwa? Pan Adolf, wyjechawszy raz w pole, przepadł gdzieś bez wieści. Podczaszycowa w śmiertelnej trwodze, rozesłała gońców na wszystkie strony, żeby ślad jego wyszukać; lecz mijały dni i tygodnie, a żadnej poszlaki powziąć niemożna było, żaden promyk nadziei nieprzebił się przez pomrok niepewności i czarnej nierozjaśnił troski. Nareszcie jakiś wędrowny kramarz przyniósł jęj liścik od męża, datowany z obozu, z słowem pociechy, z prośbą o przebaczenie, z błogosławieństwem dla dziatwy, z listkiem wawrzynu, z zapowiednią oliwnęj gałązki,—i rychłego da Bóg powrótu. Po owych dniach rozpaczy, które biedna Podczaszycowa przeżyła w niewiadomości o jego losie, wieść ta stała się dla nięj źródłem niewymównęj pociechy. Dość dla nięj było, że przynajmniej wiedziała gdzie go szukać marzeniem i błogosławieństwem w rzewnej modlitwie, a resztę zdawszy na Boga, z rezygnacją ugięła głowę przed najwyższym Jego wyrokiem, z ufnością w nieograniczone Jego miłosierdzie poleciła Mu pięcioro swoich dzieteczek, z których lada chwila jedno cięcie pałasza, jedna kula złowroga—pięcioro sierot uczynić mogła. Pocziwa Baba z równą radością błogą wieść przyjęła, z równą rezygnacją zda-

ła się na Bożą wolę; tylko jeszcze gorliwiej zajęła się swą pracą, jeszcze większą miłością otoczyła swą panią i swych pieszczołów, i susząc trzy dni w tygodniu, coraz dłuższe i gorętsze modlitwy szeptała. Pana Hilarego witała po dawnemu życzliwie; ale o weselu mówiła niechętnie, coraz to nowe wynajdując zwłoki. Aż jednej nocy wpadła do dworu banda maruderów, i zwinawszy się po swojemu, do świtu wszystko obróciła w perzynę. Z gospodarskich budynków, z takim kosztem i trudem wzniesionych przez Podeczaszyca, kupa tylko gruzów została, całoroczna krescencyę płomień pochłoniął, cały dobytek uprowadzili rabusie, zabrali srebra i klejnoty i wszystkie pieniądze, przygotowane na opłatę półrocznej raty. Biedna Podeczaszyca w jednej godzinie przyprowadzona do ostatniej nędzy, ledwie z duszą uciekła z Babą i dziećmi, dzięki pocziwym kmieciom, co ją z narażeniem własnego życia, manowcami w lasy wywiedli.

Trzebaż ubarwiać i poetyzować położenie nieszczęsnej tej rodziny? Dość spojrzeć na nią skupioną w trwożnej gromadce wśród gęstwi puszczy u tlejącego żarzewia, by pojąć cały ogrom niedoli, co ją dotknęła. Oto na omszonej, przegniłej kłodzie, matka z wybladłym licem, z oczyma zaiskrzonymi gorączkowym ogniem, z sinemi ustami, tuli niemowlę do łona, co usteczkami wpiwszy się do jej piersi, krew chyba, a nie mleko z niej wysię; u nóg jej przykląkwszy na mokrej ziemi, dwa starsze chłopaczki kryją twarzyczki na jej kolanach, łkając w tłumionym płaczu, i z uniesieniem tulą się do niej, oplótłszy jej kibić swymi rączkami, jak gdyby się bały, by im kto niewydarł tej jedyną podpory.— Ona zaś nieboga, przygniecioną ogromem swęj niedoli, osłupiała, bezwładna, jak gdyby posąg najwyższej boleści, oczyma tylko dając znak życia, rozpaczliwe spojrzenie z chłopczków na niemowlę przenosi, to znów ku czwartąj dziecinie spoziera, co utulona w objęciach Barbary, śpi niebożatko, i we śnie jeszcze niekiedy łkaniem się odzywa. Barbara pod zwie-

szonemi gałęziami jedliny, kołysząc na ręku uspiąną dziewczeczkę, z niewysłowionem współczuciem wodzi wzrokiem po kochanych swoich; ale w jej twarzy niewidać rozpacz, jej oczy niebłyszczą tym dzikim płomieniem, co to ze zgłiszczu serca tylko się wyrwa; w postawie jej nieznac tego przygnębienia, tej odrętwiałości wszystkich władz duszy i wszystkich uczuć, oprócz uczucia bólu; lica jej promienieją rezygnacją świętą, w spojrzeniu błyska niezłomna wola, cała postawa technie wzniosłym załamem poświęcenia się bez granic, na czole wyryte jakieś postanowienie niezłomne. Przy ognisku nareszcie krząta się chłopiec, krzepki, wysoki, Herkulesowej postawy, z pięknym, choć ogorzałym obliczem, w którym obok powagi i mocy charakteru, znaczącą serdeczną i skwapliwość w pomocy, a razem jakieś wewnętrzne zadowolenie i niby radość, że im przecież na coś się przydał. Wkoło noc ciemna, i cisza głucha; tylko po nad głową, pod niebem gdzieś wysoko, wiatr depcąc po szczytach sosen, szeleści mglistą swą szatą, tylko niekiedy ognisko zaszumi, lub z trzaskiem iskrę wyrzuci z mokrego drewna, ścieląc dym gęsty po mechu wilgotnym i bladym płomieniem oświecając smutną gromadkę. A na mrocznych niebiosach, tam w dali, krwawa łuna migocze... czy odbłask pożaru pożerającego resztki mienia Podeczaszycowstwa, czy płomień nowego ofiarnego stosu na cześć Bellony?

Taka to była owa noc klęski biednej rodziny, wygnanej z pod zacisznego dachu, z za dostatniego stołu, z wygodnej pościeli, z pośród życzliwej służby, w dziką gdzieś puszcę, między dra pieżne zwierzęta, na mech za łożę, na łyż za pokarm, na rozpacz o jutro, na trwogę o każdą chwilę.— Nie dziwy zatem, że matka kamieniała z boleści, patrząc na czworo dzieci, z których najstarsze ledwie ósmy rok miało, których ani czym przykryć od chłodu i wilgoci, ani czym nakarmić niebyło! a dla których, jedna noc taka, po dawniejszych wygodach, śmiertelną choro-

bę sprowadziły mogła; że nie już niemówię o przyszłym losie!.....

Po chwili pomurego milczenia:— Maxymie!— szepnęła Baba do chłopca, znoszącego chróst na ognisko— zbieraj-no żwawo wrzośu i mchu suchego, i pościel tam pod drzewem. pora myśleć o spaniu.

Maxym się rzucił skwapliwie, i w parę minut pod rozłożystą jodlę usłał obszerne łoże, i własnym już pomysłem, przykrył je swoją siermięgą.

— Bóg zapłać!— rzekła Barbara— pocziwie z ciebie człeczysko.— I iza błysnęła jej w oku; a Maxym tylko dobrodusnie się uśmiechnął; i dłoń przyciskając do oczu:— Ależ to dym przekłety!— mruknął niby z gniewem.

— Ej dobra duszo!— odparła Baba— nie dym, a biada nasza łyzy tobie wyciska.— I westchnęła biedaczka, a po chwili znowu szepnęła: Michasiu! chodź-no tu, kociczku!

Starszy chłopaczek, klęczący u nóg Podczaszycowej, obrócił ku niej zarumienioną od rzewnego płaczu twarzyczkę, i spójrział pytającym wzrokiem.

— Chodź-no tu, moje złotko!— powtórzyła Barbara— pomóżesz mi Zosię położyć.

Michaś pośpiesznie przybiegł do piastunki i spytał łzawym głosem:

— Jakże ja Babei pomogę?

— Odepnij mi fartuszek i rozwiąż chustkę z głowy— rzekła piastunka schylając się ku niemu; a w tém się zerwał i drugi chłopczyna i stając przy niej— Babcu! Babcu! zawołał, chłapiąc jeszcze biedaczek— niechże i ja pomogę, ja fartuszek odwiążę.

— Dobrze, dobrze, moje aniołki. Michaś zdejmie chustkę, a Oleś fartuszek; z chustki zrobim przescieradełko, a z fartuszka kołderkę dla biednej Zosi. Józię mama koło siebie przytuli; a

wy moje robaczki, objawszy się rączkami, wzajemnie ogrzewać się będziecie. Mama się położy z prawej, wy z lewej strony Zosieczki, to jej zacisnięj będzie. Tylkoż mi pamiętajcie niebrykać nogami, leżeć cichuteńko, żeby siostrzyczki niezbudzić.

— A Babcia? zapytali chłopcy jednym głosem.

— I ja tu koło was.

— To kładnijże się pomiędzy nami aby tobie zacisnięj było.

Rzewny uśmiech wybiegł na usta pocziwój Barbarze, iza znowu błysnęła w oczach.— Nie, moje pieściutki, my z mamą będziemy leżały na brzegu, mama z jednej a ja z drugiej strony, żeby czuć nad wami.

— A nad mamą i Babią ktoż czuć będzie?

— Pan Bóg, moje aniołki, Pan Bóg miłosierny, i nad mamą, i nad Babią, i nad wszystkimi będzie czuwał. Klękniście, moje wy lubki, a zmówcie szczerzy paciorki, żeby go o tę opiekę uprosić.

Michaś się rzucił na klęczki, — Oleś się nieco zawahał...

— Jak to Babcu? już pacierz? a wieczery niebędzie? spytał ze smutkiem.

— Ach ty żarłoczku, żarłoczku! szepnęła Babcia, udając wezłość, i tłumiąc płacz rzewny, co gwałtem z serca się jej wydierał... Dzisiaj wigilija do *Zmiłowania Bożego*, to się niegodzi jeść wieczery. Widzisz że i mama nie niejé, i Babcia takóž, i Michaś jeść niebędzie...

Chłopczyna się skrzywił, westchnął po cichu, echo stłumionego płaczu ozwało mu się we łkaniu; ale z pokorą ukląkł przy swym braciszku, i drobne rączęta do paciorka złożył. Barbara tymczasem złożyła uspioną Zosię na mchowym posłaniu, ucałowała jej czołko ostrożnie, i przeżegnawszy po trzykroć, przykryła swoją chuścina, a potem, padłszy na kolana przy dziećmiach, głośno pacierz zaczęła.

Podczaszycowa, która dotąd pogrążona w niemój boleści, siedziała bezwładna, obumarła prawie, — kiedy zabrzmiały rzewne

głosy dziecięce, powtarzające słowa świętej modlitwy, co z czystej duszy Barbary wyrwała się ku Bogu tym jękiem łzawym, serdecznym, co to wszystkie mocy niebieskie porusza; zwolna i jej serce zaczęło wracać do życia i czucia, ciche łzy potokiem z oczu się rzuciły; i ona osunęła się mimowolnie na klęczki, i niema, a wymowną modlitwą uderzyła w niebiosy. I pierwszy dowód zmiłowania Bożego uczuła w tej błogosławionej ufności, co nagle serce jej objęła i napełniła spokojem i rezygnacją. — Pocziwy Maxym, skrywszy się za grubą jodłę, padł na kolana czołem do ziemi, a bujne łzy gradem z oczu mu się sypnęły; ale niewsiąkły do mechu leśnego, bo je w lot rozechwytały święci anieli, chyżo unosząc w Niebo, gdyż były to łzy klejnoty, Kohi-noory rajskiej skarbnicy — łzy litości.

Po skończonej modlitwie, kiedy chłopaczki rzuciły się ku matee, aby na dobranoc ucałować jej ręce, nagle zaszeleściło coś między drzewami, a nim Maxym porwał maczugę, by spotkać niespodzianego wroga, krzyk przerażenia, co zrazu wyrwał się z ust wszystkich na widok jakiegoś zwierza wpadającego na skupioną gromadkę, raptem się zmienił w powszechny okrzyk radości. — Żuczek! pocziwy, wierny, Żuczek! wołały dzieci obejmując psa zziąjanego, co z radośnym skomleniem od jednej osoby rzucał się ku drugiej, to wspinając się na piersi, to ręce liżąc, to u nóg się czołgając, to znów w rącznych poskokach śmigając po lesie, jakby mu ciasno było na jednym miejscu z tą jego wielką radością. — Był to ulubieniec i pieszczoch całej rodziny: nie dziwy tedy że ją wytropił, i że się tak cieszył znalazłszy drogich swych zbiegów, od których się był odbił wśród wielkiej trwogi w rabunku.

Mała ta na pozór okoliczność nadzwyczaj błogi wpływ wywarła na usposobienie znękaną matki, odrywając ją do reszty od tych czarnych myśli, co ją przed chwilą niezliczonym rojem opadły, i wracając zupełną władzę tej rzewności, co to w wiel-

kich nieszczęściach jest jedynym szczęściem dla zbolącej duszy, we łzach ulgę mającej. — Długo trwały pieszczoty i uniesienia; pocziwy Żuczek z rąk do rąk przechodził, z uścisków w uściski; aż wreszcie do snu się zabrano. Działwa ciągnęła Żuczka z sobą na pościel, i Babcia mu nakazywała aby się przy nich położył; ale zmyślne stworzenie, zrazu usłuchawszy ich woli, załedwie chłopcy zasnęli, wnet zwlekło się z ich łóża, i obszedłszy do koła placyk koczowiska swych panów, legło opodal na jedynym przesmyku co tam prowadził. — Baba układłszy całą rodzinę, dla uspokojenia swoich wychowanców przytuliła się przy nich; ale jak tylko spostrzegła, że i oni i Podczaszycowa śpi już spokojnie, cichuténko także powstała i podszedłszy do Maxyma czuwającego przy ogniu z maczugą w ręku, długo coś z nim szeptała, to perorując z zapalem, to niby się gniewając, to prosząc. Maxym z początku głową tylko potrząsał, i czoło chmurzył, i ręką machał; aż wreszcie widocznie dał się udobruchać, i z rozręwnieniem w twarzy szepnął: „Szczęście Wam Boże!“ Barbara wzięła kij w rękę i ruszyła w głąb lasu, a on ją znakiem krzyża przeżegnał. Żuczek się zerwał na nogi, spójrzał na Babę jakby z zadziwieniem, i naszczurzywszy uszy, stanął tuż przy niej, jakby się domagając sprawy z tego co czynić myśli. Barbara pogłaskawszy zmyślną jego głowę, — „Prowadź mię, Żuczku, szepnęła, prowadź do domu!“ Żuczek obejrzał się ze smutkiem na śpiących Państwa, spójrzał raz jeszcze w oczy Babuni, i ruszył po przedzie, ogon zwiesiwszy.

Nazajutrz ledwie pierwsze promienie słońca przebiły się przez zieloną gęstwinię, ledwie ptaszęta poranną modlitewkę skończywszy, zaczęły chwycić uspione jeszcze muszki na kwiatach i strącać brylantową rosę z gałązek, gdy niespodziany szelest znowu zwrócił uwagę czujnego Maxyma, który na straży całą noc przesiedział, podsycając ognisko, co od komarów i od wilgoci biedną rodzinę strzegło. Spójrzał w tę stronę — z gęstwi wynu-

rzył się nasz Żuczek, objuczony jakimś węzełkiem, a drugi mniejszy niosąc na szyi, spójrzał na śpiących, wyszczerzył z umizgiem zęby do Maxyma, machając ogonem, i stanął, obzierając się po za siebie. W ślad za nim ukazała się i Barbara, z twarzą rumianą od wielkiego znużenia i bujnym zroszoną potem, ale promieniającą niewymówną radością, obarczona potężnym worem, z dużą butelką zawieszoną na szyi, z węzełkiem pod pachą, z korbalką w ręku, a na jej ramieniu siedziała wesół srocza, skrzecząc, podskakując, trzepiąc skrzydełkami i wachlując ogonem. Uśmiechnął się Maxym radośnie i przeżegnał się zdumiony; a Babcia nieoceniona, kładąc na ustach palce na znak milczenia, skinęła na niego, aby jej dopomógł rozpakować przyniesione ciężary, i mitygując wykrzykującą sroczkę, rozwijała z nim razem węzełki, worki i woreczki, dobywając chleb, masło, krupy, jaję, sery, mleko, kureczkę i owoce, łyżeczki, miseczki, szklanki, garnuszki i noże. Maxym się nieposiadał z radości i zdumienia, świerzbiał go język do rozmowy; ale Babunia uporeczywie milczała, trzęsąc tylko głową, i na łeb na szyję biorąc się do sporządzenia śniadania. A gdy już garnki stały przy ogniu, dopiero wtedy, wzięwszy w ręce swawolną sroczkę, posadziła ją na pościeli uspiionych dziattek... Zmyślna ptaszyna poznała swoich przyjaciół, i wskoczywszy Michasiowi na główkę, nuż go skubać za włosy i zlekka szczypać za uszy.... Ocknął się chłopaczek, a ukochaną sroczkę ujrzawszy, radośnym okrzykiem zbudził braciszka i matkę, która w błogim zdumieniu, w dłonie klasnęła, uśmiechem i weselem dzień Boży witając, choć to w ciężkim wygnaniu! — Maxym skubał brodę współuśmiechnięty, Babcia płakała słodkimi łzami, a chłopcy nieposiadały się ze szczęścia, bawiąc się ze sroczką swoją. Wesół ich krzyki zbudziły i Zośkę, która się także przyłączyła do ich szczęsnego chóru, ocknęło się wreszcie i niemowlę, a i temu błogosławiona ręka anioła w uśmiech usteczka ubrała, na pociechę duszy

macierzyńskiej. A gdy w końcu przeszły pierwsze uniesienia radośnego podziwu, sypnęły się pytania, wnioski i domysły: zkąd się tu srocza wzięła?

— Sama przyleciała, ptaszki moje drogie! rzekła Barbara z uśmiechem.

— Pocziwa srocza! pocziwa! wołały dzieci. A srocza tymczasem zajrzała do garnka, stojącego na stronie, i usiadła na ramieniu Podczaszycowej z kawałkiem sera w dziobie.

— Mameczko! Babcu! — krzyknęły dzieci — srocza sera przyniosła.

— I sera i masła i krupek, — podchwyciła Babunia — a Żuczek przywiózł chleba, kureczkę, i garnki i szklanki! Patrzcie, lubeczki moje! ot się już i śniadanie gotuje....

Umilkły dzieci zdumione, a Podczaszycowa, zalana łzami wdzięczności, z uniesieniem pochwyciła w objęcia sługę-przyjaciółkę, a łkanie i pocałunki za najwymowniejsze słowa stanęły. Pojęły i chłopcy co się to święci, i rzuciwszy się na szyję drogiej piastunki, dalej obejmować i pieścić, a Zosia, mała zazdrośnica, i sobie toż samo, choć niewiedząc dla czego.

Gdy się uspokoił wybuch wdzięczności, zaczęły się nowe pytania, jak się to stało? co w domu się dzieje? i t. p.

— „Och lubeczki moje! źle słysząc w domu! niema już gniazda waszego, ptaszki kochane!... mówiła Babcia, łzy ocierając rękawem. — Jakem ztąd poszła, skoroście posnęły, tak pocziwy Żuczek jak raz mię wyprowadził na Hryćkową polankę, a ztamtąd dwór już widać jak na dłoni. Ej, to to rozumne psisko! Bez niego nie trafiłabym nigdy! Jak ruszył po przedzie, to jak kulą strzelił, ani na krok niezmylił, tylko się ogląda, żebym się nie odbiła daleko, a jak przystanę trocha, to siądzie, i hau, hau, półgłosem, niby to huka, niby nawołuje, jak jaki człowiek!... Otoż tak wyszliśmy na Hryćkową polankę... załamałam ręce, zapłakałam rzewnymi łzami, i Żuczek zawył żałośnie: bo dwór nasz

cały stał ogniem objęty, i dom i folwark i gumna i obory i chlewy, wszystko zalało ogniste jezioro, straszne, grzmiące, ryczące, aż mi włosy wstały na głowie i serce zastygło! kolana się podgięły, jakby kto kosą podciął, i padłam na klęczki z modlitwą i płaczem... A co wiatr wionie, to z ciepłym dymem przyniesie smutny jęk dzwonów z naszej wioseczki, i wycie psów, i ryk ponury bydła, aż mi się przypomniła owa noc straszna wielkiej Soboty, co grób otworzyła mężowi memu. Niewiem już jak długo takbym przetrwała, gdyby mi Żuczek przytomności nie wrócił, gdyby nie zaczął skomleć nademną i szarpać mię za suknię, ciągnąc w dalszą drogę. Płacząc powlekłam się za moim przewodnikiem i już sama niewiem, jak, obszedłszy nasze drogie Zabrodzie, dostałam się do Kuźmierz, i zastukałam w okno pocziwój naszej Organiściniej. Ej, dobraż to dusza! dobra! jak tylko głos mój posłyszala, tak bosa, w jednej koszuli, zerwawszy się z pościeli, wybiegła drzwi otworzyć, i dalejże mię z płaczem ścisnąć a całować—biedniż wy, biedni! wołając. Wprowadziła do chaty, roznieciła ogień w kominku.—A możeś głodna? a może kaszki na prędcie? albo jajeczniczy? albo to, lub owo? Podziękowałam, ale napróżno; zaraz wzięła się do gotowania i smażenia, a krzątając się przy ogniu, raz w raz pyta:—A co tam z waszymi? gdzie oni? czy żywi? czy zdrowi? a pani Podezaszykowa? a Michaś, a Oleś, a mała Józia? a Zosia?—Musiałam od początku wszystko opowiadać, i jak na nas napadli, i jak zrabowali i podpalili, i jakieśmy z duszą do lasu uciekli. Napłakałaż się biedna słuchając! potem mię nakarmiła, choć siłą, mocą, bo mi nie w gardło nie szło ze smutku; nakarmiła i Żuczka, mało mu boki niepękły, i w łóżku mię swoim położyć chciała. Ale nie do tego mi było... powiedziałam jej prawdę za czém przychodzę, że moim robaczkom i chłodno i głodno, i że tak gdzieś pogina w lesie. Więc skoczyła co żywo do swojej spiżarni, i dalejże znosić i to i owo, i nadawała mi wszystkiego, i jadła, i

naczynia, i trochę bielizny i pościółki,—niech Bóg jej za to zapłaci! i już sama czém prędzej do drogi mię nagliła. A tu i świtać zaczęło... Miałam już ruszyć, kiedy nadbiegła stara Bondarycha, a z nią Pawlukowa, i Chima, i nuż mi ręce z płaczem całować, a prosić, żebym o państwu drogich mówiła... i napłakałyśmy się do woli. A potem jak zaczęły znosić każda od siebie, to jaja, to krupy, to sэр, to masło, że i na furę tegobym nie zabrała! Pocziwe dusze!... podziękowałam im tylko, i skokiem ruszyłam w drogę, bo mi się chciało wrócić nim tu powstają. Biegłam więc co żywo, ale mijając Zabrodzie, nad którym już tylko chmura dymu ponad zgłiszczem wisiała, i kiedy niekiedy tylko z trzaskiem gdzieś płomień buchnął. Myślę sobie: zajrzę do sadu, może gdzie znajdę jabłko, lub gruszczykę dla moich robaczków drogich. Gdzie tam! wszystko zniszczyły te przekłętники, jak szarańcza jaka! gałęzie tylko sterczą! obiegłszy cały ogród, i popatrzwszy na dymiące się zwaliska dworu, zapłakałam gorzkimi łzami i popod leszczynkę poszłam na pole; aż tu raptem słyszę—czecze, czecze!—nad moją głową. Serce mi zadrżało i aż się zatrzęsłam z wielkiej radości, bo mi na myśl przyszła sroczka nasza kochana!—Spójrzę—aż doprawdy to ona! siedzi na drzewie, skrzecze i skrzydełkami trzepie, wdzięcząc się do mnie; łzy słodkie z oczu mi się polały! gdybym mogła, to bym na drzewo do niej wleciała!... Sroczko, sroczko! kochana sroczko! a ona fyrk mi na głowę, i dalejże się pieścić i przymlać.—Ale nie było czasu do stracenia! miła mi sroczka, ale milsze ot te ptaszęta i choć z serdecznym żalem, myślałam już się z nią rozstać, bo mi ani do głowy nie przyszło, żebym ją mogła tu przynieść. Ruszyłam tedy... kiedy się obejrzę, aż ona za mną! czecze! czecze! i wciąż z drzewa na drzewo, dalej i dalej! a jak wyszłam na pole, tak ona siadła mi na głowie, i to podlatując, to znów przysiadając, to czasem na Żuczku jadąc, dostała się z nami do lasu, a tam znowu z drzewa

na drzewo, z drzewa na drzewo, aż tu przyleciała, ptaszyna droga!“

Tak to pocziwa Barbara opowiedziała swoją wyprawę, a całe grono słuchało jej z natężoną uwagą, czasami tylko to wykrzykiem, to smutnym westchnieniem, lub zapytaniem jakimś przerywając opowiadanie. Kiedy skończyła, Podeczaszcowa powtórnie uściskała ją z uniesieniem, i dziatki z pocałunkami do niej się rzuciły, a Maxym, zbliżywszy się w milezeniu, z uroczystą powagą ręce jej ucałował... Różewniona Barbara, wyrwawszy się z tkliwych uścisków, pośpieszyła do ognia, przy którym się gotowało śniadanie,—i po małej chwili cała gromadka biednych tułaczy, zasiadła dokoła pnia przykrytego obrusem, spożywać co Bóg jej zesłał przez ręce nieocenionej sługi.

Dzień minął dość znośnie: dla dzieci, nie pojmujących ogromu nieszczęścia, którym Bóg ich dotknął, na zabawie z Żuczkiem i sroczką, na szczebiotaniu z piastunką, na zbieraniu kwiatków, jagód i grzybów, na słuchaniu bajek, które im Maxym prawił; — dla Podeczaszcowej w łagodnym smutku, osłodzonym tkliwością dobrej Barbary, widokiem rozweselonych dzieci, oraz ich pieśczętą; — a dla Barbary, na ciągłym poświęceniu się i przemyśliwaniu, czémby rozproszyć ponure myśli i żalobę kochanej Pani, czém dziatwę zabawić?... — Ostrożność radziła nieopuszczać ukrycia, gdyż banda rabusiów plondrowała jeszcze po okolicy; a choć do Zabrodzia niemiała po co już wracać, bezpieczniej było przeczekać nim się zupełnie oddali, w inne strony niosąc spustoszenie. A więc i drugą noc w lesie spędzono, ale już z swobodniejszym umysłem, i z weselszym sercem: bo i głód było czém odpędzić, i pościel się znalazła, choć gruba. Barbara chwilę zdrzémnąwszy, zerwała się z północks, i znowu z Żuczkiem ruszyła na zwiady, i znów o świcie była z powrotem; ale już nie sama. Przyprowadziła z sobą dwóch ludzi ze służby dworskiej; a skoro tylko Podeczaszcowa i dziatki ze snu się zbudziły, pośpie-

szyla ku nim z radośną nowiną że już niebezpieczeństwo minęło, i że mogą pożegnać swoje schronienie. Jakoż co żywo zabrali się w drogę. Słudzy i Maxym wzięli starszą dziatwę na ręce, Barbara Jozię, i wkrótce, przy wesołym naszczekiwanu Żuczka biegnącego po przedzie i skrzekotaniu sroczki, przelatującej z drzewa na drzewo, ścieżyną wyszli na polankę, na której czekał na nich, z drabiniastym wozem, zaprzężonym w cztery chłopskie konięta, stary ich furman, Maciej, który aż zapłakał z radości, ujrzawszy swoich kochanych panów.

— I gdzież nas powieziesz? — spytała Podeczaszcowa ze smutkiem, gdy pocziwiec ze łkaniem kolana jej całował.

— A już to Pani Barbara pomyślała o tém! — odpowiedział Maciej — i jakoś to będzie; a między ludźmi, przynajmniej moim Państwu kochanym bezpieczniej, niż między wilkami. Chwała Panu Bogu, już te zboje przeklęte poszły sobie do diabła, to niema się czego obawiać! Bodajby z piekła nie wyszły, psie syny! zabrali moje Karosze, poniszczyli powozy, i ot czém przyszło mi wozic moją Panią najmilszą!

— Ot dałbyś pokój, Macieju, z swoją gawędą! siadaj na kozieł i w drogę! — zawołała Barbara.

— Ba, ba! gdyby na kozieł!... niech-no Imość siada przy dzieciach, a ja już pójdę przy wozie jak czumak jaki... i westchnął stary.

Usiadły tedy kobiety i dzieci na wozie wysłanym sianem, Maxym, Maciej i reszta, stanęli przy nim i ruszyli w drogę, poprzedzeni tylko przez Żuczka w wesołych susach, bo sroczka już niemogła wydrzeć się z rąk dziatwy, lękającej się aby niepozostała w lesie.

Około południa dostali się do Zabrodzia, gdzie ich zacny Wikary, uprzedzony przez Basię, przyjął do swego domku, który jedynie z kościółkiem, jakby jakim cudem, ocalał, gdyż z resztą, w całutkim dworze, ani kółka nie pozostało po straszliwym po-

zarze; a nawet ustąpił go zupełnie Pani Podczaszycowej, sam się przeniosłszy do Kuźmierz, o pół wiorsty odległych, gdzie dlań organista wygodny pokój w swym domku przeznaczył.

W porę przybyli! bo tegoż dnia Podczaszycowa, skołatana przebytym srogim cierpieniem, zapadła w ciężką chorobę i legła na łożu, a z nią i dziecinka, którą swą piersią karmiła.

Łatwo wyobrazić sobie położenie Barbary, która o wszystkim sama jedna myśleć musiała, a kiedyby dość było kłopotu w zaopatrywaniu zdrowych w nieodbite potrzeby życia w zniszczonym dworze, u niej jeszcze i chorzy się znaleźli! O! ciężka była to próba! nad siły słabej kobiety! a jednak ona nieupadła pod tym brzemieniem! i wytrwała mężnie do końca... I gdybyż tylko to jeszcze! gdyby z chorobą i nędzą miała tylko wojować!... To dla niej były prawdziwe fraszki! spiżarnię rychło zaopatrzyła, zdobyła się nawet i na bieliznę, i na jakie takie sukienki, sam Bóg wie, jakim już cudem; troskliwą opieką, i nieodstępem czuwaniem, podzwignęła chorych z niemocy, a przynajmniej niebezpieczeństwo odpędziła... lecz nowa bieda się znalazła, twardsza nad wszelkie inne, a i tej trzeba było zaradzić, i od tej drogie głowy ochronić.

Zeledwie Podczaszycowa zaczęła nieco przychodzić do siebie, gdy dnia jednego przyjechał do Zabrzezia plenipotent dziedzica, którego Barbara przez okno ujrzawszy, co żywo w ganek wybiegła, żeby do drogi jej Pani niedopuszczyć, bo się domyśliła o co rzecz idzie. Dwa tygodnie minęło od terminu tenuty, a więc pan pełnomocnik nieodebrałszy spodziewanych pieniędzy, przybył osobiście o nie się upomnieć. Barbara, oświadczwszy mu że Podczaszycowa leży w ciężkiej chorobie, grzecznie go zaprosiła na *przeciwek*, i heroicznie znosząc obelżywe obejście się spanoszonego służalca, a nadskakując mu wszelkimi sposobami, sama zaczęła rozmowę o tym smutnym przedmiocie, który go do Zabrzezia sprowadził.

— I cóż to do Waćpani należy? — fuknął opryskliwie pan plenipotent.

— Ach Wielmożny Panie! — odrzekła Basia z pokorą, — do kogoż ma należeć? Pan Podczaszyc daleko, Pani wechorobie, ekonom jeden i drugi uciekli gdzieś, ratując duszę: ja więc tu za wszystkich...

— A więc, szanowny kolego, — rzecze przybylec szyderczo wykrzywiwszy gębę, — moeno mi to cieszy, że mam od kogo przyjąć tenutę, na którą już tak długo daremnie czekam;... a razem...

— Ach Wielmożny Panie! — przerwała mu Barbara, błagalnie ręce składając — gdybym własną duszą mogła ją zapłacić, tobym i duszy niepożałowała!...

— Licha zapłata! tu o pieniądze idzie...

— Ach Panie! Panie! skądże wziąć tych pieniędzy, gdy cała summa za półroczną ratę, przygotowana do wypłacenia, wpadła w ręce rabusiów, razem z całym mieniem Pani mojej kochanej.

— Facecye! lisie wybiegi! już ciż kto ma czas myśleć o ucieczce z kupą bachurów, ten może i pieniądze wychwycić.

Barbarze w oburzeniu krew buchnęła do głowy, ale się powściągnęła w gniewliwym zapędzie, i znowu rzekła błagalnie:

— Bogiem się świadcę, że prawdę powiadam! na krucyfixie przysiądź gotowam!

— Na diabła mi twoje przysięgi! — fuknął pełnomocnik. — Ja niewchodzę w powody, i niemam potrzeby słuchać Waścinych lamentów; oświadczyć tylko swojej pani odemnie, że jak natychmiast, rozumiesz? natychmiast niebędę miał pieniędzy za półroczną ratę, i jak mi niewróci szkód przez pożar zrządzonych, to ją wyrzucę do diabła z całym jej gniazdem.

Barbarze ledwie krew niewytrysła przez oczy; zacięła jednak usta, przycisnęła rękę do serca, ofiarując Bogu swoje cierpienie, i znowu rzekła pokornie:

— Ależ Panie Wielmożny! czyż my temu winni, że rabusie dwór nam spalili? Ja sędzę, że gdyby sam dziedzic był w domu, to nie tylko nieupominałby się o wynagrodzenie, ale ze swojej strony, indemnizacyęby ofiarował w takim nieszczęściu. I jeśli Pan niechcesz nic podobnego uczynić, to przynajmniej pozwól odnieść się do niego. Pewna jestem, że on przez samą ludzkość, przez sprawiedliwość, jeśli już nie przez pamięć na przyjaźń z panem Podczaszycem da nam jakąś folgę w tej biedzie.

— Cha cha cha! przyjaźń z jakimś charłakiem, to wysmiejte! Ale co mi tam dziedzic! — krzyknął plenipotent, w stół pięścią stuknąwszy, — ja tu pan, ja dziedzic, i tak będzie jak każe!... ruszaj waćpani do posesorki...

Tego już było za nadto! przepełniła się miarka cierpliwości Barbary, porwała się jak lwica, i przyskakując do zuchwalca z zaciśniętymi pięściami: — Słuchaj ty, urwipołciu jakiś! — krzyknęła, — ja ci inaczej zagadam, kiedy nierozumiesz ludzkiego głosu! won zaraz! won drapieżniku! bo cię kijem wyproszę; a niech-no wróci pan Podczaszyc, to ci batogami tenutę wyliczy, bo szkoda kulki na takiego łajdaka! won!! — i drzwi rozwarłszy, imponującym gestem, próg mu wskazała.

Nie śmieszniejszego nad minę, w jaką ten wykrzyk pana Rządzcę ustroił! małeńka jego figurka, co się dęła i *buńdiuczyła* przed chwilą, jak indyk jaki, nagle się skurczyła, i jeszcze bardziej zmalęła, pobladła małpia twarzyczka, lisie oczęta zaczęły biegać, jakby upatrując któredy łatwiej uciekać, zatrzęsł się cały, zagryzł posiniałe usta, i porywając czapkę czémprędzej. — Czy tak? — wyjąkał — a! to dobrze! — i piorunem za drzwi wyleciał; padł na bryczkę i ruszył co koń wyskoczy. A tryumfująca Barbara aż na dziedziniec za nim wybiegła, i potrząsając zaciśniętą pięścią za odjeżdżającym: — Won psi synu! won, won! — krzyczała, aż zniknęła na zakręcie ulicy.

Po tym wysiłku, wróciwszy do swjej izdebki, padła nieboga na klęczki, i łkając, rzewnemi zalała się łzami. — O Boże mój, Boże jedyny! i cóż ja biedna mam począć? i jak ich ratować? — I nieruchome oczy wzniosłszy do góry, duszą do Nieba pobięła po radę i pociechę... i chwilę tak przetrwała, niema, bezwładna, z załamanemi rękoma, tylko łzy ciche biegły po licach i drżały usta zacięte... Westchnęła wreszcie, dłonią otarła oczy — Bądź wola Twoja! — z cicha wyrzekła, i twarz jej przybrała wyraz mężkiej odwagi, obok niewieściiej ufności. — Mrok już zapadał i ciemno było w małych izdebkach, a więc bezpiecznie mogła zajrzeć do Podczaszycowej, bez obawy o zapłakane oczy. Chora usnęła przed chwilą, dziatki igrały z mamką, którą Barbara dla Józki przyjęła. Zaleciwszy im tedy, aby się cicho i grzecznie sprawowały, ucałowawszy drogie ich główki, oświadczyła, że ma potrzebę wyjść na wieś, i wkrótce wróci. Jakoż nietracąc czasu, pobięła do Wikarego i z płaczem opowiedziała mu swoją rozmowę z pełnomocnikiem, prosząc go o radę, co czynić? Zakłopotał się zacny staruszek i nie poradzić niemógł, obiecał tylko pisać do pana rządcy z prośbą i perswazyą. Zachwiała smutnie głową biedna Barbara. — Ej Xieże Dobrodzieju! nie to niepomocze! już ja wiem to dobrze, że on nas skrzywdzi. Oto tylko rzecz idzie, żeby zostawił nas w pokoju, do wyzdrowienia Podczaszycowej, żeby niewyrzucał, jak to zapowiedział, a ustąpił i sami.

— Ale gdzież tam! — perswadował Wikary, — tego się on nie dopuści, bo zresztą i niema prawa, kiedy na duchownym gruncie mieszkacie; ja mu to przełożę.

— Daremnie, daremnie, Xieże Dobrodzieju! trzeba tu innę rady. Zresztą i tego można spróbować, ale i oczem innem myśleć należy. Niech-no Xiadz Dobrodziej przysze tam do mnie Maxyma Skorochoda, Ostapa Dudarza, i choćby Wasyla Hulakę, trzeba mi z nimi pogadać; a niechaj śpieszą, bo niema czasu do

stracenia. Ja muszę biedź już do domu, bo tam moje pisklęta same pozostały, i już pewno kwilą beze mnie. Tylko na miłość Boga, niech mię Xiądz Dobrodziej niezawiedzie, i niech czém prędzej ludzi przysyła, bo teraz po Bogu, na nich jedynie liczę.

I ucałowawszy rękę Wikarego, — Pomódl się tam Jegomość na naszą intencję! — szepnęła z westchnieniem i wybiegła z izdebki, bez tchu prawie pędząc ku Zabrodziu; tak pilno ję było, tak się lękała, aby tam się bez niej co złego nie stało.

Dzięki Bogu wszystko zastała pomyślnie: Podczaszycowa spała spokojnie, dziatki się trochę tylko zatęskniły, to też z podskokiem rzuciły się na ję spotkanie, na szyi ję się wieszając. Pocziwa Baba, uściskawszy swoje pieszczochy, czém prędzej zajęła się ich wieczszą; a ledwie je nakarmiła, i po paciorku do łóżeczek układała, gdy w sieniach przytłumione warczenie Żuczka znać dało, że ktoś nadchodzi.

Uradowana Barbara, domyślając się, że to byli oczekiwani wieśniacy, zwawo ku nim wybiegła.

— O dajże wam Boże zdrowie, żeście posłuchali! — zawołała z uczuciem, i aż ucałowała w głowę starego Ostapę, który na powitanie ję ręce całował.

— A jakże nieposłuchać? — odrzekli pocziwi kmiecie, — a kogożby i słuchać jak nie takich panów kochanych?

— Bóg zapłać wam za dobre słowo. Chodźcież-no moi dobrzy ludzie na *przeciwek*, trzeba mi waszój rady i pomocy w bardzo ważnej, a pilnej sprawie.

I wprowadziwszy do przeciwległej izby kłaniających się chłopów, poczęstowała ich gorzałką i tak rzecz swoje zaczęła: —

— Zaprosiłam was tutaj, żeby was pożegnać w imieniu kochanej pani mojej....

— Boże święty! — wykrzyknął Wasyl klasnawszy w ręce — a toż dla czego?

— Cóż my ję złego zrobili, że nas myśli porzucić? — dodał Maxym Skorochoch.

— Chybaż jakie listy od *samego* przyszły? — zapytał Ostap.

— Och nie, moi kochani! nie z dobrej woli i nie z ochoty to nam przychodzi; ale, jak wiecie, wszystko nam wzięła czarna godzina, straciliśmy cały dobytek i wszystkie zapasy, a co najgorsza, wszystkie pieniądze na opłatę posesyi przygotowane; a tu kommissarz nietylko tój zapłaty, ale i wynagrodzenia za spuszczenie dworu od nas wymaga.

— Jaki bo on rozumny! — rzekł na to Wasyl, kręcąc z przekąsem głową, — niby to pani dwór podpaliła.

— A choćby i pani, — dorzucił Maxym — toż to ani kommissarz, ani dziedzic tego niebudowali, ani za to płacili panu Podczaszycowi — jego to własna krwawica...

— To chyba na żarty tak sobie powiada! — rzekł poważny Ostap, — a co do raty, to Bogiem a prawdą, godzi się pofolgować w takiej niedoli, godzi się trochę poczekać.

— Prawda to wszystko, prawda moi kochani — odparła ze smutkiem Barbara, — jam też to wszystko dziś tu jemu mówiła, prosząc o zmiłowanie...

— A on-że co? spytałi wszyscy trzej razem...

— Och dobrzy ludzie! z nim gorzej niż z tym kamieniem! Kamieńby zadrżał, gdyhym tak nad nim jęknęła, a on nawymyślał tylko i na mnie i na państwa moich najdroższych, a zapowiedział, że jak mu jutro pieniędzy niedamy, to nas jak psy wypędzi, wyrzuci w czyste pole i biedną panią schorzałą, i dziatki ję niebogie!!... I rzewne łzy trysnęły z oczu pocziwój sługi...

— Ach poganiec! bezbożnik! — krzyknęli chłopci, pełni szlachetnego oburzenia. A płacząca Barbara ciągnęła dalej:

— I wyrzuci, pewno wyrzuci! i jeszcze was samych przyprowadzi tutaj jak hajdamaków, abyście się znęcali nad waszą pa-

nią, nad dobrodziejką waszą! żebyście za to, że was i dzieci wasze tylekroć ratowała w głodzie i chorobie, wywlekli ją z dziećmi na rozstajne drogi, by z głodu wyzionęła gdzieś ducha, jak bydlę do pracy już niezdadne, by jej złote dziateczki zwierzy gdzieś pożar!... Ale niedoczekanie wasze! — krzyknęła zapalając się — ja ich nie odstąpię, ja swoim ciałem próg wam zawalę, oczy wam wydrę, zębami was gryźć będę, aż się powściekacie jak od psa wściekłego; a nie dopuszczę krzywdy pani mojej najdroższej!...

— Bóg z wami! — zawołał Ostap — co się wam dzieje?

— Za coż bo nas krzywdzicie? — dodał ze smutkiem Wasyl.

— Niechaj spróbuje! — groźnie pomruknął Maxym.

— Niechaj spróbuje! — powtórzyli za nim dwaj pierwsi.

— Niedługo na to czekać! — rzekła Barbara — ot tylko co niewidać jak tu zleci z harapem, i jak dojeżdżacz psiarnię na zwierza, puści was na nas!...

— A niedoczekanież jego! — krzyknęli chłopcy — pierwsi sam głową nałoży, nim jeden włoszek wam spadnie!

— Doprawdy? wykrzyknęła uradowana Barbara, — to wy go nieposłuchacie? niepodniesiecie ręki na bezbronną może już dziś wdowę z sierotami, na Panią waszą, co dla was ni zdrowia, ni życia nigdyby niepożałowała.

— A niech nas pierwsi żywych ziemia pochłonie! — zawołał Maxym.

— Chybażby nas Pan Bóg odstąpił! — dodał Wasyl Hulaka.

— Tożby to i prawnukom naszym Bóg krzywdy waszej niezapomniał! — dorzucił Ostap.

— Dajcie wam Boże zdrowie, żeście mię pocieszyli choć trochę! Ale coż z tego? choć wy nieposłuchacie, to on tu przyprowadzi swoją własną psiarnię, i taki zrobi co zechce.

— Ho! ho! obaczmy! — zawołali chłopcy.

— Niedaj nam Boże obaczyć! — rzekła Barbara.

— Bądź już Imość spokojna — proszę ja Imości! — rzekł Maxym, całując jej ręce; — już jakoś to będzie. Nu, bracia, — dodał zwracając się do towarzyszy — niema co tu bałakać; chodźmy do gromady, a opowiedzmy rzecz całą i naradźmy się po ludzku.

— Co tu jest radzić? po prostu trzeba plebanie strażą otoczyć i w kołowrocie wartę postawić; — rzekł Ostap, — bo że nas niepoduści, to niema co i gadać; ale dobrze Imość powiada, że gotów swoją psiarnię przyprowadzić, a jaki Pan, taki i kram.

— A nu! to chodźmyż! — zakonkludował Wasyl — trzeba rozporządzić.

— O niechże wam Pan Bóg błogosławi za pocziwość waszą! — zawołała z uniesieniem Barbara, — wiedziałam ja dobrze że nas nie opuścicie! Ruszajcie, ruszajcie z Bogiem; a ty Ostapku przyprowadź mi parę swoich koników: bo ja muszę pobeżać do Zahala, do Pana Hilarego, czy nieznajdę tam jakiej pomocy. Maciej mnie powiezie, to nie zepsuje wam chudoby. Tylkoż mi spieszcie i z wartą i z końmi, bo chciałam powrócić póki moi powstają. I poczęstowawszy raz jeszcze gorzałką pocziwych kmieci, pożegnała ich do widzenia.

Ostap, Maxym i Wasyl, wróciwszy do Kuźmierz, zaraz się po wsi rozeszli, od chaty do chaty, zwołując gospodarzy na walną naradę do starego Dudarza; do karczmy się bali, żeby Żyd, psia wiara, zdrady nieuknował. Jakoż za godzinę zakopiało Ostapowe podwórko tłumną drużyną i starzec rozpoczął wiec.

— Nu, panowie gromada! obroniliśmy naszą posesorską od jednej śmierci, a teraz grozi jej druga!

— Pan Bóg z nami! a toż co znowu?

— A co? kommissarz chce ją wyrzucić, bo niema czem raty zapłacić.

— Ouwa! jaki on skory do wyrzucenia! — z tłumu podchwycił Maxym — niechby się z nami wprzód poradził. Nieprawdaż, panowie?

— A jużci, a jużci! — ozwały się głosy.
— Nu, to jak myślicie? — ciągnął dalej Ostap, — jak tutaj do nas przyjedzie i każe nam wyrzucać Panią, czy mamy jego posłuchać?

— A niech on swoje matkę wyrzuca, podlec przeklęty! — krzyknęło kilku z gromady.

— To nieposłuchamy! nieprawdaż? — prowadził Dudarz.

— Chyba ostatni szelma do tego szelmowstwa rękę przyłoży! — dorzucił Wasyl.

— A pewno, a pewno! — krzyknęli inni.

— Dobrze to wam gadać, — ozwał się głos jeden — nieposłuchamy! nieposłuchamy! a potem co? toż on nas żywcem ze skóry obedrze.

— A to wy, Andrzeju? — spytał się Ostap — i wamże to tak prawić? macież wy sumienie? a byłaz na was skóra, kiedy tu nastał Podezaszyc? nie za jegoż to panowania na grzbiecie wam wyrosła? I czy wam tylko? taż to i jednego tutaj nieznajdziesz, co by się mógł pochwalić, że za dawnych czasów miał całą skórę na karku. Podezaszyc nas skórą przyoblekł i rany nasze wygoił, a w całej włosci żywej duszy niema, coby mogła powiedzieć, że nie to włoskiem, ale choćby złem słowem ją dotknął!

— A prawda, prawda! — zawołała gromada.

— Prawda? ciągnął Ostap; — a wieleż to było takiego panowania? całych ośm latek — to inné ręce jużby z nas po ośm skór zdarły! tobyście i na wołowój skórze tego niespinali, ilebyście łóz dotąd wzięli, ile krzywd doznali!

— Co prawda to prawda... znów się ozwały głosy.

— Prawda? powiadacie; a kiedy przychodzi za to wszystko dla poratowania jego żony, a waszój dobrój Pani, raz jeden grzbiet swój nastawić, to wam i to trudno? a gdzież wasze sumienie? a macież wy Boga w sereu?..

— Któż to powiada? — ktoś to powiada? — wykrzyknął tłum cały z oburzeniem.

— Andrzej.

— Głupi Andrzej! niech sobie idzie do djabła, czy do kommisarza, a my z wami Ostapie!

— Ja tak tylko mówię — rzekł zawstydzony Andrzej — żeby wiedzieć czego się trzymać; a jak trzeba to trzeba, to i skóry niepożałuję.

— Ot tak to lubię! — zawołał Ostap.

— Raz maty rodyla, raz hynuty!

— Hirsz tycha bida nebude! — krzyknęli inni.

— Niezginiem i żadnej biedy niebędzie — ozwał się Maxym — wiecie przysłowie: *hromada wetyki czolowik!* żeby się jeden wyrwał, to co innego; żeby w złej sprawie, — niemówię; ale tak wszyscy i w Imie Boże, to i Bóg z nami!

— Wszystkich niewywiesza — dorzucił Wasyl — bo pożałuje.

Rozśmieli się poczeiwi kmiecie: — Nu! to i zgoda!

— Zgoda! — rzekł Ostap — a tak zrobimy: jak tu przyjedzie kommissarz, a każe abyśmy possesorkę wyrzucili, to go całą gromadą prosić będziemy, żeby jęj pofolgował. A jak się uprze, żeby *taki* koniecznie na swoim postawić, to nieposłuchamy. A jak przyprowadzi swoich *posiepaków*, ha! to się spróbujemy.

— Ha! to się spróbujemy! powtórzyła gromada z serdecznym śmiechem.

— Raz maty rodyla, raz hynuty!

— Obaczymy czyje będzie na wierzezu!

— Ej panowie kommissarscy! niedaj wam Boże popaść się w nasze ręce!...

— A potem — ciągnął dalej Ostap — Xiądz do dziedzica o wszystkim napisze, i on nam zrobi sprawiedliwość.

— Zgoda! zgoda! krzyknęli wszyscy.

— No, to i dobrze! a teraz pięciu do kołowrotu na wartę, a dwudziestu do plebanii na załogę, i niech się dzieje wola Boża!

— Czekajcie-no, panowie gromada!— ozwał się Maxym, wychodząc na środek. — Jak nastał tu Podczaszyce, tośmy za jego pieniądze i chaty pobudowali, i chudobę kupili, i chleba dostali... czy prawda?

— A juźci prawda!— jednogłośnie była odpowiedź.

— Teraz — ciągnął dalej pocziwy Maxym — jest u nas i chata i chleb i dobytek wszelaki, a u nich ani chaty, ani chleba, ani dobytku, — jest u nas i zapas pieniężny, u nich ani grosza przy duszy; i jednym słowem: czém byli my, tém dzisiaj oni; bądźmyż dzisiaj dla nich tém, czém wtedy oni dla nas byli. Podzielmy się groszem, choćby po połowie; oni nam to oddadzą, a Bóg pobłogosławi. I cóż wy na to, panowie gromada?

Gromada mileżała; — w tém Ostap zbliżył się do Maxyma i rzucił się mu na szyję z serdecznym uściskiem:

— Sam Pan Bóg przez was przemówił! tak być powinno. Mam dwa tysiące złotych, zaraz ci tysiąc wyniosę. Twoja to rada, ty więc i zbieraj i do Pani zanieśiesz.

— Daj wam Boże zdrowie, Ostapie!— odpowiedział Maxym, — tylko coś inni mileżą...

— Kiedyż bo ciężkie czasy... ozwał się ktoś z tłumu.

— To wam będą lżejsze,— rzekł Wasyl — jak nastanie znowu taki possesor, jak był przed Podczaszycem! Durnie wy! z przeproszeniem. Ja mam także coś tam około tysiąca, oddam choćby i wszystko, bo wiem że moje nieprzepadnie.

— Nu bracia! wołał Ostap, — czyja wola i łaska, niech się opowie.

W gromadzie zaczęły się szepty i narady, a po chwili, prawie jednogłośnie składka uchwalona została, wynosząca kilkanaście tysięcy złotych.

— Ot tak będzie najlepiej:— rzekł Ostap — oddamy to komissarzowi, to się i bez zwady obejdzie.

— Jak raz!— zawołał Wasyl, — tylebyśmy tylko i widzieli. Trzeba oddać samęj possesorce.

— Rozumnyś!— rzekł Maxym — a spytaj czy przyjmie? a przytém ona teraz ledwie co żywa.

— Nu, to najlepiej oddajcie Babie; jéjby i miliony można powierzyć; a ona się z kommissarzem rozmówi.

Na tém też rzecz stanęła, i wesola gromada nietracąc czasu, rozeszła się gdzie komu było przeznaczono: jedni do kołowrotu, drudzy na wartę, ci po pieniądze, a Maxym po konie.

Około północy już cała plebanija była otoczona przez dwudziestu kilku młodych, krzepkich parobków, nad którymi Wasyl objął dowództwo; a Ostap z Maxymem stanęli przed Barbarą, którą zastali na klęczkach przed obrazem Bogarodzicy, w gorącej pogrążoną modlitwie, tak że nawet ich przyjścia niesłyszała. Dopiero gdy Maxym, kilkakrotném kasznięciem, dał znak o swojej obecności, zerwała się ku nim z rozradowaném obliczem, choć jeszcze w oczach rzewne łzy stały.

— A co, moi kochani?

— Chwała Panu Bogu wszystko już dobrze!— odpowiedział Maxym z pokłonem.

— Warta będzie?

— Już jest.

— A konie?

— Oddałem Maciejowi. Ale Imościuniu kochana! może ani warty, ani koni już niepotrzeba, bo my tu z gromadą lepszy obmyślili sposób. — I spójrzał zakłopotany na Ostapę.

— Cóż to za sposób, dobrzy moi ludzie?

— Rozpowiedzcie bo wy, Ostapie!— rzekł Maxym, trącając łokciem swego towarzysza.

— Bóg z wami, kumie! wasza to sprawa, to i powiadajcie.

— Cóż bo tam, moi kochani?

— Ot tak, Imościuniu kochana, ja myślę że najlepiej zapłacićby kommissarzowi co się należy i zbyć się całej tej biedy.

— Zapewne, że tak najlepiej;— rzekła z westchnieniem Barbara,— ale zładze tyle pieniędzy, kiedyśmy sami ledwie z duszą uciekli.

— Rozpowiedziecie, Ostapie!— rzekł znowu Maxym.

— Ot byście niedziwaczyli:— rzekł Ostap z niechęcią,— zrobić to umiecie i sami, a gadać za was potrzeba.

Podrapał się w głowę pocziwy Maxym i rzekł spuszczać oczy ze wstydem:

— Ot, Imościuniu kochana, nasza gromada was prosi, żebyście jej pozwolili dzisiaj zapłacić to od razu, co przez lat ośm u Państwa napożyczała w różnych różnościach; i ot na moje ręce złożyła jak raz tyle, ile się za pół roku do skarbu należy.— I niepodnosząc oczu od ziemi, z zakłopotaniem miał czapkę w rękę.

Barbara stanęła w milczeniu, z załamanemi rękoma, z głową zwieszoną, a z serca przepełnionego podziwem, wdzięcznością i uwielbieniem, łzy rzewne były przez oczy hojnym potokiem.

— O, błogosławcie wam Boże!— rzekła po chwili, wyciągając ręce ponad głowy pocziwych kmieci— błogosław wam Boże na dzieciach, wnukach i prawnukach, za wasze serca pocziwe! O! z wami by, z wami żyć i umierać i w niebie szczęśliwości używać!

— Imościuniu kochana! babeczko złota *)!— wykrzyknął Maxym w radośnem zapomnieniu rzucając się do nóg Barbarze wraz z Ostapem,— o niechże wam Pan Bóg za to zapłaci! Nuże Ostapie! żwawo po pieniądze!... I zerwał się ku drzwiom co żywo.

— O! nie, moi kochani!— zawołała Barbara— ja wam dziękuję, ja was błogosławię za dobre serca wasze; ale pieniędzy niewezmę.

*) Pospółstwo na Litwie babkami zwie motyle.

— Boże miłosierny! a toż dla czego?

— Dla tego, dobrzy moi ludzie, że niechcę, aby na sumieniu moich państwa kochanych wasza krzywda ciążyła...

— Ale gdzież-bo ta krzywda?

— Nieprzerywajcie mi tylko... wiecie to dobrze, żeśmy wszystko stracili, i pieniądze, i zboże, i remanenta, i wszelką ruchomość; zostaliśmy tylko ot tak jak stoim, bez dachu nawet nad głową, a co najgorsza— bez gospodarza w domu! Bóg wie kiedy pan wróci, i czy nam wróci jeszcze? To i cóż z tego, że zapłacimy ratę i zostaniemy na tych tu zgłiszczach? Słabe kobiety, czyż damy sobie radę z gospodarstwem, czy zdołamy kiedy stanąć na nogi i do dawnego bytu powrócić? Darmo o tym i myśleć!! To na cóż mamy pociągać za sobą i was w tę przepaść, w którąśmy w złą godzinę upadli? Na co z waszą krwawicą grzech mamy brać na duszę, by nas do reszty Pan Bóg odstąpił? Bo co tu próżno się ludzić? pieniędzy waszych nigdy już wam oddać niepotrafimy.

— Ależ Imościuniu kochana!— zawołał Maxym wpół z płaczem,— któż wam o oddaniu wspomina? Toż to my wam dług zapłacić chcemy!

— Bóg was tych słów pocziwych nauczył, dobry mój Maxymie!— odpowiedziała Barbara,— ale żeście tacy pocziwi, to nam niepocziwymi bydz niewolno. Wyście nam nie niewinni: bo jeśli co kiedy dobrego zrobił wam Podezaszyc, toście mu już dawno szczerą swoją pracą odsłużyli. Niema więc o czém i gadać! Za dobre serca, sercem wam dziękuję, ale pieniędzy niewezmę. Kto wie jakiego pana po nas dostaniecie; może się do was dawne czasy zawrócą; to lepiej niech grosz zostanie na lichą godzinę.

— Tożbo to, tożbo to— zawołali chłopci w głos jeden— że my nie chcemy mieć innych panów!

— Posłuchajcie-no Imościuniu!— rzekł Ostap poważnie— wszystkie te korowody na nie się nie zdały; ot ja wam powiem po prostu: jak wam przynieśli z rezurekcyi świętej waszego męża bez duszy, gdyby się wtedy znalazł kto taki, co by wam powiedział: daj wszystko co masz, a mąż twój ożyje!— czybyście wtedy i ostatniej koszuli z siebie nie zdjęli? Otóż tak dzisiaj tu z nami: bo czém był dla was nieboszyk, tém dla nas nasi państwo kochani— opieka, podpora, rada i wspomżeniem i opatrnością Bożą na ziemi! To nieróbcie nam krzywdy, krzywdy najcięższej, dobrowolnie nas pozbawiając całego szczęścia naszego. Wy nam dziękujecie za serce— tu serce na bok— tu niema żadnej ofiary— to tylko po prostu okup za naszą duszę przekłniewi temu!

— Wszystko to dobrze, moi kochani,— odpowiedziała Barbara ze smutkiem,— niechaj to będzie i okup, kiedyż się na nie nie przyda, bo nie dziś to jutro z Zabrodzia musim ustąpić.

— Ej Imościuniu!— rzekł Maxym— jutro w Bożem ręku, myślm o dniu dzisiejszym, a dalej jakoś to będzie.

— Może Podczaszyce wróci, może dziedzic przyjedzie, to wszystko się załatwi,— dorzucił Ostap.

Barbara milczała smutnie chwiejąc głową.

— Imościuniu kochana!— rzekł Maxym błagalnie, rękę jej całując— niemęzcie nas dłużej, a powiedzcie, że zgoda.

— Kiedyż-bo się niegodzi tak ciężko was krzywdzić!

— Krzywdzić?!— zawołał Ostap z uniesieniem— ej Imościuniu! chybaż wy Boga w sercu niemacie! toż większa krzywda nam będzie, jak nas w złe ręce jakieś oddacie; zresztą, kiedy już niemożem wyprosić u was zmiłowania dla siebie, to miejcież je dla swojej pani! pomyślcie w co się ona obróci, gdzie głowę nieboga złoży, gdzie się z dziatkami przytuli? jużciż nie-zebrać jej chleba po świecie, niewpraszać się gdzieś tam w komorne! Chcecież, żeby przepadła marnie z głodu i żalości, i to

z waszej przyczyny? Wybaczeie, Imościuniu, ale tak się niegodzi, i nigdy ja po was niespodziewałem się tego! coś mi się zdawało, że państwo nasi kochani większej u was godni miłości!!... Róbcie jak chcecie! ale pomyślcie tylko jaki rachunek zdacie przed Podczaszycem, kiedy was z płaczem zapyta: nacoście dopuścili do zguby jego rodzinę? pomyślcie co ludzie na to powiedzą, i jak was Pan Bóg osądzi?...

— Dosyć już! dość tego, Ostapie!— wykrzyknęła Barbara, ze łkaniem twarz w dłoniach kryjąc— róbcie już sobie co chcecie, tylko niezabijajcie mię takim gadaniem!! O Boże mój! Boże miłosierny! do czegośmy doszli nieszczęśliwi!

— Pani najmiłsza! Imościuniu kochana!— zawołał Maxym rozrewniony— nie płaczcie, nierozżalajcie sobie serca biednego! Bóg dobry was nie opuści... A nu, Ostapie! chodźmyż po pieniądze.

— Zaczekajcie-no trochę!— rzekła Barbara, uspakajając się cokolwiek— niech-no ja wprzód pojadę do Zahala, a jak powrócę, to wtedy się poradzimy, co robić.

Ostap niecierpliwie w głowę się podrapał.

— Ot jabym niejeździł, bo dalipan na nie to się nieprzyda. Wybaczeie, Imościuniu, że ja was tém *zmarkocę*, co teraz powiem, ale co prawda, to prawda: ten possesor Zahalski, to jakiś *łukawy* człowiek! On niby to szczery, niby to was miłuje; ale takż to szczerość, takież to i miłowanie, kiedy, ot drugi już tydzień, ani się dowię, choć pewno wie dobrze, co tutaj się stało, i że jego rada i pomoc byłaby dzisiaj jak raz w samą porę.

— Może i sam on w biędzie,— odparła Barbara,— może i jego jakie nieszczęście spotkało...

— Ech, Imościuniu!— dorzucił Maxym— żywy on i zdrowy i nie mu się niestało, ucieka tylko ztąd kędy drwa rąbia, żeby w łeb trzaską niedostać!

Westchnęła zasmucona Barbara.— Obaczmy; zawsze się trzeba wprzód przekonać i niepotępiać bez sądu.

— Wola Imości!— odpowiedzieli chłopci z pokłonem.

— Pojadę; a wy, moi kochani, czuwajcie na miłość Boga, żeby się tutaj co złego nie stało. Ja się niezabawię, w Zahalu rano wstają, to może zaraz ze słońcem i ja tu będę, nim jeszcze pani się obudzi. Zostańcie z Bogiem.

— Niech Bóg was szczęśliwie prowadzi!— odrzekli chłopci, i ucałowawszy ręce Barbary, poszli Maciejowi koło zaprzęgu pomagać.— Baba tymczasem pobiegła na przeciwek, zaleciła mamce jak najtroskliwszą czujność, ucałowała i przeżegnała i matkę i dzieci, i szepcąc pacierze wyszła na podwórko i siadła na wózek, który się zwolna za wrota potoczył, żeby turkotem śpiących nieprzebudzić. Ostap i Maxym wyprowadzili ją aż na gościniec, idąc po obu stronach bryczynki i słuchając po raz dzieśiąty czułych zaleceń, aby niedali krzywdzić kochanej pani, aby jej strzegli jak zrenicy w oku.

— No, bądźcież zdrowi!

— Jedźcie szczęśliwie!

— A nieżałuj szkapiat, Macieju!— dorzucił Maxym— bo to pilna sprawa.

— Wio, dziatki!— huknął Maciej, machnąwszy batem— i zwałe konięta ruszyły tęgiego kłusa, unosząc po gładkiej drodze turkoczący wózek.

Noc była jasna, cicha, xiężyc w pełni przyświecał,— a ku wschodowi już się zaczynało pogodne niebo porannym brzaskiem rumienić. Barbara, to modląc się gorąco, to dumając o swojej biędzie, siedziała mileżąca, skulona na swoim wózeku, drząc na porannym chłodzie, niekiedy tylko prosząc Macieja o pośpiech, bo radaby skrzydłami do Zahala polecieć, żeby prędkiej wrócić do domu ze skuteczną radą, i żeby się dowiedzieć, co się dzieje z panem Hilarym, od którego przez dwa tygodnie najmniejszej wieści nie miała; aż tu nagle Maciej, z wykrzykiem zdumienia zatrzymał konie.

— Cóż to się stało, Macieju?

— Dalpan, że niewiem! Co znów u licha? toć to tędy powrótką do Zahala, a tu ani śladu — pole zaorane czyściutko! w Imie Ojca i Syna! niech-no Imość popatrzy. Oń-dzie trzy grusze, oń-dzie krynica, oń-dzie olszynka, a hen i dwie sosny, gdzie się droga skręca na lewo — a drogi niema — pole taj dosyć! Chybaż nas wodzi? W Imie Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen! tfu zgiń maro, przepadnij!...

— Zaorali,— rzekła Barbara — może gdzie inną drogę zrobili, ale nam niepora jej szukać: ruszaj przez pole, wszakei dobrze wiemy którądy? trafilibyśmy i z zawiązanymi oczyma. No, w Imie Boże!

Maciej się przeżegnał i ruszył zwolna po zoraną rolę, to klnąc, to się modląc, i raz w raz oglądając się na Barbarę, z obawy, aby niewyleciała z wózka miotającego się na wszystkie strony po głębokich bródach. Tak przebywszy wiorst ze dwie, o samym wschodzie słońca stanęli u zamezystych wrót dworu. Tu kilku wartowników obskoczyło wózek Barbary, pytając: kto? zkąd i po co? Lecz jeden z nich, poznawszy ją i Macieja, uspokoił swoich towarzyszy i dalsze placówki rozstawione gęsto przy parkanie do koła folwarku, a zakołatawszy do bramy, rozpoczął rozmowę z wewnętrzną strażą, polecając tam komuś, aby poszedł do pana i poprosił, by wrota dla pani Barbary otworzył.

Barbara ze zdumieniem spoglądając na wojowniczą postawę dworu:— Cóż to się u was stało?— spytała stróża.

— A cóż się stać miało?— odpowiedział chłopiec — żywiśmy Bogu dzięki i zdrowi; ale od kiedy wam dwór spalili, to my tu po całych dniach i nocach odpoczynku niemamy! Coś przystąpiło do naszego pana, odpuść Panie Boże! bo to tylko śmiech ludziom! niby to nasza warta coś tu pomoże? ta jakby się oni tutaj pokazali, tobyśmy zaraz takiego dali drała, aż by się zakurzyło!

— To wy już dawno wiecie, że Zabrodzie spalili?

— Toż wiemy, bośmy tu łunę widzieli, i pan zaraz posyłał, żeby się dowiedzieć, co się to dzieje; a jak Hryćko wróciwszy rozpowiedział rzecz całą, tak téjże minuty kazał wartę postawić, bramę zatarasować i ani krokiem z folwarku.

— I drugi raz już nieposyłał do Zabrodzia?

— Nigdzie na świecie! naokolutenko nawet drogi pozaorywać kazał! Siedzimy tutaj jakby zakłęci, i od dwóch tygodni ani żywej duszy w oczysmy niewidzieli!

Zakipiało w sereu Barbary: przysły jój na myśl słowa pocziwych kmieci, i pożałowała swojej wycieczki, swoich nadziei na pana Hilarego, i swojej o niego troski.

— W tém zaskrzyły wrzeciądze bramy i przez uchylone podwoje wysunęło się wybladłe, przerażone oblicze pana Hilarego.— Ujrawszy Barbarę, szanowny jój narzeczony uśmiechnął się z przymusem, witając ja niskim ukłonem.

— Nóżki całuję! nóżki całuję! cóż to mię takiem szczęściem obdarza? Prosimy, prosimy,— dodał, otwierając wrota z pośpiechem— wjeżdżaj Macieju, a żwawo!

A gdy wózek wtoczył się na podwórko, czém prędzej zamknął wrota na powrót, rygle zatarasował i ogromną kłódkę zawiesił.

— Prosimy, prosimy! Mocno się cieszę! ale bodajże ciebie Macieju! zgubisz mię na wieki! jak można drogę rabusiom wskazywać?

Barbara smutna, ponura, milcząca, wysiadła z bryczynki i weszła do izby przed kłaniającym się panem Hilarym.— W izbie było pusto jak po Tatarach! ani jednego sprzętu dokoła, ani obrazka na ścianach; wiązka tylko słomy na ziemi, przykryta grubą derżą, i dzban wody na oknie.

— W Imię Ojca i Syna! cóż to się stało?— wykrzyknęła Barbara— czy i tu byli rabusie?

— Nie, dzięki Bogu;— odparł Hilary— ale na wszelki przypadek uprzętnałem się z moją chudobą: strzeżonego Pan Bóg strzeże...

— Ej panie Hilary!— rzekła Barbara z goryczą,— czy nie zanadto się strzeżesz? zdaje mi się, że Bogu nie już do roboty niepozostaje, i boję się, aby się nieodwrócił od waszmość pana!

— Ostróżność nigdy niewadzi.

— Wadzi, mój panie, wadzi;— rzekła Barbara surowo,— wadzi, gdy ktoś do zbytku myśląc o sobie, o drugich całkiem zapomni...

— Albożem ja zapomniał? przysięgam Bogu, że posyłałem, dowiadywałem się, gryzłem się i modliłem, a nawet piątek suszyłem na waszą intencję.

— Wolałbyś waćpan sam przyjechać, a przynajmniej poradzić, jeśli już niedopomódz.

— Cóż ja mogę poradzić, i w czém dopomódz? czy ja Salomon, czy Krezus?

— I mnież to się waćpan śmiesz pytać?— zawołała z oburzeniem Barbara,— a pan Podeczaszye dla waćpana to mógł być i Salomonem i Krezusem, kiedy i z radą i z pomocą nie raz i nie dziesięć razy przychodził! a dzisiaj, kiedy żona jego z kilkorgiem drobnój dziatwy, ze wszystkiego wyzuta, przygnębiona nieszczęściem i chorobą, bez żadnej pozostała opieki, to waćpan i biédny i głupi!

— I cóż ja mam robić?— rzekł skonfundowany Hilary— przysięgam Bogu, że niewiem...

— Co robić? jaż to mam radzić waćpanu? Żona waćpanowego przyjaciela, dobroczyńcy, ledwie z duszą z ognia uciekwszy, ocalenie swoje i dziatwy zawdzięczając chłopom, przytułek— zaenemu Wikaremu, kawałek chléba— pocziwym kmieciom, zagrożona przez tego łajdaka pełnomocnika wyrzuceniem nawet z plebanii, gdy mu niezapłaci tenuty i szkód przez rabusiów zrzą-

dzonych; a waćpan się pytasz, co robić? To idź-że i od chłopów naucz się rozumu i poczciwości, idź, obacz, jak grosz ostatni znoszą, aby się złożyć na zapłacenie raty, jak dniem i nocą wartują, by od napaści ukochaną panią swoją obronić... A nikogo o radę nieprosili, i nikt im nieradził—Bóg tylko jeden i wdzięczne serce...

— Nu, to i czegoż więcej potrzeba? przysięgam Bogu, że ja nic lepszego niewymyślę! wziąć od chłopów pieniądze, zapłacić plenipotentowi i basta...

— A potem?

— Cóż a potem?

— Zkąd remanenta? zkąd chleb powszedni? zkąd wreszcie środki do uiszczenia się chłopom?...

— Przysięgam Bogu, że niewiem!

— No to ja waćpanu powiem. Jedź waćpan zaraz do pełnomocnika, niesłuszne pretensje z głowy mu wybij, tenutę zapłać i weź na siebie Zabrodzie: bo tu rzecz idzie o to, aby tylko pani Podczaszycowa spokojnie mogła przyjść do zdrowia, aby ten podlec jakiego się gwałtu niedopuscił; a potem damy sobie rady i sami.

Pan Hilary skrobał się w głowę, skrzywiwszy usta w milczeniu.

— I cóż waćpan na to?

— Przysięgam Bogu, że niemogę... Zabrodzie to wprawdzie intratne, ale teraz zniszczone, wiele potrzebuje nakładu, a czasy niepewne.... Ot wiesz co, pani Barbaro,—pobierzmy się nie odkładając, a panią Podczaszycową zostawmy jej losowi, niezganie ona i bez nas... przysięgam Bogu... i z przymileniem ujął Barbarę za rękę.—Lecz ta odtrącając go z najwyższym oburzeniem:—Jak to?!—wykrzyknęła—i waćpan śmiesz mi taką nikczemność doradzać! i waćpan z taką duszą śmiesz myśleć o związku ze mną? a! wołałabym w szarą siermiędzę chodzić, wołała-

bym Zydom pomyje wynosić, wołałabym żyć pod Cygańską szatą, niż pójść za takiego potwora... I znać niechęć waćpana, i słyszeć o waćpanu niechęć! Oto waćpanowa obrączka, pluję dziś na nią i depeę ją nogami, a Panu Bogu dziękuję, że mię w porę oświecił!

I zerwawszy z palca obrączkę, z najwyższą pogardą cisnęła ją na ziemię, i podeptała nogami.

Pan Hilary podniósł obrączkę przez uszanowanie dla złota, i idąc za wychodzącą w oburzeniu Barbarą, starał się ją umitygować i udobruchać.

— Pani Barbaro! ależ jeszcze słóweczko! przysięgam Bogu, niema się za co tak gniewać!...

Ale poczciwa kobiecina nie już słyszeć niechciała; wypadła na dziedziniec, skoczyła na bryzkę, i z imponującym wejrzaniem i giestem kazała bramę otwierać. Pan Hilary nieśmiało już stawiać oporu i odryglował wrota.

— Ruszaj co koń wyskoczy!—krzyknęła Barbara,—ruszaj do domu!—Maciej zaciął koniki, i bryczka pomknęła przewalając się jak czołno na fali, po nierównej roli.

Tu dopiero poczciwa sługa gwałtownym wybuchnęła łkaniem, ukrywszy w dłoniach łzami zalane oblicze...

— Boże mój święty! co się Imości stało?... zawołał Maciej z przestraczem.

— Oj biedniż my, biedni, dobry Macieju! biedna pani nasza kochana! ostatnia nadzieja marnie przepadła, i znikąd, znikąd pomocy! O Boże mój, Boże miłosierny! za cóż nas tak doświadczasz?...—I płakała rzewnie jak dziecko, zachodząc się od łkania.

— Imościuniu złota, Imościuniu moja serdeczna! nierozpaczajcie, nieplaczcie! Bóg miłosierny, a ludzie nie kamienie... toż tam w domu rada gotowa, i na co było jeździć za inną, a czas darmo marnować...

— Kiedyz bo i tamto na nie się nie zdało; ludzi tylko skrzywdzimy, a sobie niepomóżemy... ale ruszaj, ruszaj Macieju!...

Maciej konie zaciął, a wciąż pocieszał płaczącą Barbarę, od czasu do czasu, łzy ocierając rękawem; i tak około siódmej porannej wjechali na Zabrodzką granicę i ujrzeli kościółek i plebanię... Wyteżyła wzrok niespokojny Barbara, gdyby mogła, ptaszczeniem furknęłaby do domu... Ruszaj Macieju!— Maciej konie czwałem wypuścił, lecz nagle oś pękła, i biedny człeczysko z rozpaczą załamał dłonie! Ale pocziwa Baba, nie tracąc czasu, wyskoczyła z bryczki, i piechotą, jak strzała, pusiła się do Zabrodzia, rzucając na drodze furmana z wózkiem i z końmi i nie słysząc jego wołania... Nie wiem czy prędzej wiozłyby ją chłopskie szkapięta, czy prędzej skrzydłaby niosły...

Kiedy zadyszana, potem oblana, wpadła, na dziedziniec plebanii, zastała tam wszystko w spokoju; Żuczek w wesółych podskokach wybiegł na jej spotkanie, i oglądając się ku przyzbie, na której siedział sędziwy Wikary, rozmawiając ze stojącymi obok arendarzem, Maxymem i Ostapem.

— Cóż to się stało? zawołali wszyscy niespokojnie, spostrzegłszy Barbarę zziąjaną, okrytą kurzawą i potem.

— Oś pękła, rzuciłam konie i przybiegłam piechotą;— odrzekła prędko, — a tu co słyszać?

— Wszystko Bogu dzięki spokojnie!— odparł Wikary, któremu łzy rozrzewnienia oczy zwilżyły.

— Był plenipotent?

— Był.

— I cóż?— spytała z trwogą.

— Dał się udobruchać;— odrzekł Wikary, — i spójrz na arendarza gładzącego brodę z uśmiechem zadowolenia.

— Oddaliście pieniądze!— wykrzyknęła z trwogą Barbara.

— Nie,— rzekł arendarz — aleśmy powiedzieli, że Imość dzisiaj przywiezie.

— O Bożeż mój, Boże!— jęknęła załamując ręce w rozpacz, — cóż teraz będzie, kiedy pieniędzy niema!...

Tu znowu Maxym przystąpił z prośbą i namową, i raz wraz kłaniając się do kolan, ciągle powtarzał: Weźcie od gromady! miejcie litość nad sobą i nad nami!

— Wikary i arendarz nieszczędzili także perswazyi, ale również daremnie. Nareszcie zacny Kapłan wyrzekł z powagą:

— Ależ moja pani Barbaro! dobra jest taka szlachetna duma, lecz tu ona weale nie w miejscu. Przypomnij sobie, że tu rzecz idzie nie tyle o ciebie, co o panią Podczaszycową z biédnymi jej działkami, i wątpię czy masz prawo, bez jej woli i wiedzy odrzucać ofiarę pocziwych kmięci, która może stanowić o całej jej przyszłości.

Barbara ze łkaniem rzuciła się do kolan sędziwego starca, i całując je z rozrzewnieniem—Dziękuję! dziękuję!— wołała z płaczem — dzień się już wola Boża! pójdę do pani, wszystko jej opowiem, niech sobie sama w tej rzeczy stanowi; — daj Boże żeby inaczej myślała, a przynajmniej, żeby spokojnie smutną nowinę przyjęła...

Jakoż udała się do dworku.

Uchyliwszy drzwi cichutecznie, na palcach wsunęła się do izdebki, sądząc, że jeszcze wszystkich zastanie śpiących; ale ostrożność jej była zbyt uczynna, bo oprócz Zosi uspionej na łóżku matczynem i Józki kołysanej przez mamkę, wszyscy już byli na nogach. Podczaszycowa na klęczkach między Michasiem i Olesiem, głośno odmawiała pacierze, które w ślad za nią powtarzały dziecięte, utkwivszy oczęta w świętym obliczu *Pocieszycielki utrapionych*. Dziwnie uroczysta jakaś powaga i świętość panowała dokoła. Poranne słońko wpadając przez okienka, zastawione wazonikami i zawieszzone zielonemi firankami, napelniało pokój łagodnym, szmaragdowym światłem; przez rozwartą fórtteczkę wiało z ogródka świeże technienie poranku, mieszając się z wonią

gwoździów i rezedy. Pod oknami na przyźbie skrzekotała wesół sroczka, a w klateczce zawieszonéj pod belką szezebiotał rzeźwy szczygiełek; ścienny zegar poważnie, uroczysie niepowrótne kroki czasu wymierzał; stukotała z lekka chwiana kołyska; od czasu do czasu westchnęła rozrzewniona mamka, po cichu szepeąc pacierze za drogą panią i jej dzieteczkami; a głos Podczaszycowój, osłabiony długim cierpieniem, przejęty serdecznym bolem, łzawy, rzewliwy, dźwięczał świętym akordem nadziei, wiary i miłości, odbrzmiewając jak gdyby wierném echem z serduszek dziecięcych.

Barbara stanęła jak wryta, załamawszy ręce spuszczone i głowę smutnie zwiesiwszy; łzy rzewne puściły jej się z oczu, mimowolnie prawie osunęła się na klęczki, padła twarzą do ziemi i gorącą modlitwę posłała w Niebiosy, niema lecz wymowniejszą przed Bogiem nad chóry anielskie.

Po chwili, Podczaszycowa skończywszy swoje pacierze, powstała z dziećmi, a ujrawszy Barbarę, przyklękła we łzach u progu, wszyscy troje rzucili się ku niej z pośpiechem, pytając o przyczynę łez jej i smutku.

— Nic, nic, kochana pani! nie moje aniółki! — odrzekła piasunka, całując ręce Podczaszycowój i uściskając dzieteczki. — Niech-no pani usiądzie, bo tak po chorobie to klęczeć, to chodzić, wcale niedobrze.

I wzięwszy ją pod rękę, troskliwie zaprowadziła do sofki, dała pod plecy poduszkę, pod nogi stołeczek, a usadowiwszy wygodnie, rzekła do dzieci:

— Skoczcie-no, moje pieszczołki, do ogródka, a przynieście świeżych kwiateczków dla mamy.

Gdy dziatki wybiegły, posłuszne jej woli, ona przykląkwszy u nóg Podczaszycowój, i ujawszy w swe dłonie rękę jej wychudłą, tuliła ją z uniesieniem, całowała kolana, całowała nogi pani swojej kochanej, z czułością i rozrzewnieniem w oczy się jej wpatrując.

— Co tobie, kochana Babcu? — spytała Podczaszycowa, zdziwiona niezwykłym tym wylewem przywiązania — czy masz jaką dobrą nowinę?

— Pani moja najmiłsza! pani jedyna! — zawołała Barbara, ponawiając tkliwe pieszczoty, — trzebaż mi lepszej nowiny, jak ta, że pani moja droga do zdrowia już przychodzi? że się dźwigać zaczyna o własnej mocy? że z ufnością Bogu się modli... ale mam coś jeszcze, mam dowód wyraźny, że Bóg słyszy modlitwy nasze, i że nas nieopuścił w niedoli... Oto pocziwa nasza gromada ofiaruje nam pożyczkę na zapłacenie tenuty, o którą się plenipotent naprzykrza...

— Pocziwi ludziska! niech Bóg im to nagrodi! — rzekła Podczaszycowa głosem pełnym rzewności ze łzami w oczach.

— Ach pani moja najmiłsza! zawołała Barbara, z nową extazją nogi jej całując, — dziękuję pani! dziękuję! wszystko więc dobrze, chwała Panu Bogu! Biegnę do Maxyma!... toż to się ucieszy! — i zrywając się z pośpiechem, biegła już do drzwi, gdy ją Podczaszycowa wstrzymała.

— Zaczekaj, Babcu kochana! nieciesz się tak bardzo, bo niema czego... posłuchaj mnie tylko; usiądź tu przy mnie, a poradzmy się rozsądnie.

Zesmutniała Barbara, usiadła znowu u nóg Podczaszycowój, która tak dalej mówiła:

— Ciesz mnie, rozrzewniona ofiara dobrych kmieci! do śmierci pamiętać będę tę błogą chwilę radości, której przez nich doświadczam, do śmierci modlić się za nich będę, ale pieniędzy nieprzyjmę, bo oddać niebędę w stanie...

— Ależ pani najdroższa! — przerwała Barbara.

— Nieprzerywaj mi, proszę. Niesądź że mi choroba moja pamiętać odjęła; bynajmniej. Pamiętałam ja dobrze o tych nieszczęśliwych pieniądzach, myślałam i przemyślałam po całych dniach i nocach, i nieraz gorzkiemi łzami u Boga pomocy i rady prosi-

łam, ale wszystko daremnie! Za całą pociechę mam tę szlachetną ofiarę chłopów, której nieprzyjmę; za całą radę — wyrzeczenie się posesji, bo szaleństwem byłoby marzyć, że po takim zniszczeniu, w takich złych czasach, bez gospodarza w domu, potrafiemy się przy niej utrzymać, choćby nawet było czém ratę dzisiaj zapłacić.

— Ale cóż robić? ale gdzie się obrócić? — wykrzyknęła Barbara łzami się zalewając i tuląc swą głowę do kolan Podezaszycowej.

— Prawda że trudno dać sobie radę z czwórgiem dzieci na rękę; ale Bóg dobry, On nas nieopuści! Byleby mi tylko trochę się wzmodz na siłach, poszukam sobie służby...

— A ze mną co będzie? — jęknęła pocziwa sługa.

— Z tobą, moja droga? Przynajmniej tyle mam pociechy, że się o ciebie troskać niepotrzebuje. Każdyby cię z otwartymi ramionami w dom przyjął: jak dawniej, tak i dzisiaj, mogłabyś znaleźć służbę stokroć korzystniejszą, niż u nas; ale jęj wcale niepotrzebujesz, mając P. Hilarego, który z taką tęsknotą ciebie wygląda...

— Pani najdroższa! pani najmiłsza! niemów tak do mnie! nie mów na miłość Boga, bo skonam tu u nóg twoich! Ja niechcę inną służby! ja niechcę korony, niechcę niebieskiej chwały, bez ciebie, pani jedyna! Tak być niemoże! ja niepozwole na to, żebyś się pani poniewierała po służbie jakiegós! trzeba inaczej radzić.

— Cóż innego obmyśleć?

— Pani moja złota! gołąbko moja najmiłsza! — mówiła Barbara ze łkaniem, znowu całując ręce i kolana Podezaszycowej — pomyśl tylko dobrze: czyby nie lepiej przyjąć pożyczkę u chłopów... i z prośbą i z obawą w oczy jęj patrzyła.

— Nie, moja droga, tego nigdy nie zrobię, to darmo?

— Bądź wola twoja! — rzekła Barbara z westchnieniem, tłumiąc łkanie serdeczne; — ależ ja i służyć pani niepozwole. Tylko

na miłość Boga, — dodała kłękając i składając ręce jakby do modlitwy, — nieodrzucaj pani mojej rady! Jedźmy do Słucka: tam sobie najmiemy dworek i będziemy trzymały studentów, a tym sposobem i pani się bez poniewierki utrzymasz, i nasze chłopcy przy innych się wyżywią; a inaczej i oni musieliby szkoły porzucić.

Podczaszycowa z radośnym wykrzykiem, rzuciła się na szyję pocziwój słudze.

— O mojaż ty droga! mojaż ty pocziwa Babcio! Pan Bóg przez ciebie przemówił! Snadź masz wielką łaskę u Niego, kiedy ci zesłał takie święte natchnienie. O gdybyż prędzej siły mi przyszły!

— Przyjda, przyjda, pani najmiłsza! tylko się nie gryźć, nie troskać, a zdać się na Boga... Ot i dziatki wracają, a jeszcze nie niejadyły biędne robaczki!.. zaraz o nich pomyślę, tylko wprzód skończę z Maxymem. — I ucałowawszy po raz setny kolana Podezaszycowej, wybiegła na dziedziniec.

Wikary i Maxym, widząc ją radośną, rozpromienioną, ucieszyli się serdecznie, pewni, że im dobrą nowinę przynosi; to też, tém większe było ich zmartwienie, gdy się dowiedzieli o postanowieniu Podezaszycowej. Zwłaszcza pocziwy Maxym tak strasznie spochmurzał, jak gdyby go największe nieszczęście spotkało. — Probował jeszcze namowy, ale Barbara przerwała mu pośpiesznie:

— Niemówcie mi o tém, Maxymie, bo tylko darmo serce mi rozżalacie; a radźmy lepiej o czém inném. Musimy ztąd jechać, to niewątpliwie; ale jeszcze z tydzień pani moja kochana niebędzie mogła z domu się ruszyć, a tu plenipotent grozi wyrzuceniem! Na miłość Boga, Xieże dobrodzieju, i wy dobrzy ludzie, niedajcie nas krzywdzić!

— A niech spróbuje! — wykrzyknął Maxym, z największym uniesieniem zaciskając pięście, — niech spróbuje, kiedy mu życie nie-miłe! A nas niechaj Bóg sądzi; my niebędziemy winni naszego grzechu!

— Człowieku! — wykrzyknął Wikary ze zgrozą — czy cię zły duch opętał?! jak można z taką się mową odzywać?

— Wybaczcie, dobrodzieju! i niech mi Bóg wybaczy! ale już trudno wytrzymać! We mnie się wszystkie wnętrności rozrywają, serce pęka w kawałki! i żeby on był nie to takim podłym *posiepaką*, ale ojcem moim rodzonym, tobym mu tu dragiem głowę rozwalil; a jak ja, tak i cała gromada!.. Wiedzieć wy o tém, i radźcie sobie zawczasu, żeby niedopuszczyć do grzechu; a ja co rzekłem, to rzekłem.

I wsadziwszy gwałtownie czapkę na głowę, zarzucił kij na plecy i ruszył do wsi.

— Xięże dobrodzieju! — rzekła Barbara, — radźcie na miłość Boga! bo tu jeszcze będzie jakie nieszczęście!...

— Pojadę, pojadę! — rzecze zatrwożony Wikary, — a to prawdziwie dopuszczenie Boże! pojadę, ostrzegę, wyproszę, wymodłę!...

— Ej! mój Jegomość, — rzecze arendarz — szkoda fatygi; prosba tu niepomocze, a ja lepiej pojadę, jeżeli Imość na to się zgodzi.

— Mówcie na miłość Boga! — rzekła Barbara.

— Ot ja powiem po prostu: *sucha łózka horło dere*, a kto *smaruje*, ten jedzie. Znam ja tego pana nie od dzisiaj, i umiem z nim gadać... — I dłoń rozłożywszy, wymownie gościem pokazał liczenie pieniędzy.

— Zkądże *smarowidło*? — rzecze Wikary.

— Jeżeli Imość pozwoli, to u mnie jest trocha arendowego, może ze dwieście rubli; pojadę, spróbuję, potarguję się, a mam nadzieję, że dobrze skończę, bo już nieraz w ten sposób gadałem do niego.

— A dajże ci Boże zdrowie! — zawołała Barbara — jedź, jedź czém prędzej, a wracaj z dobrą nowiną! oddaj choćby i wszystko!

Arendarz się uklonił i spiesźnie do wsi zawrócił, a Wikary za nim zawołał:

— Tylko nie szafuj tam bardzo, bo grosz potrzebny!

Po chwili jeszcze rozmowy z Barbarą i sam nareszcie ruszył do kościoła; a pocziwa Baba pobięła do swoich działek, modląc się w duszy o pomyślny skutek poselstwa.

Dzień minął w dobrej otusze, weselej niż którykolwiek z poprzednich od czasu klęski, a ku wieczorowi wrócił arendarz z dobrą nowiną. Pan plenipotent dał się namówić za 150 rubli, pozwolił Podczaszycowej przesiedzieć na gruncie do wyzdrowienia, zastrzegając tylko, aby nieśmiała ani listka z ogrodu, ani trawki z pola poruszyć. Razem więc z tą wieścią pomyślną przyszedł Rebbe Chaim i 52 ruble pozostałe od *smarowidła*, które miały cały majątek biednej rodziny stanowić.

Zbliżały się właśnie wakacje, pora było posyłać do szkół po dzieci, które tam nieprzeczuwały swojego nieszczęścia i szczęścia razem: nieszczęścia — straty całej rodzicielskiej fortuny; szczęścia — nierozłącznego pobytu z drogą mateczką. — W parę więc tygodni po opisaném zdarzeniu, gdy Podczaszycowa zupełnie już przysła do zdrowia i mogła bez obawy puścić się w drogę; zaczęto myśleć o wyjeździe.

Jeśli jest jaki niedowiarek, co wątpi, że każdy czyn dobry, w tém jeszcze życiu, znajdzie swoją moralną nagrodę, niechby się wówczas przypatrzył zbliżka pożegnaniu Podczaszycowej z pocziwą włością. — Przez trzy dni ubogi dworek Wikarego i całe podwórko tłumem się ludu roiły. Szli starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, dziatwę z sobą prowadząc, nietylko z Kuźmierz, ale i z dalszych wiosek, żeby się przynajmniej pożegnać z panią swoją kochaną, żeby choć raz jeszcze ucałować drogie te ręce, z których tak wiele odebrali darów, które tylekroć dźwigały ich w niemocy i w niedoli, żeby choć jedno jeszcze słówko z ust tych posłyszć, które tylekroć niosły im błogą pociechę i świętą naukę! Zaiste wzniosły i rzewny był to widok! Ile tam łez serdecznych spłynęło, ile błogosławieństw do Nieba poszło! Pocziwe zwłaszcza wieśniaczki rady dać sobie niemożły z zalem swoim głębokim!

Szły i wracały, i znów przychodziły, to nogi Podczaszycowej całując, to dziatwę jej kochaną z rąk do rąk sobie podając, to z ukochaną Barbarą gwarząc i płacząc i radząc: bo każda coś z sobą przyniosła, bądź jagnię, bądź prosię, bądź kwoczkę, a przynajmniej garnuszek masła, séra, lub miodu, kobiałkę jajek, lub chuścinę krupek, orzechów, czy też gruszek suszonych; a każda prosiła, nalegała, płakała, aby niegardzono jej darem, którego niebyło gdzie podziąć, a odrzucić niesposób. Było więc o czém gwarzyć i radzić! Nareszcie, pomimo najszczerzych i najusilniejszych wymówek, należało ustąpić, zgodzić się na wszystko i niegardzić darami tak serdecznie ofiarowanymi; tém bardziej że Maxym, na czele poważniejszych gospodarzy, przyprowadził kilka parokonnych furmanek, i sam wszystko składał, zsypywał i pakował.

Po kilku dniach takich rzewnych korowodów, wybrano się na koniec w drogę. Przodem ruszyły podwozy z prowijantem, a za nimi, pomszy, którą zacny Wikary odprawił na intencję podróży, wyjechała i Podczaszykowa z dziećmi i z Barbarą, wygodną krytą bryczką i końmi jego, któremi zapłakany Maciej ostatni raz ukochaną panią powoził. Wikary na jednokonnym wózku, dawna służba dworska i gromadka wieśniaków pieszo, towarzyszyli im wiorst parę, smutnie gwarząc i popłakując.

Rozstali się nareszcie w boleści, łzach, modlitwie i błogosławieństwie; a biedna Podczaszykowa długo jeszcze w płaczu utulić się niemogła, żegnając na zawsze ten drogi kawałek ziemi, gdzie tyle lat w szczęściu przeżyła, gdzie tyle miłości ludzkiej i łaski Bożej doznała...

D Y D A K T Y K A

BRONISŁAWA FERDYNANDA TRENTOWSKIEGO.

(U R Y W K I.)

I.

R O D Z I N A.

Rodzice, oni najpierwsi i najważniejsi rodu ludzkiego nauczyciele, a tćm samćm najgłćwniejszy Dydaktyki przedmiot, dają początek *rodzinie*, stoją na jej czele, wychowują i kształcą ją, żyją dla niej, a tćhnąc w nią własne *wczoraj*, pozyskują sami przez nią *jutro*. *Rodzice* zowią się tak, iż *rodzą ród* pewien, a źródłćm i głćwą są *rodziny*. Od *rodu*, *rodziny* pochodzi ich miano i znaczenie. Ojciec i matka mogą, jako obywatele i ludzie, mieć inny cel; lecz jako rodzice nieznają innego kresu, jedno rodzinę. Rodzice są *przeszłą*, dzieci *przyszłą*, oni i one zaś pospołu *teraźniejszą rodziną*. Skoro rzecz ma się tak, przeto najcćlniejsze rodziców obowiązki tyczą się rodziny. Zaczćm poświęca się obowiązkom tym miejsce najpićrwsze.

Co Rodzina? Stoi ona w pośrodku pomiędzy *człowiekiem osobą* i *narodem*, do którego sama przynależy.

Człowiek osoba jest pojedynczość, a Człowieczeństwo ogół. W pośrodku krańców tych ma się dwa szczegóły, z których pierw-

szy i mniejszy, a *człowieka* bliższy, zowie się *Rodziną*; drugi zaś i większy, a *człowieczeństwa* bliższy, *Narodem*. Co naród? Człowieczeństwo jednego wyczynu. A co rodzina? Naród jednego wyczynu. Jak człowieczeństwo narodu, tak znowu naród rodziny istota i treść wiekuista. Rodzina, to tedy naród w jednym z kroci swych odblasków.

Człowiek pojedynczy wiąże się przez rodzinę z narodem, a przez naród z człowieczeństwem; człowieczeństwo znowu wiąże się przez naród z rodziną, a przez rodzinę z człowiekiem. Jako człowieczeństwo ogniskuje się naprzód w narodzie, później w rodzinie, a wreszcie w człowieku; tak na odwrót człowiek rozprzestrzenia się naprzód w rodzinę, później w naród, a nakoniec w człowieczeństwo.

Człowiek, rodzina, naród i człowieczeństwo, to jedna wciąż *Istota ludzka* coraz rozleglejszego, stopniami wzrastającego *zakresu*, a coraz szczuplejszej, stopniami rzadziejcej *treści*. Co rodzina przeto? To samo w gruncie, co człowieczeństwo, naród, człowiek. Jest to *Synowstwo Boże na ziemi*, wyjawiające się w jednym wiekuistego światła swojego snopie, albo raczej *Bożo-obrazowość*, sprawująca pewną garść promieni Bożego Syna, z tamtego świata w ten świat przeniesioną i tutaj niebem świecić mającą.

Mojżesz, opisawszy, jako Bóg uczynił niebo, ziemię i wszystkie rzeczy, tak dalej mówi: „Stworzył nakoniec człowieka *na wyobrażenie swoje*. *Na wyobrażenie swoje* stworzył go. Mężczyznę i niewiastę stworzył je. I błogosławił im i rzekł do nich: Rozradzajcie się i rozmnażajcie się, a napelniajcie ziemię! I czyncie ją *sobie poddaną*! I *panujcie* nad rybami morskimi i nad ptactwem niebieskim i nad wszelakim zwierzem mającym ruch!” (Xięgi I. Mojż. I, 27, 28). Słowa te Boże odnoszą się do najpierwszej rodziny, a zamykają w sobie najwyborniejsze rodziny w ogóle i celów jej orzeczenie.

Jako najpierwsza, tak i wszelaka rodzina obejmuje w sobie *Ród ludzki* z rozlicznymi jego przeznaczeniami, z całą wielkością i świetnością. Jako Adam i Ewa ongi, acz w istocie ich człowieczeństwo, byli Izraelskiego narodu rodzice; tak ojciec i matka dziś równie, acz w istocie ich człowieczeństwo, preradzają się w naród, do którego odnoszą się sami. Jako Adam i Ewa, tak wszelacy rodzice są *wyobrażenia Boże*, które rozrodzić się mają w dalszych wyobrażeniach Bożych, a *napętnić* sobą ziemię, *uczynić ją sobie poddaną* i *panować* nad wszystkimi jej tworam. Jest tutaj więc ciągle ta sama *Bożo-obrazowość*, uosobiona dla siebie, puszczona na wolność, przenosząca się z niebios na ziemię i biorąca ją w coraz zupełniejszą posiadłość.

Jako na rodzinie najpierwszej wszystek ród ludzki, mający się z niej rozmnożyć, tak na rodzinach późniejszych i dzisiejszych, przedstawiających już dokonane rodu tego rozmnożenie, gruntuje się człowieczeństwo całe. Narody są wielkie, a rodziny małe człowieczeństwa fale, których kropelkami ludzie. A morze to kołysze się szczytnie i dąży do ostatecznych swych przystani. Na każdej rodzinie opiera się pewna ludzkości i przeszłej i przyszłej, bliżej zaś pewna narodu część, ze wszystkimi dobrami i prawami jego. Ona dóbr i praw tych piastuna, strażnica, uprawiaczka. Przez nią kroczy ludzkość, mianowicie zaś naród, na górnieszy rozwoju i postępu szczebel. Gdzie zacznieją rody, zacznie także naród i człowieczeństwo.

Kędyż przechowują się stare i czcigodnie przodków obyczaje, a widzi się żywą wiary i wszech przekazów *przeszłości* świątynicę Pańską? Na łonie rodziny.— Kędy pracują najpilniej i z wyteżeniem sił, starając się o chleb powszedni dla siebie i swoich, a uprawiają naukę, sztukę, przemysł, rzemiosło, wszystko, co najświetniejszego, najżywotniejszego, najdroższego ma *teraźniejszość*? Po rodzinach.— Kędy troszczą się o wychowanie dzieci, a tem samem o następne pokolenie, lub o *przyszłość* świata?

ta, a gromadzą dziś owoce pracy na potrzeby jutra i gotują spuściznę? Po rodzinach.— Zaprawdę, rodzina najsilniejszy człowieczeństwa i narodu słup. Na niej stoi szczęście ludów i potęga rządów. Na piersiach jej gorących wszech-Boskości światowej i zgoła przenajświętsza Boga samego świątynia. Do niej odnoszą się najprawdziwiej słowa pisma: Jesteście *Kościół Pański*. A naczelniki i sterniki jej są rodzice.

Jaki obowiązek rodziców w obec rodziny własnej? Być tém w całym znaczeniu, ku czemu Bóg ich stworzył i przeznaczył, czyli być *wizerunkami Boga* w domu swoim, a świecić dziatkom, drużynie i służbie, niebiańskim, nauczającym je żywo przykładem. O, rodzice! Jeżeli chcecie dopełnić przeznaczeń waszych tak wielkich i świętych, a macie sumienie; kuście się nasamprzód i przedewszystkiém sami o najwyższą przedniość jaźniową, zdolną być dla plemienia waszego wszech Bożo-obrazowych światłości i przymiotów pierwowzorem! Niebo niech wygląda z każdego pójrzenia waszego, rozebrzmiewa z każdego słowa ust waszych i prześwieca się z każdego uczynku! Bądźcie naprzeciw dziatkom i wszystkim tak doskonali, jako naprzeciw wam doskonały jest Ojciec wasz niebieski, a poznaćcie powinności wasze i dopełnicie ich po chrześcijańsku! Jedynie przez udoskonalenie siebie pozyskuje się zdolność i prawo do doskonalenia innych.

Jako Bożo-obrazowanie samych siebie pierwszy, tak Bożo-obrazowanie dziatki drugi rodziców obowiązek. Rodzina rozwija się zwolna, godzi szczeblami postępu coraz wyżej i doskonali się co doba bardziej przez pokolenia. Dzieci mają być i lepsze i oświecenniejsze i pod wszelakim względem znakomitsze od rodziców, a wnuki od dzieci, prawnuki od wnuków. Ruch jest los i żywot świata. Albo naprzód, albo w tył, lecz idzie się zawsze. Jeżeli rodzina niekroczy ku górze, lub, co jedno, ku Bożo-obrazowości, obróci się ku dołowi i popadnie rychło we zwierzo-

obrazowość. Rodzice! *Dziateczeństwo Boże*, w was urobione, podniesione niech będzie w synach i córkach waszych do potęgi wyższej! Jeżeliście sami li *słonka rodu*, niech przynajmniej dzieci staną się *słonicami narodu*, a wnuki *słonicami człowieczeństwa! Zacieć przez pokolenia*, to tyle, co unosić się coraz wyżej ku Bogu, co urobić w sobie na koniec, jak mówili Grecy, krew Bogów, a jak mówi się dzisiaj, krew szlachecką, pańską.

Ale, o rodzice, wy pomrzecie. Dzatki, wnuki i prawnuki wasze również pomrą. Wszakże przodkowie pomarli. Kto był w kolébce, będzie i w grobie. Tutaj na ziemi, nie do *pojedynczości*, będących jaźniami nieśmiertelnymi, jak w niebie, lecz do *ogółu* przywiązuje się nieprzemienność, nieskazitelnosc, trwałość. Co dla was, dla dzieci, wnuków, prawnuków ogół wiecznie żywy? *Rodzina*. Ze śmiercią waszą, ze śmiercią dziatki, wnuków, prawnuków, słowem osób, zagaśnie i Bożo-obrazowanie krwi waszej, nad którym pracujecie. Jeżeli zatem żądacie poczynać sobie mądrze i gruntownie, to trzeci najprzedniejszy obowiązek wasz, mieć na baczności głównie *rodzinę*; widzieć w niej *cel bytu waszego*, a w członkach jej *li środki i pracownicy do celu tego*; odróżniać ją od siebie samych, dziadów i potomków; kochać bardziej, niż syny i córki, wnuki i prawnuki, brnąć z osobna; żyć i działać dla niej z poświęcaniem samych siebie i wszech pojedynczości starać się o to, ażeby jako we wszechistnieniu i Bogu, tak w rodzinie waszej i każdym z was zlewała się wszystkość z jednością, a wyczyniała się Hegłowska Idea bezwzględna, której treścią *hmiot-przedmiotowość*. *Zbożajcie*, o ile to na ziemi podobna, *rodzinę* za pomocą jej członków! Główne nieszczęście czasów naszych, iż *utraciły święte, głębokie rodziny znaczenie*; iż zamiast zbożo-obrazowania rodzin dołu i wyniesienia ich przez to do równi z rodzinami góry, już zbożo-obrazowionemi, żądają zwierzo-obrazować rodziny górne, lub równać je na gwałt z polipami i potworami dna morskiego brodu.

Bóg podarował Adamowi i Ewie ziemię ze wszystkimi jej płodami. Czy Adam i Ewa są jeszcze przy tej dziedzinie? Nie! Oni nieżyją. Ziemia stała się rodu ludzkiego własnością. I słusznie. Ona, względnie do ludzi, którzy rodzą się i umierają, jest *wiekuista*; pan jej też powinien być również *wiekuisty*. Bożo-obrazujecie siebie i swoich na ziemi waszój! Zbożajcie rodzinę, ażeby po wszystkie czasy zbożała ziemia! Ziemia jest już Boża, acz ludzie ją odbożają. Wyście także Boży, acz nieraz kieruje wami szatan. Bożością własną utrzymujcie świętej ziemi waszój Bożość. Są to przymioty duszy, nie jedynie Słowiańskiej, lecz także Chrześcijańskiej.

II.

C E L R O D Z I N Y.

Rodzice! przodując rodzinie wiekuiściej, która przypłynęła od przodków do was i popłynie od was do potomków, a przeobraża się przez pokolenia, powinniście wiedzieć, jak nią kierować i do jakiego nawracać ją kresu. Nieodgadnicie zaś tego, nieuczynicie sobie i nierozwiążecie sumiennie zapytania: „Po co ród wasz istnieje? Jakie posłannictwo jego na ziemi? Co za zadanie naznaczył mu Bóg? Czego ród ten ma chcieć i ku czemu gościć zbiorowemi siłami? Na jaką gwiazdę przewodnicę patrzeć wam po wszystkie czasy? Słowem, *jaki rodziny waszój cel?*”

Tysiące rodzin bez wątpienia o rzeczy tej nigdy niepomysliły i będą tu nią uderzone. Ależ tysiące rodzin żyją za to w ciemnościach czerni. Zdziwienie wasze jest tylko albo niedołęztwa, albo lenistwa duchowego skutkiem. Czy uczynił Bóg by też jednego ptaszka, lub robaczka bez celu? Jest-li na ziemi by jedno ziółeczko, by jedno piasku ziarneczko bez przeznaczenia? Skoro zaś wszystko pod słońcem istnieje dla pewne-

go kresu, czemużby rodzina wasza stanowić miała wyjątek? Azali waży ona mniej od najpodlejszego tworu Bożego?

Słyszeliście nieraz od mężów wyższego rzędu, iż człowieczeństwo ma cel pewien, do którego dąży od wieków na wieki; iż naród każdy odierżył od Boga osobne posłannictwo, którego ma dopełnić; iż zgoła człowiek pojedynczy niejest bez zadania, które w biegu żywota rozwiązać mu trzeba. Miałaby rodzina wasza być bez pewnego kresu? Byłoby losem jej, żyć przez stolecia na ślepo, jak roślina, niewiedząc, dla czego istnieje i przetwarza się przez pokolenia, zkąd i dokąd godzi, czego ma się spodziewać i żądać? Jeżeli wszystko, co człowieczego, co jaźniowego, ma przeświadczenie; czemuż rodzina wasza bytuje bez przeświadczenia?

Gwoli czemu Bóg ludziom dał rozum przemożny i myśl ulatującą w przestrzeniowe, lub czasowe dale, a nawet w otchłani wieczności i tamtego świata? Gwoli temu, ażeby umieli odgadnąć cel bytu swojego, zrobić go sobie wszechdążenia bodźcem i miarą, a nawracać doń całą woli i mocnego postanowienia potęgą. Którzy to uczynili, są rozumni i wynoszą się wnet nad poziomy pospólstwa. Którzy zaś tego zaniechali, są nierozumni i żyją po zwierzęcemu w parowach społeczeńskiego dołu.

Ludność Europejska np. rozmyśla o posłannictwie swoim; naznacza je sobie i baczy ciągle, by go dopięła. W skutek czego też przewodniczy człowieczeństwu ziemi wszystkiej i ukazuje się jego słońcem. *Ludność Azyatycka, lub Afrykańska* przeciwnie niepyta się oto, czemu istnieje. A nienaznaczywszy sobie celu, żyje niedołężnie, bezczynnie, ciemno, podle.— Ten i ów znowu *naród* poznał przeznaczenie swoje, a godzi doń niezmordowanie. I oto owiewa go niepodległość, wielkość, chwała. Inny zaś niebadał, ku czemu Bóg go stworzył, a był dla tego, iż był. I oto niewola, nędza, niestawa los jego.— Sokrates wreszcie, Perykles, Cezar, wszelaki *mąż znamienity* wszedł

w samego siebie i zważył swe siły, a wedle nich postanowił sobie zadanie i żył ku jego rozwiązaniu. I zajaśniał na niebie człowieczeństwa, jako jedna z gwiazd. Krocie zaś ludzi pospolitych żyją i umierają bez zadania. I dla tego, jako za życia, tak i po zgonie nikt o nich niemówi. Przepadają, byjётki, a wyjawszy Boga, któż wie co o nich, lub zna ich nazwisko?

To samo zupełnie dzieje się i z rodzinami. Która z nich poznała przeznaczenie swoje i naznaczyła sobie kres, a mierzyła ku niemu wytrwale przez pokolenia, — rozślawiła się dziejowo, żyje w świetności i czci, jest narodu swego ozdobą. Która zaś nieuczyniła tego, — należała, należy i należeć będzie do społecznych śmierci. Gminowiec, mający sumienie i rozum, niewyszydzać i ohydzać, lecz uwielbiać powinien wysokie rody, już z powodu, iż te dowiodły więcej znajomości rzeczy, cnoty i dzielności od rodu jego! *)

Z tego znać, iż poznanie posłannictwa rodziny własnej i naznaczenie jej pewnego celu jest rzeczą niesłychanej wagi. Od tego bowiem zależy, czy rodzina nasza wypłynie na wierzch społecznego morza i usłoneczni się pod życzliwem sobie niebem, lub też przyrośnie, by muszla podła, do dna głębiny i pozostać w ciemni na zawsze. Najdą-li się kiedy i kiedy rodzice,

*) Celem naszym jest uszczęśliwienie społeczne, uszczęśliwienie ogółu przez jednostki. Dążenie nasze do osiągnięcia tego celu nie powinno zawadzać dążeniom drugim dla dopięcia tegoż celu pracujących. Ogół wtedy tylko oddaje cześć jednostce, kiedy zdobyta przez nią świetność jest uświetnieniem narodu, jest mu pożyteczną. Żeby być pożytecznym ogółowi niepotrzeba koniecznie świetności. Zład to naród oceniając niesione mu rzeczywiste przysługi jednostek, nagradza je czi a powszechną zarówno w możnym i ubogim; a ze wstrętem patrzy na wszelkie dążenie do wyśpołecznienia się, do zajaśnienia jednych kosztem drugich. Autor w dalszym rozwinięciu dzieła sam to wyjaśnia.

co niechcieliby szczęścia własnego i dzieci, a rodziny swój blasku? Skoro nie, myślcież więc, ojcze i matko, o celu rodziny własnej i skierujcie żywot jej do pewnego kresu!

Jaki rodziny waszej cel? Pytanie to wy sami i zadać sobie i rozwiązać możecie. Powie się wam tutaj *cel rodziny w ogóle*. Wasza rzecz zastosować i przykroć to do siebie.

Już w drugiej osobie Bożej i na łonie Przenajświętszej Trójcy człowieczeńskie pojedynczość, szczegół i ogół zlewają się w jedno. Bóg Syn albowiem, to niebieski człowiek, będący człowieczeństwa wszechświatów i ziem pierwiastkiem, a zamykający w jednej osobie Bożej wielkich człowieczeństw, na gwiazdzystych przestrzeniach rozłożonych krocie, ze wszystkimi ich ludzkościami, narodami i ludźmi. On tameczna wszechczoneństwa istota. Jako w nim tedy, tak też na odwrót w każdym człowieczeństwie *pojedynczość, szczegół i ogół* zlewają się w jedno. Wszak *czoneństwo*, to czece oderwanie, któremu nadaje rzeczywistość *czonek*. — Cóż zład? Oto, że ludzkość cała, naród pewien, rodzina każda i człowiek wszelaki mają w gruncie *jeden i tenże sam cel*, do którego już Bóg Ojciec przeznaczył *Boga Syna*. Jest to cel *czoneński*, który od pojedynczego człowieka rozpościera się przez rodzinę i naród w ludzkość, a od ludzkości ściąga się przez naród i rodzinę w człowieka. Celem tym, co? *Synowstwo Boże*, jednorodzone i prawdziwe w niebie, a krociove i odblaskowe na ziemi.

W modlitwie powszedniej, której głębokość bezdena, jak samo niebo, wołamy do Boga: „Świeć się Imie twoje; przyjdź królestwo twoje; bądź wola twoja, jako w niebie, tak i na ziemi.“ Tak wołamy do Boga, którego zowiemy Ojcem naszym niebieskim. W słowach modlitwy tej wyrzeka i wskazuje nam Zbawiciel, Pan nasz i Bóg żywy, *rodu ludzkiego cel*, a czyniąc ten cel chrześcijańskiego pacierza treścią, żąda, ażebyśmy się wszyscy o dopięcie jego kusili.

Celem człowieczeństwa jest tedy: *Uznanie się Synem Ojca niebieskiego*, lub *dziateczeństwo Boże*, które wyjawiać się ma w myśli, uczuciu, uczynku i całym żywocie; *ugruntowanie Królestwa Bożego na ziemi*, lub *Zbożo-obrazowanie ludzi wszystkich* do tego stopnia, iżby Imię Boże u nich się święciło, a wola Boża stała się ich wolą; słowem *Zbożenie powszechne*, lub *Bożość*, przenikająca wszystkie stosunki tego świata, którą się jest w znaczeniu słów: „Wyście, nie moi, lecz *Boży!*” — Celem człowieka pojedynczego, który jest ogniskiem, piastunem i wyrazem człowieczeństwa, ukazuje się koniecznie wyżej przerwany człowieczeństwa cel, lecz w przymierzeniu i zastosowaniu do osobistości jednej oraz przyrodzonych jej usposobień. — Celem narodu jest tenże sam człowieczeństwa cel, lecz w pewnym oznaczeniu bliższem, a w odniesieniu do nieba, pod którym się żyje, do ziemi, na której się mieszka, do szczególnych przymiotów szczepu, którego się jest gałązką, i do tysiąca okoliczności, które naród ten od narodów innych wyróżniły i wyróżniają. — Celem rodziny wreszcie jest znowu cel człowieczeństwa, lecz w jeszcze bliższem oznaczeniu i w pewnej części, a w uwzględnieniu miejsca i czasu, oraz innych warunków rodziny danej żywota. Celem tym ciągle: *Odzyskanie utraconego raju*, *Praca około Królestwa Bożego na ziemi*, *Niebiańszczenie*, lub w języku pospolitym, doskonalenie się aż na obraz i podobieństwo Bogu. Ten sam cel mieć powinna również umiejętność i piękna sztuka, jako *człowieczeńska*. Pisarze nasi, jak ważna tkwi dla was w słowach tych nauka! A wy jej potrzebujecie tak bardzo!

Jaki więc cel rodziny w ogóle? Ten sam, *co człowieczeństwa*, a bliżej *co narodu*, którego listkiem koniczyzny, lub orzeszyny uczynił ją Bóg.

Jaki lewicy dzisiejszego zachodu wychowaniec, rozumowiec Francuskich, lub umysłowiec Niemieckich, przespołeczniaczów, ludowców i gminowców zasadami nasiąkły, który zna, kocha

i poleca gorąco li królestwo zwierzęce, a Królestwo Boże odpędza do czczych umideł i mrzonek, — słowem, jaki *hajdamaka duchowy*, wykrzyknie tu z oburzeniem: „Azali choroba na pana, lub chęć wynoszenia rodziny własnej, w gruncie zaś samego siebie, do coraz górnieszego świetności stopnia, nie *brzydkie sobkostwo* i nie *szatanija pychy*, przez którą możni zarobili sobie na noże? —

Odpiera się na to: Sobek jest, kto bacz *li siebie*, a nietroszczy się wcale o innych; kto *siebie samego* robi sobie jedynym i odrębnym celem. Kto atoli żyje, nie dla siebie, lecz *dla rodziny*, chcąc zaś ją podnieść, uświetnić, zbożo-obrazować, dla *narodu i człowieczeństwa*, a oddaje się mu wszystek, i sam osobiście i przez wychowane od siebie ku temu dzieci, oraz wnuki, po śmierci swjej, zgoła w długie wieki; kto zaprowadza na łonie rodziny swjej *świętą służbę*, dobru ogólnemu *kapłaństwo*; kto mieści wciąż poświęcenia ze zdolności, sił i dóbr własnych, a nawet z drogich następców swoich, dla szczęścia bliźnich; kto zapomina o sobie, a płuży ludzkości, czy może być samolubem? Pycha to wielka, zaiste, chcieć stać wysoko i być króla, a może samego Boga równie, bez zarobienia sobie na to Heraklesową pracą i ofiarą. Ale, kto idzie w górę przez cnoty i zasługi, czy on pyszny? Sobkowstwo a pycha to, *chcieć się wynieść, by też i przez zbrodnie*. Ale dla kogo służba dobru pospolitemu *święty powód*, wyniesienie się zaś własne w skutek tej służby *li możebne*, *godziwe i pełne chwały następstwo*, czy on samolubny i pyszny?

Jest-li podnoszenie siebie samego oraz swoich, w coraz wyższe uzaczenia kręgi, lub staranie się o dziateczeństwo i królestwo Boże na łonie rodziny własnej; jest-li Bożo-obrazowość i Bożość, dająca pozyskać się li walkami i krzyżem męczenników a świętych pańskich; jest-li doskonalenie siebie aż do podobieństwa z Ojcem niebieskim, w skutek jego zaś sprowadzenie nie-

bios na ziemię, przynajmniej w rodziny swęj obrębie, gdy niepodobna szerzej; jest-li od wiary i mądrości istnej wskazany rodowi ludzkiemu ostateczny kres sobolubieźność i buta?

Ślimak, siedzący na liściu kapusty i oddany li żerowi, przynoszącemu jedyne mu zbawienie, on doskonały człowieczeństwa dołu wyraz, nie zaś cherubin, stojący przy Bogu i pełniący wolę Jego pokornie a wyrzekający się samego siebie,— jest sobek. Kto nienawidzi mężów zasługi i dzieci ich, które oni na podobieństwo swoje kształcili przez pokolenia, a prześladuje ich za to, iż świecą, nie zaś kto sam kusi się o zasługę i blask ich, jest pyszny.

Nauka czerwieńców, która zaraziła duch Polski, jeszcze młodociany i dla tego piekielnych ścieżek niewiadomy, rozwiązująca zgola pojedynczość niebieską, lub osobistego Boga w bezmyślny, siebie samego, nieświadomy Ogół przyrodzony i ciskająca go, pospołu z ogółami takimi, jak ludzkość, naród, rodzina, pomiędzy mary, a podnosząca czcżą w sobie i niewyczyniającą z siebie wartości żadnej, pojedynczość ziemską i przykazującą mu żyć dla siebie; nauka przespołeczniaczów, kładnąca cel człowieczeństwa w żołądku próżniaków; nauka romantyczności, robiąca sztukę piękną, wiernem przyrodzenia malowaniem, świata zepsutego, lub zwierza odzwierciadlaniem, nie zaś Bożo-obrazowości na ziemi odblaskiem świętym: — to *sobkostwo i pycha!* Ale, czy podnoszenie ludzi niższych, przynajmniej o ile w mocy naszej są, zacząć dzieci własnych, do siebie samego, a pospołu z sobą aż do powszechnego zbożenia; czy gruntowanie królestwa Bożego na ziemi, na której króluje już szatan; czy służba Bogu, a walka najzaciętsza ze zwierzem, onym dzisiejszego człowieczeństwa bałwanem, dźiać się może *bez całopalenia z siebie dla bliźniego?*

Byłeś we Francyi, w Anglii, w Niemczech, i posiedziałeś nieco na piersiach tak zwanego *średniego stanu*. Napotkałeś tam inny sposób myślenia, uczucia i działania, inne rzeczy widzenie,

inne obyczaje i zwyczaje. Z początku budziło to w tobie ciekawość i wielkie zajęcie; lecz w końcu, gdyś je poznał na wyłot, niepodoba ci się niemal wszystko. Czemu? U nas, niestety, z powodu przyjęcia Żydów, nieprzyszło wcale do rozwinięcia się średniego stanu i następującego za nim nieprzeczerpanego bogactwa krajowego, od którego dziś losy narodów zawisły. Ale za to *szlacheckie zasady* są u nas, dzięki Bogu, jeszcze ogólnego żywota, zgola najzapaleńszych ludowców, potrzebą i tchnieniem. Oddajemy po *szlachecku*, lub po *chrześcijańsku* cześć Bogu osobistemu, żywemu, i każdemu mężowi wielkiemu na ziemi, ukazującemu się godnym Jego obrazem. *Poświęcenie się dla bliźniego* poczytujemy sobie, za obowiązek, a gardzimy jeszcze tym, co miłuje li siebie. Wynosimy i bogacimy się przez służbę dobru pospolitemu. Za granicą zaś wszystko odmiennie. Tutaj góruje stan średni, a z nim polska żydowszczyzna. Mieszczanin albowiem żyje dla siebie samego wyłącznie, a korzyść własna jest jedyńm mu prawem; pieniądz ma u niego znaczenie Boga Odkupiciela i jest mu wszechzabiegów celem. Oto znakomita niby rodzina, u której jesteś gościem. Jaki jęj początek? Ach, niepytaj o to, bo to niegrzecznie! Może wypędziała ona z Europy Saracenów? Nie! Pradziad jęj kupczył i frymarczył, jako mógł. Następcy jego byli kropla w kroplę do niego podobni, bo on ich ku temu wychowywać kazał. Nieznali miłosierdzia nad biednym dłużnikiem; wydzielali mu ostatek z gardła. Zbogacili się wreszcie; to też jedyna ich zasługa. Jutro gościsz u jeszcze większego pana. Kto on? *Gracz giełdowy*, który zrobił, jak wyraża się Montelambert, *la fortune fabuleuse, mais honteuse*. Co średni stan? *Dół społeczński*, który wzmógł się i wyrósł, nie poświęceniem i cnotą, nie miłością Boga i bliźniego, lecz *dobrze obliczoną korzyścią i miłością własną*. On się już podniósł niby, a przecięż spadł niżej od gminu, który, jako dla Boga, tak i dla zwierza, lub mamony tego świata, obojętny; który niedziała ani

dobrze, ani źle, a barwy piekielnej niema. On się już podniósł, lecz jakże mu daleko do wysokości prawdziwej! Bóg osobisty na niebie i człowiek święty na ziemi policzon jest odeń do bajek. Jakoż bożyrko, *np.* Idea bezwzględna, duch ludzkości, ogół taki lub owaki, zowie się mu Bogiem. Zład, nie wola osobistego i żywego Boga, ani wola wielkiego i mądrego męża, lecz *większość sejmowa* stanowi dlań prawa, *a głos pospolity*, dziennikarstwem wyjawiany, co doba inną namietnością wrzący, a zawsze bezbożny, sąd nań ostateczny. *Wszeczeństwo*, z niem zaś *wszeczeństwo społeczne* przelewa się tu w żywot narodowy i nadaje mu, nie już zwierzęce, jako zupełnie na dole, lecz piekielne barwy. I żydowszczyzna ta przedzierzga się nakoniec w pogańszczyznę. A sławna oświata i wszystko ukazuje się bałwochwalstwem. To też nas za granicą razi i oburza, a wśród miast ludnych w samotników nieszczęśliwych, od nikogo nierozumianych, przeobraża. I duszno nam tu, a duch nasz szybuje na skrzydłach marzeń do kraju.— O, starzy ojcowie nasi, podnosząc ród swój wśród obrony chrześcijaństwa, lub oświaty iście Bożej, od Mongołów i Turków, niebyli samolubni i pyszni, jako zachodni stan średni; niewzdychali za *wiecznym pokojem*, pierzyną i pieniędzmi, jak wszyscy kupcy; a szlachecka mądrość ich ukazuje się i głębszą i zacniejszą bez miary od *mieszczańskiej i kacerskiej*, w Europie dziś panującej.

Skoro rzeczy tak stoją, to rodziców Polskich obowiązkiem, zostawić luźne, bezbożne nauki o równości i braterstwie *na nizinach zwierzęcych*, lub *w otchłani*, do której Bóg strącił szatana z *wójskami jego*, płytkim ludowcom i głupim młokosom, a starać się, po dawnemu, o *równość i braterstwo na wyżynach dzieczeństwa Bożego*, i puścić się ku górze utorowanym już szlakiem, którym szły, idą, oraz iść będą, i u nas i wszędzie, umyśły głębsze; czyli *poznać i naznaczyć cel rodziny własnej*, wy-

chowować w nim i ku niemu dzieci, słowem, *uzacniać, Bożo-obrazować, bożyć krew swoje*.

III.

SRODKI DO TEGO CELU.

Od upadu Adama i Ewy ubiegło już blisko sześć tysięcy lat, a działanie *grzechu pierworodnego* jest jeszcze tak silne, jako na początku. Zdaje się prawie, iż z upływem czasów ono nie słabnie, lecz wzmacnia się i wzrasta. Człowieczeństwo rozmnożyło się szczodrze, a oblega ziemię, by piasek lub trawa. Przeludnienie czuje się na wielu miejscach i brak chleba na pokarm. Ledwie atoli jedna tysięczna część tego bezliku, ledwie śmietanka na wierzchu mleka w ogromnym tym kotle, odzyskać umiała raj postradany i żyje w błogosławieństwie Bożem, sporządzając wyższe społeczne warstwy. Reszta zaś, czyli aż 999 tysięcznych części, znajduje się wciąż za bramami Edenu, których przeciwko nim strzeże cherubin z płomienistym mieczem, lub *niebiańska cnota i dzielności ludzkiej potęga*, a *przywilej świętych*, przebywając na oparzeliskach stradzy, stojąc na stopniu zwierzęcości i sprawując kwaśne motłochu mleko.

Okropny to stan czerni! Jest leniwa, ciężka, ospała i lubi próżniactwo, a, jeżeli nie kij, to żołądek własny, zniewala ją do przebrzydłej pracy. Idzie więc do roboty, ale na przekór chęci, a zgrzytając zębami i złorzeczając światu, klnąc zgoła samemu Bogu, o którym niema dostatecznej wiedzy i nauki. Nadmiar w jadłach i napoju, przesyta zwierzęcy, to zbawienie jej na ziemi. Lecz niedość, że niema ona za co brzydkiemu pociągowi temu dogodzić! Cierpiąc głód i pragnienie, patrzeć musi, jak inni jedzą, piją, zbytkują. O, jakież to piekło dla niej, gdy *np.* przybywszy do miasta, przechodzi około sklepu rzeźnika lub cu-

kiernika, a pogląda poządliwem okiem na wety, zastawione, nie dla niej, lecz dla kogo innego! Miłość zwierzęca to jej niebo. Tym czasem małżeństwo, którego skutkiem dzieci i coraz trudniejsze ich wyżywienie, staje się co doba jawniej li zamożniejszych stanów przywilejem. Oddaje się więc nierządowi i wszystkim szkaradnym jego następstwom. Żyjąc jedynie dla cielska, a niepodołając pławić je w mléku i miodzie, dopuszcza się łaćno kradzieży, łupieztwa, zbrodni. Lęka się ona najstraszliwiej śmierci; a tu, jakoby na złość, wybierają z łona jej żołnierstwo i prowadzą je w zabójczy ogień. — Co czerni? *Zmysłowość*, godząca wciąż na zaspokojenie, które wciąż przed nią ucieka; *wielki wyjaw pierworodnego grzechu; złe żywe; dolne i pogardliwe człowieczeństwa ciała!* Ona czasów wszech, mianowicie naszych, *bolączka najstraszliwsza.*

Czerń ma apostołów swoich, którzy, chcąc jej służyć, potęgują potępienie jej aż do najwyższego nieznośności stopnia i wiodą ją do rozpacz. Są to *przespoleczniacze*, tudzież *ludowce.* — Gdzie głodni szlakować mają chleb, a ubodzy pieniądz? Tam gdzie chleba i pieniędzy podostatkiem, czyli u bogatych. Przynależy im, jeżeli wydobyć się chcą z biędzy, iść do ludzi z majątkiem; prosić o pracę i płacę, lub o wsparcie; starać się o życzliwość i łaskę. Apostołowie zaś piekła nauczają ich: „Nienawidźcie bogatych nienawiścią nieubłaganą i ostrzcie na nich noże! Majątek, to rozbój i grabież, które łotry dokonali na ludzkości, przywłaszczając sobie dobro, przeznaczone od Boga dla wszystkich. Kto ma chleb i pieniądze to złodziej, okradający, opijający z krwi i potu biedny lud.“ Słuchając nauki tej, hardziej; żądają wsparcia, niejako łaski, miłosierdzia, jałmużny, lecz jako należnego sobie długu; noszą na języku odgrózkę. Bogaci zamykają też drzwi przed nimi ze sprawiedliwym wstrętem. A losem ich jeszcze przeraźliwsza nędza. — Chrystus poleca zgółta mocarzom świata pokorę, jako najpotrzebniejszą i naj-

przedniejszą cnotę, przebijającą w końcu niebios. Pokora zaś dla chudego pachółka, to obowiązek, który przykazuje mu rozum. Ona albowiem odemknać mu podola bramy do postradanego raj i ubić gościniec do lepszego losu. Apostołowie owi tymczasem polecają hołyszom pychę, wołając do nich: „Ludzie są równi. Korzyć się jednemu przed drugim, to podłość, niktzemność, wyzucie się z godności własnej. Wyście lud, najwszechmocniejsza w człowieczeństwie potęga. Przed wami czołgać się powinni ci, co wam rozkazują, jako sługi wasze. Ich pałace i skarby, to własność wasza.“ Złote marzenie, lecz żelazne przebudzenie! Jest to nędza bez miary i nadziei. — Gdzie ostateczna dla strapionych otucha? gdzie zamek i wał najpewniejszy dla tych, co sami sobie poradzić niemogą, a przyjaciół i dobrodziejów postradali? gdzie port dla rozbitków? Nie gdzie indziej, jedno w Bogu. Apostołowie zaś owi pozbawiają wiary. Bezbożność ze wszystką swą działwą piekielną zaległa ludzkości wadół. Z Bogiem znikła tu i nadzieja. O, jakże straszny to stan!

Takie usposobienie czerni na Zachodzie. U nas nieco inaczej. Prawda, ale, czy lepiej? Jako żywo! Jeszcze raz, mówię, okropny stan czerni! Zostaje ona piastuną pierworodnego grzechu; stoi pod wpływami starego węzła kusiciela, którym wydrzeć się nieumię, a których następstwem: nędza, ciemnota, zazdrość, nienawiść, plugawstwo, występki, wszechpiekło.

Kto jedno poczuje w sobie dostojność człowieczą, wyobrażenie Boże, Bożość, kto jedno przestać chce być dwunożnem w służbie czartów bydlęciem, kto jedno ma rozum: kusić się powinien wszystkimi siłami, by też przyptać to miał zgonem, o zacne wydobyć się z błotowisk czerni, a zaopatrzwszy się w bogobojność, cnotę i dzielność, przejść bramy do raj z przyzwoleniem strzegącego ich cherubina, czyli podrzucić się na ar-

chanielskich skrzydłach silnie ku górze i wpaść do warstw społeczeństwa wyższych. Usiłuj, a dopniesz na koniec celu! Pukaj, a będzie ci otworzono! Przy pomocy Bożej wydobyć się można z topielisk pierwotnego grzechu li *niezlomną wolą i wytrwałą dążnością własną*. Bóg tak usposobił człowieka, iż osiągnąć podola, co silnie zamierzył, tak dobre, jako złe. Lecz łącnie mu zdobyć dobre, albowiem wtedy Bóg sam jest przy nim i działa z nim.

Bożo-obrazowość jest, zaiste, z tamtego świata, a jeżeli się ją uroniło, odzyskać ją można li mocą *wewnętrznego, niebieskiego w nas człowieka*. To rzecz stanowiąca, główna. Świat ten atoli zna i ma *trzy widome potęgi*, za pośrednictwem których odbija się utracony raj, a ściąga się niebo na ziemię, czyli przechodzi się z padołów czerni na kurhany przedniejszych społecznych stanów. Potęgami temi są: *Bogactwo, Oświata i Władza*.

Trzy potęgi te światowe i ziemskie są jedno w sobie *Błogosławieństwo niebios*, na ludzi lepszych i Bogu miłych spływające. Błogosławieństwa tego, iż tak rzekę, *ciałem bogactwo, duszą oświata, a jaźnią władza*. Dość, że bogactwo ma się tak do oświaty, jak ciało do duszy, władza zaś okazuje się bogactwa i oświaty koniecznym skutkiem, a niezbędną ich różnorodnością *).

IV.

SPOSÓB NABYCIA TYCH ŚRODKÓW.

Gdy pierwotny ród ludzki odpadł od Boga, wskazano był, podług podania świętego, na *pracę, cierpienie i śmierć*. Pan rzekł

*) Bogactwo, oświata i władza, są materialne i duchowe; często posiadając pierwsze nieposiada się drugich i na odwrót: ztąd kolidują między posiadającymi i nieposiadającymi.

Przyp. Red.

do Adama: „Przeklęta jest ziemia gwoili tobie. W *pracy* z niej pożywać będziesz po wszystkie dni żywota.“ Zaś rzekł do Ewy: „Obficie rozmnożę *boleści* twoje.“ Wreszcie rzekł: „W *pocie oblicza* będziecie pożywali chleba, aż *powrócicie do ziemi*, z której powstałście. Boście próch, i w *próch* się obróćcie.“

Ród ludzki też od Boga, który jest prawdą i wiedzą, odpadł, a masłokiem złego ogłupiony, począł ugłądać w pracy, cierpieniu i śmierci *karę za grzech* i zniechęcił je *gruntownie*. To popchnęło go tém głębiej w otchłań niedoli i moc piekła.

Praca, zaiste, jest przykra, bolą od niej kości: widziała się być zatém, nie dobrem ale złem. I prawiono: „*Próżniactwo*, słodkie baraszkowanie i paniczowanie, to niebo; a *praca*, to piekło na ziemi. *Cierpienie* znowu to coś jeszcze gorszego od pracy. Któżby w niém mógł smakować? A więc prawiono: „*Rozkosz* niebo, a *cierpienie* piekło.“ *Śmierć* wreszcie, to okropność nad okropności, zgroza nad zgrozy. Już sama myśl o niej przeżywa obrzydliwością, trwogą, rozpaczą. Zaczém prawiono: „*Żywot* niebo, a *śmierć* piekło.“

Taki był i jest jeszcze *głos pospolity*. Dla rodu ludzkiego, jak okazują to np. już ludowce i przespołeczniacze w wymownych naukach, *praca, cierpienie i śmierć sprawiedliwej nienawiści*, a *próżniactwo, rozkosz i żywot sprawiedliwej miłości* cel. Ma-li słuszność ten głos? O, nie! Przeświadczenie takie, to *stan grzechu i córki jego ciemnoty*. Ono sprawuje *nędzę* tego świata, a pogrąża rzesze w plugawe zwierzęcości jamy. W niém główna wszech niedoli przyczyna.

Inaczéj całe o rzeczy téj sądzić, inaczéj myśleć i czuć przynależy. Azali od niebieskiego ojca, który jest niewypowiedzianą dobrocią, a którego łaska i miłosierdzie bez miary, pochodzić może coś istic złego? Nie! Zgoła *każ* jego wyświęca się jako dobrodziejstwo i zbawienie.

Praca, cierpienie i śmierć, na które ród ludzki po utracie raju był wskazany, stały się też rychło *sposobami do odzyskania raju i drogą do królestwa Bożego na ziemi*. Są one albowiem *darrem Bożym*, a *krynicą z Niebios*, z której wysączają się dla rodu ludzkiego *bogactwo, oświata i władza*.

Nie wszystek ród ludzki, ale, niestety, *zaledwie w jednej tysięcznej części*, otrząsnąwszy się od wpływów grzechu, przewyciężywszy w sobie cielesną moc bezwładzy i piekielną zmysłowości truciznę, a przejrzawszy niebem, rzucił się do *pracy* i ukochał ją szczerze. A widząc w niej ziemską, od woli naszej zawisłą Opatrzność, zawołał: „Ona niebo i zbawienie najrzetelniesze na ziemi”. I oto dzikie pierwiastkowe bory przeobraziły się w rozkoszne sady, a smutne pustynie w wesołe grody, w prześliczne sioła i ozdobne miasta. I na piersiach *świata Bożego* położył się *świat ludzki*. Rodziny pracowite, w słodkim owocu usiłowań swoich przez mnogie pokolenia, mieszkają po pałacach tak czarujących i błogich, jakoby je *z tysiąca nocy* wydobyto. Na skinienie ich Europa, Azja, Afryka i Ameryka, ze wszystkimi krajami swemi, składa im drogocenne płody. I w lada miasteczku, w lada domeczku zamożniejszym ma się raj, tyśiąckrotnie w uciechy szcudrzejszy, niżli ów, z którego wygnanym był Adam. W raju tym, nietylko skowronki, lub słowiki, lecz gęźby najwdzięczniejsze, od Bellinich, Donizettów, Mozartów, Betowenów, Chopinów ułożone, i zachwycające pienia serafinów z ust dorodnej córki słyszeć się dają, a umiejętność, nauka, sztuka, przemysł i rzemiosło wszechnarodów, jakoby na wystawie jakiej, okazują najcudniejsze swe utwory i walczą z sobą o pierwszeństwo pod względem uprzyjemnienia ludzkiego żywota. Raj ten jest zaprawdę już *Niebo na ziemi*. A on czcigodny *pracy syn*! — Cóżby dopiero nastąpiło, gdyby wszystek ród ludzki zabrał się tak do *dziela odkupienia*, jako dziś li jedna tysięczna część jego?

Cierpienie wyzwala nas, równie jak praca, z doliny płaczu, a wiedzie na górę zbawienia. Ono *nieodstępny towarzysz pracy*, która jest *ciężka, trudna, bolesna*, a nieodbywa się nigdy *bez potu oblicza*. Lecz mało! Słuchajmy, co pisze nam przezacny *M. Donoso Cortez, marquis de Valdegamas*: „Cierpienie oczyszcza, poświęca i staluje w nas wewnętrznego człowieka z niebios, odbierając mu ziemskie przywary; bożo-obrazuje go w końcu, udzielając mu bozkich, lub półbozkich cnót. Byłeś np. dumny i doznałeś strasznego uniżenia: cierpisz więc bardzo. Ale wśród boleści tej *tracisz na pysze*, która jest szatana przymiotem, a *zyskujesz na pokorze*, będącej aniołów ozdobą. Przejadłeś się, przepiłeś, przezbytkowałeś i oto spotkała cię choroba: cierpisz. Ale wśród boleści tej *tracisz na usposobieniu do rozpusty*, która jest rzeczą podłego ślimaka, a *zyskujesz na wstrzeźliwości i mocy panowania nad sobą*, oznaczającej niebianina. Ilekroć cierpisz, *wyzuwasz się z czegoś złego, a odziewasz się w dobre*; uraniasz, co cię *upodlało*, a znajdujesz, co cię *uzacnia*. Człowiek *gniewliwy* uczy się wśród cierpienia *dobroci i słodyczy*, słaby *mocy*, skąpy *szczodroty*, rozrzutny *gospodarności*, twardy *żału i miłosierdzia*, miękki *hartu*, bezbożny *modlitwy*. Tak tedy, cierpienia córą wciąż jakaś *cnota*. Czy tu koniec? Nie! dopiero to początek. Idzie się więc dalej. Chłopczyzna, *bolejący* nad nierozumem własnym, zostaje *młodzianem*; młodzian w podobnymże razie *mężem*; mąż *bohaterem*; bohater *świętym*; a święty *Boga samego towarzyszem i druhem*. I oto cierpienie prowadzi nas szczeblami ciągłego postępu po drabinie do niebios, a urabia na wyobrażenie i podobieństwo Boże! Jeszcze dalej. Serce ludzkie przechyla się rade na stronę nieszczęśliwych i uciśnionych. Czując niesprawiedliwość, cierpi, a cierpiąc, woli Egipt ujarzmiony, niż zwycięzcę jego i kata Kambizesa; woli Hannibala na wygnaniu, niż pogromcę jego Scypijona. Jak ono miłuje Sokratesa, gdy tenże pije truciznę, lub Jana Kazimierza, składają-

cego, berto! Cierpienie zatem jest dla serca tém, czém ogień probierczy dla złota. I znowu dalej. Uciechy, które wiele pie-niędzy, nierówno pomiędzy ludzi rozdzielonych, kosztują, a są różnostopniowe, sprzeczne z sobą, rozdwarzają nas; boleść zaś nas jednoczy. Czyś bogaty lub ubogi, cierpisz jednak po utracie ukochanego dziecka. Cierpienie zatem źródło równości i bra-terstwa, nie w nizinach zwierzęcych, lecz w świętym męczen-ników Pańskich, lub królestwa Bożego obrębie.— Dalej: co jest rozkosz? Robak dwunożny mianuje ją szczęściem, zbawieniem, niebem. Ona tymczasem najstraszliwsza jego niedola. Prowa-dzi go bowiem z wyżyn anioła w przepaści grzechu, ze szczytu chwały w parów niesławy lub osławy, a z wierzchołka bo-hatérstwa w kałużę podłości, zbrodni i strachu. Dziecko, odda-ne rozkoszy, niedożyje młodości; młodzian ją lubiący, rącho zgrzybieje; a starzec najdzie zawczesny grób. Boleść zaś, to *uczucie cherubina*, patrzącego na *plazy i gady*, w które prze-obrazili się ludzie.— Bogini Tetyda kąpie syna Achyllesa w *og-niu*, chcąc nadać mu nieśmiertelność. Cierpienie to ogień ten. Ono wypala w nas złe i odrzuca od nas żużelice, a udziela ciała i duszy, mianowicie zaś jaźni, *szlachectwa*, którego pochodzenie *niebieskie*. O, byłoby inaczej na ziemi, gdyby tu wszyscy ro-zumieli i ukochali cierpienie, a dziękowali za nie Bogu, jako za największą, najjawniejszą łaskę!

Jeżeli już praca i cierpienie przynoszą tyle zbawienia; jeżeli praca *zewewnętrzne*, a cierpienie *wewnętrzne* gotuje i upewnia nam niebo; czegoż dopiero niespodziewać się od *śmierci*? Ona, *pra-ca prac* i *cierpienie cierpień*. Ona *pracy i cierpienia słoneczny szczyt*. Ona więc człowieka, w miarach dopuszczonych i w zna-czeniu bogobojném, *równa z samymże Bogiem*.— Kto miłuje ży-wot ziemski, jako dobro najprzedniejsze, a drży, myśląc o zgo-nie; nieróżni się od bydlęcia, którego cel *li tuteczny*. On *nie-wolnik*, padający na kolana przed każdym, co jawszy za miecz,

stanie przed nim i krzyknie: „Myśl i czuj, jako ja, a czyn, co ci każę,— albo cię ubiję!“ Trwoga przed śmiercią, *studnica wszech upodlenia*. Kto zaś niewiele dba o żywot ten i niełęką się śmierci; *podobien już do Boga*, zna, że jest *nieśmiertelny*, że więc *tysiąckrotnie umierając, nieumrze*, a cel jego, nietuteczny, lecz *tameczny*. Ziemia dlań bez wartości— i dla tego zapewnia sobie wnet na niej niebo. Najśmielszy z ludzi, lub taki, co naj-mniej ma strachu przed zgonem, zostaje stopniami rycerzem, bo-hatérem, lub męczennikiem, świętym Pańskim, krótko mówiąc, niebianinem. Sam *Bóg wielony* idzie na śmierć, gwoli odku-pieniu ludzkości,— i kończy na krzyżu, a wskazuje na siebie, ja-ki *Bożo-człowieczego żywota kres*! Niewyszydza on tak czło-wieczęństwa grzesznego i spodłonego, jak niektórzy nasi pisa-rze szlachtę, wiedząc, iż jatrzenie rany niejest jój gojeniem; ale naucza je, a konając zań, otwiera mu bramy do niebios.— Co nawet żywot pospolity? On, to walka nieprzestanna, uporczy-wa, boleśna, krwawa. Walczyć potrzeba z trudnościami prze-znaczenia swego, będąc dzieckiem, chłopcem, młodzianem, star-cem, mężczyzną lub niewiastą, bogaczem lub ubogim, mędrcom lub głupcem, a walczyć codziennie namiętniej i ciężej. Inaczej nie-będzie się niczém. Walczyć potrzeba, niejedno ze światem i ze wszelakim z ludzi, niejedno z własną żoną, z własnym mężem i z własnymi dziećmi, lecz *zgoła z sobą*. „O, nietwierdź bynaj-mniej,— woła M. Donoso Cortez— iż niewalczysz i walczyć nie-chcesz! Walczysz już, wymawiając te słowa, albowiem mi prze-czysz. Zabierasz się do czego; a ponieważ wszystko ma dwie strony, niewiesz, na którą z nich masz się przychylić. Tu nie-bo i ból; tam piekło i rozkosz! Już to samo walka. Skryć się przed walką? Nic niepomocze! Ona rozpościera się przed tobą, jak przestrzeń bez granic, a faluje przeciwko tobie, jako czas bez początku i końca. Pokój znachodzi się li na wieczności ło-nie, w krainach dokonania wyczynu własnego. Tylko tu odpo-

czynek. Ale niewpuszczą cię do świątyni tamecznej ciszy, jeżeli nieokażesz blizn ciężkich, głębokich. Drzwi do niebios odmykają się jedno temu, co walczył chwalebnie walkę Pańską. — Skoro już pospolitego żywota *walka*, to niepospolitego żywota *śmierć* jest koroną. Nieposadzą tego po prawicy Boga Ojca, kto niedźwigał tu na ziemi krzyża i nie był na nim umęczon, jako Bóg Syn. Krzyż jest nie tylko chrześcijaństwa, ale i Bożo-obrazowości, lub *szlachetności prawdziwej* znamie. Kto go nosi — obłubieniec Pański. Doń przynależy przyszłość. — Niedrżnij więc o gardło i ukochaj gorąco śmierć, a odbędziesz walkę, która ci przeznaczona, szczęśliwie! I pójdziesz szlakiem Zbawiciela. Zbudują ci na ziemi ołtarze, a w niebie stolicę z kości słoniowej.

Już *pracą samą* zyskuje się *bogactwo, oświatę i władzę*, czyli trzy środki do podniesienia siebie i rodziny swojej; *cierpieniem* zyskuje się *chwałę*, onę naszą i rodziny naszej promiennicę z niebios; *śmiercią zaś* *Bożo-człowieczeństwo*, które otworzył nam Bóg Syn wcielony, a do którego powołał chrześcijan wszystkich.

Już do pracy, która jest twarda, ciężka, bolesna, potrzeba mieć *odwagę*. Tém więc *odwagi* posiadać musi, kto przyjmuje na siebie cierpienie. A, jakąż w tym *odwaga*, co z pogodnym czołem idzie na śmierć! Mając *odwagę*, jest się stopniowo, na przód, porządnym, z gminu wystrzelającym człowiekiem; powtórze szlachetnym i górnym mężem; potrzebie bohaterem i półbogiem. Niemając zaś odwagi, hołduje się *tchórzowstwu*, którego losem jest żywot pełen upodlenia i nędzy na dole. Czém tedy w końcu końców podrzucają się w górę ku Bogu ludzie, rody i narody? *Odwagą*. A jakie zbeczczenia rzesz źródło? *Tchórzowstwo*. Odwaga, zgola u zwierząt, jest *lwia*, a tchórzowstwo *krecie*. Wielcy byliśmy, dopóki u nas skórka zajęcza i wrzeczono uchodziły za karę na tchórzowstwo. Komu źle idzie, sam temu winien. Bóg go stworzył na wyobrażenie i podobieństwo swoje, on zaś wyrobił się na zwierza!

Nie człowiekiem, lecz robakiem jest, kto to czyta, a nieczuje się podniesion, uzacnion, poświęcon. Jeżeli już samo czytanie prawdy działa na nas tak cudownie; cóż dopiero jej wykonywanie? Zaczém zawołajmy, nie: „*Młodości!*“ jak Mickiewicz, — lecz: „*Bożo-obrazowości!*“ podaj mi skrzydła!

Stan średni składa się z tych, co pogodzili się z *pracą*, ale *li z pracą*. I praca sama wyróżniła go już od gminu, wyniosła na powierzchnię bagnisk społecznych, ozłociła promieniami Bożego słońca. Najdują się już u niego na zachodzie *bogactwo, oświata i władza*, acz wszystko to *li tuteczny i ziemski* ma kierunek, jako błogie pracy owoce, tam i sam w większej zgola ilości, niż u szlachty, która się zestarzała, a niezna już nieraz ani pierwiastku, ani kresu swojego. Ale on nie pogodził się jeszcze z cierpieniem i ze śmiercią. Ztąd niema u niego ani chwały, ani dozwolonego ludziom, a od Chrystusa i świętych męczenników Pańskich rozpoczętego Bożo-człowieczeństwa. Mieszczanin rzemiosłu, kupiectwu, przemysłowi, słowem zarobkowi oddany i dla pieniędzy li żyjący, nie lubi burz i wojen, tego *cierpienia ogólnego*, uczyniającego ludy i ukochanego od rycerskiej szlachty, a prawi o *wiekui-stym pokoju*, jako o ostatecznym człowieczeństwa kresie. I, za prawdę, miałoby się pokój ten rychło, gdyby stan średni siedział, nie jedynie po rękodzielniach i sklepach, lecz także na stolicach królewskich. Ale nigdy to nienastąpi. Do stolic tych albowiem idzie się przez cierpienie i śmierć, których lęka się dusza mieszczńska. Dziwi się niejeden znakomity kambierz, posiadający już bogactwo, oświatę i władzę nowego kroju, iż ludzkość nieceni go tyle, ile on sam siebie, i przenosi nadeń szczęśliwego hetmana wojsk, acz hołysza. Hola! Bądź sprawiedliwy i skromny, *ty milionowy nędzarzu!* A gdzież to w rodzie twym *cierpienie i śmierć*, te barwy Zbawiciela? Gdzie *chwała i Bożo-obrazowość* twoja? Azaliś dziecię, nie światowe, lecz Boże? Dziwią się mądrości dzisiejszej mistrze zawołani, iż Kościół święty naukę

ich niewiele ceni; iż oświatę nowoczesną, tak bogatą i świetną, potępia; iż przy średniowiecznym kierunku pozostaje upornie; dziwią się oni i temu, iż szlachta wyższa, znająca jeszcze posłannictwo swoje, trzyma z Kościołem. Ja dziwię się raczej temu dziwieniu się tak trudnemu do usprawiedliwienia. Oświata trzech wieków ostatnich jest *li mieszczańska*. Celem jej żołądek i pieniądz, cielesność; świat ten, słowem zwierz. I wieszcie i powieściarze i gędzbiarze biją przed zwierzem tym uwielbienia czołem. I niepodobna człowiekowi z duszą cherubina ani być w teatrze, ani czytać książki bez ekliwości i oburzenia. Jakże więc chcecie, ażeby Kościół święty i szlachta istna były z wami?

Szlachta, zwłaszcza pierwiastkowa, pobratała się, nie jedynie z pracą, jak mieszczaństwo, lecz także z cierpieniem i śmiercią. Świętym jej pierwowzorem za czasów pogańskich był Herakles, walczący z potworami ziemi przez całe życie, a kończący na płomiennym stosie, później zaś Chrystus, umierający na krzyżu. Ona sporządzała wszędy stan rycerski; zносиła trudy obozowe, a przelewała krew za naród, lub chrześcijaństwo. Poświęcaniem siebie za dobro pospolite nabywała bogactwa, a przekonaniem jej było, iż tylko takiego majątku wstydzic się nie potrzeba, który ofiarowano nam przez wdzięczność za wielkie zasługi nasze; poświęceniem siebie za innych nabywała, nie tylko rzetelnej oświaty i władzy, lecz także chwały i Bożo-człowieczeństwa ziemskiego. Nie sobkostwo mieszczańskie, nie korzyść i miłość własna, ale *ofiara* była na niebie jej gwiazdą przewodniczą. Ztąd,—niechaj kto uwielbia i sławi zagraniczny stan średni, jako chce, niechaj śmieje się do rozpuku i szydzi ze słów moich, które wymawiam w skutek długiego i ciągłego pobytu na Zachodzie,—szlachta przecież wszelaka, mianowicie zaś nasza, by też była zgoła bez bogactwa, oświaty i władzy, dopóki tylko nieleka się *cierpienia i śmierci*, stać będzie w oczach Ludzkości i Boga *o dwa bezdenne nieba* wyżej od samolubnego mieszczaństwa

i nigdy nieutraci prawa do przódkowania. Wiele złego jest u szlachty, zwłaszcza już wyrodzonej. Prawda! Ależ i w słońcu są plamy! Niepotępiaj jej atoli! Inaczey potępić byś musiał również chrześcijaństwo, na którego piersiach tyle złego! Im więcej sobkowstwa kędy i kiedy, tém bardziej góruje tam stan średni, lub zgoła chłopski; im zacniejszy zaś naród lub wiek, tém możniejsza w nim szlachta.

Słońcem społeczeństwa ludzkiego na ziemi jest ten, co pracę, cierpienie i śmierć w jednakim stopniu ukochał i wykonywał. Spłyną nań nieomylnie, nie tylko bogactwo, oświata i władza, lecz także chwała i Bożość ziemską; spłyną nań tém łacniej, im bardziej jest mieszczański i chłopski, lub zwierzęcy czas, w którym on żyje i działa; im bardziej on hydzi się ludzkością upodloną, a przecież ją miłuje i za nią umiera!

Praca jest każdego, kto przejrzał w końcu napowrót Bogiem, święty obowiązek. Cierpienia zaś i śmierci niepotrzeba szukać swawolnie: albowiem nieżąda tego Bóg, a Chrystus sam leje pot krwawy na widok ogrójcowego kielicha. Wreszcie, ileż ludzi umiera i cierpi za marę, nieraz piekielną! Wszakże włożono nam do modlitwy te także słowa: „I niewwódz nas na pokuszenie!“ Ale, gdy święte cierpienie i Boża śmierć zbliżą się do nas i wzięść nas chcą w uściski swoje; nieuciekajmy przed nimi, gdyż zwyciężące to tchórzowstwo, podłe sobkowstwo, brzydkie grzechu pierworodnego technienie! Miejmy raczej *odwagę pańską*, przytulicje do piersi, czującą w sobie *nieśmiertelność*. To nas wyniesie, a obrazem i wizerunkiem Bożym uczyni.

Prawdami temi, istnie chrześcijańskimi a od mądrości niepodległej wyznawanymi, namaszczone, oświecone i rozegrzane, wołasz: „Próżniactwo, rozkosz i żywot zwierzęcy są piekło, a praca, cierpienie i śmierć niebo na ziemi, już dla tego, że tamtych skutkiem nędza gminu, tych zaś błogosławieństwo Boże przed-

niejszych stanów. Nienawidzę zatem próżniactwa, rozkoszy i od-
danego im żywota, a miłuję pracę, cierpienie i śmierć!

Zaledwie wyrobił w sobie to przeświadczenie, aliści czujesz
już, żeś odzyskał raj pierwiastkowy; że ze stanu grzechu i za-
rozumiałej niewiadomości przerzuciłeś się w stan łaski i wiedzy;
że duch Zbawiciela jest w tobie. I oto wychodzisz z wądołu na
górze, a cherubin Pański pozdrawia cię w imie Boga płomienistym
mieczem. I stajesz pomiędzy niebianami, jako sługa Boży. A
miano twoje w niebie i na ziemi: *dziecie Boże*.

Cóż z tego wszystkiego? Nie dość poznać i naznaczyć ro-
dziny własnej *cel*, a starać się o bogactwo, oświatę i władzę,
jako o *środki do tego celu*. Przynależy jeszcze w pracy, cierpie-
niu i śmierci obaczyć *źródła tych środków*, a pić samemu z nich
kanar zbawienia i podawać go dziatkom.

Rodzice! niewzniesiecie rodziny własnej, jeżeli pracowitość,
staranność, zabieżność, pilność i gospodarność największym jej
szczęściem, niebem i zbawieniem niebędzie; jeżeli od rana do nocy
niepowtarzacie: „Robota, dwanaście prac Alecyda, to żywot dla
ciała i duszy, dla ziemi i nieba; uciecha zaś, radość, rozkosz,
które mają jad w sobie, dobre są, ale jedynie, jako krótki po-
znoju wypoczynek i zaprawa do pracy dalszej, jeżeli sami nie-
jesteście nauczającym i budującym ją co do rzeczy tej wzorem
a przykładem. Niewzniesiecie rodziny waszej, jeżeli niewdroży-
cie jej do Spartańskiego znoszenia cierpień i umierania za dobro
pospolite z ochotą! Nie wzniesiecie rodziny waszej, jeżeli o pie-
niądzach, nie zaś o wielkich ludziach, których pokazują jej dzieje,
dzień i noc marzyć będzie; jeżeli Chrystus bolejący i konający
na krzyżu świętym, lecz zato zmartwychpowstający i zasiada-
jący po prawicy Boga Ojca, niestanie się żywota jej godłem.
Potrzeba umrzeć zwierzem, ażeby odrodzić się cherubinem; po-
trzeba wyzuć się z człowieka zewnętrznego, ażeby stać się czło-
wiekiem wewnętrznym; potrzeba przestać być synem ziemi, ażeby

zrobić się synem słońca. Niedostateczny chrzest z wody: po-
trzeba chrztu z ognia. Stara ta, bo już w tajemnicach Egip-
skich i Eleuzyjskich wypowiedziana, a od chrześcijaństwa podnie-
siona i uświęcona nauka niechaj ród wasz odnowi, uczacni i znie-
biańszczy!

Praca, cierpienie i śmierć, to *główny powód*, a bogactwo, o-
świata i władza *piérwsze*, chwała *drugie*, Bożo-obrazowość zaś,
sadzająca się na ziemi pod nazwą *szlachetności*, *trzecie*, konieczne
zeń następstwo.

(Teraz czyta się ustęp osobny i rozległy wykładający
prawa rodowe. Pomijamy tu rzecz tę tak ważną, ale już
szczegółową, i odsyłamy po nią czytelników do samego
dzieła. Wolimy, miasto niej, przytoczyć tu dwa inne, krót-
sze, następujące urywki).

V.

STOSUNEK OJCA DO MATKI.

Ojciec jest *mężczyzna*, matka *niewiasta*. Stosunek ojca do
matki gruntuje się przeto na *stosunku mężczyzny do niewiasty*,
który wyświecić trzeba umiejętnie. Przepatruje się stosunek ten.

Istota ludzka złożona jest z *ciała i duszy*, które przynależą
do tego świata, tudzież z *jaźni*, będącej wiekuistym Boga obra-
zem, osobowości pierwiastkiem i wolnej woli krynicą, a przed-
stawiającej tamten świat. Obejrzyjmy tę istotę bliżej, tak w mę-
czyźnie, jako w niewieście.

Ciało męskie, w przyrównaniu do żeńskiego, krzepkie, a ostre-
mi zarysami zbrojne, szorstkie, czarniawe, do lubieży skłonne,
podług podania pierwiastkowo z gliny i mułu ulepione, przedsta-
wia *ziemię*; *ciało zaś niewieście*, w przymierzeniu do męskiego,

słabe i mdłe, lecz za to krągłe, pulchne i szałne do wszęch powstrzymałości zdolne, pięknoscia i wdziękami, jakas nadziemską swietla oblane, a uwielbienie i miłość zapalające, podług podania, z ciała męskiego wydzielone, wyobraża *niebo*. Męczyzna co do ciała *zwierz*, a niewiasta *anioł*. On rzuca się też na wroga, a po ciężkiej z nim walce, uderza go o ziemię i rozdziera, by lew, albo niedźwiedz biały; ona zaś staje przed wrogiem, poziera nań okien cherubina, przemawia doń głosem serafina, tknie się go ręką Rafaela, — i oto rozbrojony cudownie ściele się u stóp jej sam. Stare to rzeczy na świecie, iż pogromca walecznych ludów, a bohater niczem nieujeżdżony, na którego brwi zmarszczenie drży wszystek świat, korzy się przed niewiastą, którą umiłowal. On pokonał nieprzeliczone wojska; ona pokonała jego. Białogłowa łagodzi surowe obyczaje męczyzny; uczy go grzeczności i przystojenstwa w jej towarzystwie; udziela mu własnej słodyczy w obcowaniu z nią i z innymi; wplata tymiany i róże w cierniowy wieniec jego żywota; wodzi go za sobą na złotej nici niewidzialnej, jak słońce ziemię. I błogo mu! albowiem pod wpływami jej, acz li zewnątrz, zmysłowymi i tutecznymi, zostaje z ziemianina niebianinem. Co jest przystojenstwo świata wyższego, od niewiasty wynalezione i utrzymywane? *Promiennica z niebios* około tych, co już raj odzyskali.

Męczyzna *mocny*, a niewiasta *słaba* ciałem, jeżeli uważa się rzecz po zwierzęcem i zewnątrz. Ztąd na ludowej nizinie bije mąż żonę i cielesną ma nad nią przewagę. Ale męczyzna *słaby*, a niewiasta *mocna* ciałem, jeżeli bierze się rzecz po anielsku i wewnątrz. Wszak *piękność* od siły zwierzęcej, *powstrzymałość* od lubieży, *niebianność* od ziemskości większa potęga. Ztąd na górach społeczęńskich żona jest pani i miewa nad mężem przewagę. Bóg mówił do Ewy, gdy upadła: „Wola twa poddana będzie mężowi twemu, a on nad tobą panować będzie.“

Ale gdy Ewa się podniosła i raj postradany odzyskała; gdy podała mężowi, zwłaszcza jeszcze nieodkupionemu, znów jabłko, nie zakazane, jak niegdyś, ale i owszem przykazanę, — odwrócił się ten stosunek.

Ciało męskie ma moc od niewieściego większą, jako *przyrodzona siła*, a ciało żeńskie ma moc od męskiego większą, jako *nadprzyrodzona siła*. Pierwsze krzepkie dla tego, że *krzepkie*; drugie zaś dla tego, że *czarodziejskie*. Słowem, męczyzna ma się do białogłowy tak ze strony ciała, jako *ten świat* do *tamtego świata*. — Oto najpierwsza, pod wszelakim względem wykończona i jawna pomiędzy męczyzną a niewiastą sprzeczność (odwrotność).

Dusza męska odwrótnie, w przyrównaniu do żeńskiej, krzepka i potężna; umysłem bezmiary takie, jako np. nieogarnioność, wieczność, wszechobecność, obejmująca; Boga i istotę rzeczy przenikająca; zarówno w ten, jak w tamten świat patrząca; społeczeństwa i narody, państwa i zbory rozliczne urządzająca; prawodawstwo światu stanowiąca; przeszłość bez początku i przyszłość bez końca zawiązywać w teraźniejszości sploty, co chwila inne, umiejająca: jest *niebo*; — zaś *dusza niewieścia*, długo lalką, później kochankiem, wreszcie mężem i dzieckiem zajęta; samymi osobami, sobie miłymi, lub nieznosnemi wypełniona; albo komnatę gościnną i tancerską, albo spiżarnię, kuchnię, izbę dziecinną lubiąca; nie do głębszego badania i myśli twórczej, ani do umiejętności mistrzowskich, lecz tylko do ślepej wiary usposobiona: to *ziemia*. Męczyzna zna świat i człowieka *w ogóle*; niewiasta zna tylko Warszawę, Wilno, lub Kraków, Piotra lub Pawła, zawsze coś *szczegółowego*. On zdolny żyć wszędy i pogodzić się w końcu ze wszystkiem; jej niepodobna rozstać się ze zwyczajem i obyczajem własnego domu rodzicielskiego, oraz od młodu gorąco

ukochanego kraju. On zmienia łaćno wyobrażenia o czystości, przystojenstwie, kuchni i innych podrzędnych rzeczach, nawykając do odmiennego żywota ręćzo i we wszelakim narodzie na nowo; ona znajduje w postronnych krajach nieczystość, grubiaństwo, zły stół i smak, li dla tego, iż sama do czego innego przyzwyczajona. On przekształca się co doba i robi postępy; ona zostaje tēm na zawsze, co uczyniło z niēj pierwiastkowe wychowanie. On sądzi o rzeczach *wedle zasad nauki i sztuki*; ona *wedle chwilowych wrażeń*, lub *panującej mody*. On stały, a pomimo ciągłego postępu, ciągłych przeobrażeń, jednogodny z sobą, przynajmniej co do stanówczych spraw; ona przemienna i co godzina z sobą sprzeczna, a choć nakłoni męźa lub brata do głupstwa, zwała później winę na niego. Na słowo jego, zgoła po wielu latach, liczyć można; słowo jej pewne tylko na teraz. On, jeżeli było mu przy narodzinach przychylne niebo, jest wielkim duchem; ona, przy rzeczywistych darach przyrodzenia i świetnościach dobrego wychowania, zaledwie duszek. Słowem, on ze strony tēj anioł, archanioł, niebianin; ona zaś — wiecznie ta sama, z węźem zaprzyjaźniona Ewa. — Ile w tēm wszystkim prawdy, przeświadcysz się w łaća rodzinnym stosunku, zwłaszcza tam, kędy męź jest wyższego rzędu człowiekiem. Męź myśli tu, w niebiańskich i szczęśliwych chwilach, o ludzkości i synach jej narodach, a czyta pilnie dzienniki; żona zaś roi albo o nim, o dzieciach i służbie, albo też o lśnieniu w towarzystwie i czyta powieści miłośne. Jemu chodzi o podniesienie umiejętności, nauki, sztuki, przemysłu, bogactwa narodowego; jej o własne srebra stołowe i porcelany. On prawi o dobru krajowēm; ona o Brabanckich koronkach. Co *do duszy* panuje też, przynajmniej tam, gdzie stosunki małżeńskie są w porządku, męźczyzna nad niewiastą. I błogo jej, gdy mu posłuszna! Albowiem, pod wpływami zacnych myśli i górnych uczuć jego, stać się podola, również niecielesnie, z ziemianki niebianką.

Męźczyzna *mocny*, a niewiasta *słaba* duszą, jeżeli uważa się rzecz po archanielsku i wewnątrznie. Ztąd na Beskidach wyższego społeczeństwa, kędy kobieta otrzymuje lepsze wychowanie i górniesze wykształcenie, panna kocha w młodzieńcu tak *ducha*, jak on kocha w niēj *ciało*, a żona poddaje się wyrokom głowy męźowej rada. Ale męźczyzna *słaby*, niewiasta zaś *mocna* duszą, jeżeli bierze się rzecz po ludzku i zewnątrznie. Ztąd w Żuławach gminu, kędy li *masło i sér* żywota celem, rozum kobiety ujarzmiać i opanowywać zwykł rozum męźki. Żyje się tutaj, jako u dzikich, li *Dzisiaj*, niemyśląc ani o Wczoraj, ani o Jutrze; rozum kobiety przeto usposobion jest z przyrodzenia do stania się śród stosunków takich samowładnym mistrzem. I męź siedzi tu, odzian podwiką. Zgoła w wynioślejszych kręgach, młodzian lub męź, którego myśl, samemi marzeniami wielkimi zajęta, bujała po bezdrożnych niebiosach, czując się od oblubienicy lub żony ściągnion na dół, do lubych rzeczywistości ziemskich, do dwojga pięknych oczu, chatki i stadeczka dziatki, doznaje ducha niewieściego mocy.

Dusza męźka ma moc od niewieściej większą, jako *nadprzyrodzona* siła, a dusza żeńska ma moc od męźkiej większą, jako *przyrodzona* siła. Pierwsza jest krzepka dla tego, że *niebiańska*; druga dla tego, że *ziemską*. Słowem, męźczyzna ma się do niewiasty tak, jako *tamten świat* do *tego świata*. — Oto druga, pod wszelakim względem wykończona i jawna, pomiędzy męźczyzną a niewiastą sprzeczność.

Gdy porównasz i zestawisz to, co rzekło się wyżej, o ciele, a teraz o duszy, dwu płci ludzkich, znajdziesz we wszystkim *odwrotność*. Tam *lice*, tu *nice*, lub przeciwnie.

Jaiń męźka i jaiń żeńska nareszcie, uważając rzecz *bezwzględnie*, nieróżnią się wcale, ani też na żaden sposób niemogą różnić się

od siebie. Jedna i druga albowiem jest zarówno *istota z niebios*, *tchnienie Pańskie*, *wizerunek Boży z tamtego świata*. Pomiedzy *jaźniakami*, lub duchami ludzkimi przed narodzeniem ich na ziemi, lub ludźmi wewnętrznymi, wiekuistymi, już w przedświacie istniejącymi, słowem, pomiędzy działkami Bożemi, do aniołów podobnymi, w niebie i na ziemi tamecznymi, niema i niemożę być płciowej różnicy.— Atoli jaźniaki te przechodzą z przedświata w świat, lub z niebios na ziemię, i oblekają się w tuteczność, w której istocie *dwójca*. Zrosłszy się z ciałami i z duszami, wprost sobie przeciwnymi, poczynają natychmiast różnić się od siebie. Różnica ta atoli, nie z *niebios*, lecz z *ziemi*. Jakoż, biorąc rzecz *względnie*, jaźń męzka cale co inszego, niż żeńska. Obie ukazują się zaiste, w gruncie istoty swęj jednako cnotą, świętością, prawem, miłością, wszechbożkością, od Boga w ludzi tchnioną; lecz pierwsza jest bardziej *prawdą*, lub duchem wiekuistym *wewnętrznym*, a druga bardziej *pięknością*, lub duchem wiekuistym *zewewnętrznym*. Jaźń męzka, wyobrażenie Boże, jako *podstata* (substantia) *jaźniaka*; a jaźń żeńska, jako *wyjaw tęj podstaty* (apparitio), jako jęj *światłość*. Tamta ma się do tęj, jako Bóg do świata, lub wieczność do czasu. Ewa też, zgrzeszywszy, *zeświatowia* Bożego, *uczasowia* wiekuistego Adama. A przez niewiastę w ogóle niebieski jaźniak, sam zgoła Syn Boży jednorodzony, staje się ziemskim człowiekiem. Jaźń męzka odpowiada słońcu, lub niebu, w którym iskra żywota; a jaźń żeńska ziemi, w której nasienne ziarno. Jaźń męzka *dziewica niepokalana*, a jaźń żeńska *matka cielesna*.

Oto trzecia i najbardziej stanówcza, pomiędzy mężczyzną a niewiastą sprzeczność.

Dwie istoty, w gruncie *zupełnie sobie równe*, *jednosworne* i *jednako szczerze od Boga uposażone*, lecz, pomimo tego, cia-

łem, duszą i jaźnią, lub wszystkimi trzema dzielnicami bytu, całem jestestwem sobie przeciwne i z sobą odwrótne; widząc jedna w drugiej, iż tak rzekę, Boże samęj siebie przedwarzanie i przyrodzenia przekas ostry, lub żywe, dziwne przedrzeźnienie własne, a szukając jedna w drugiej tego, czego jęj samęj braknie, lub dopełnienia się własnego: odpychają się wzajem i gonią za sobą. Na *odpychaniu i pociąganiu się tēm zobopólném*, na tych godzących od i do siebie przeciwach, gruntuje się wszechstosunek płci męzkiej do żeńskiej.

W małżeństwie zachodzi *zobopólne mężczyzny i niewiasty uzupełnienie*. Ciało męzkie, jak wiadomo, *ziemskie*, acz skupisz je li w oku, tknąwszy się niewieściego, *niebiańszczeje*, a ciało żeńskie, samo *niebieskie*, tknąwszy się męzkiego, *ziemszczeje*. I oba stają się *jednē ciałem*, a rodziny matecznikiem świętym. Dusza męzka, li *niebieska*, zlawszy się z duszą żeńską w jedno, *ziemszczeje*, a dusza żeńska, li *ziemska* w stopieniu się tēm *niebiańszczeje*. I obie stają się *jedną duszą*, a rodziny duchowē tchnieniem. Jaźń męzka dobiera się w żeńskiej do własnego wyjawu i światła, a żeńska w męzkiej do własnej podstaty. Tamten i ten świat, słońce i ziemia, anioł i zwierz stapiają się tu z sobą potrójnie i coraz inaczej, a różnojedni tēj owocem *człowieczeńskość istna*. Nazwą zaś zwykłą człowieczeńkości tēj *rodzina*.

W pieczarach i norach pierworodnego grzechu panuje *zwierzęcość*, a na niebie odzyskanego raju *Bożo-obrazowość*. Cóż ztąd? Oto, że śród gminu przemaga w małżonkach, *co ziemskiego*, a śród warstw społeczeństwa górniejszych, *co niebieskiego*.

Jakoż w ludowych dolinach mąż rządzi żoną cielesnie i za pośrednictwem pięści, lub *po zwierzęcemu*, albowiem ciało jego mocniejsze od ciała jęj *ziemską siłą*, a on siły nadziemskiej nieznajna i nieuznaje; żona zaś rządzi mężem wprawdzie duchowo,

lecz tylko niewieście-duchowo, lub za pomocą podstępui węża, zacząć również *po zwierzęcemu*, albowiem dusza jej mocniejsza od duszy jego *ziemską siłą*, a nieznająca i nieuznająca siły nadziemskiej. Żwierz króluje tu tedy obustronnie nad aniołem, a ziemia nad niebem. Jest to stan *przyrodzony i ostoja upadu*.

Na społeczeńskiej górze zaś mąż, oglądając żonę ciągle w promiennicy niebiańskiego, a troskliwie pielęgowanego, odświeżanego ciała, uderza przed nią chętnie głębokiej czci kolanem. Uwielbia ją, albowiem ona *piękności Bożej wyjaw i nieba wcielenie*. Ceni ją już dla tego, że uznaje w niej *widomy niebiańskiego ducha własnego wyraz*; że złał na nią, gdy była mu kochanką, wszystko, co duch jego widział i słyszał, bujając po niebie; że ubrał ją w światłość i gęźbę archaniołów; że ona mu, dopóki on ją kocha, ciągle ta sama, jaką *ją duch jego stworzył*. Ciało jej *świętości jego przybytek*. Ozdabia je sam *w słoneczne blaski*, jak może otacza *światłą niebios*, a strzeże od wszechpokalanania. Ma być mu tak czyste, tak szałne, jak własna myśl jego, a tak drogie, jak własne imię i zawołanie dobre. Biada temu, ktoby odważył się tknąć postaci tej ręką, lub mową nieanielską! Słowem, *cielesna ta istota z niebios* jest miłości, hołdu i szacunku jego cel. Robi ją królową swoją, a tēm samém daje jej panowanie w bawialni i wszędy, gdzie święcić się ma *zewnętrności niebo*.

Żona przeciwnie, słuchając męża, jako rozprawia o rzeczach Bożych i ludzkich, a widząc go w całej promiennicy niebiańskiego ducha, korzy się duchowo przed nim rada. Zdaje się jej, że on wypowiada wymównie własne jej przekonania, których trudno jej przywieść do słowa, a pożyczca głowie i sercu, jej złotopłynnego języka. Uwielbia go, albowiem on *prawdy Bożej wyjaw i niebios rozebrzmienie*. Ceni go już z powodu, iż w słowie jego płynie *rozwiązane w gęźby nadziemskie i rozkoszne własne ciało* jej uroczę. Duch jego *świętości jej przybytek*. Stara się zostać

dlań *kapłanką* i strzedz w nim *ognia z niebios*, ażeby niezagasł. Ogień ten to jej *zbawienie*. Jakże ona zeń dumna! Żona przyciąga, zaiste, męża ku sobie i dzieciom, lub ku *ziemi*, ilekroć ucieka on od niej za wysoko ku niebu; ale i w takowym razie nie przestaje być istotą poniekąd *duchowniejszą* od niego. On bowiem, acz sam duchowy, kocha w niej *ciało*; ona zaś, acz cielesna, kocha w nim *ducha*! Żona ściąga mężową myśl zbyt często do ziemi, lecz oddala od niej wszechpokalanie. Jak potężną tarczą Bożą staje się mu np. ona, gdy dumą lub gniewem porwany w nieszczęsnej godzinie skłonić się chce do czego niegodnego! Wrogiem jej nieubłagany jest każdy, ktoby śmiał mówić o nim źle. Niecierpi już tego, kto często mu czegoś zaprzecza i sporne słowo podaje. Dość! *Duchowa jego istota z niebios*, miłości, hołdu i szacunku jej cel. Robi go królem swoim, a tēm samém powierza mu panowanie nad myślami, uczuciami i uczynkami swojemi, wszędy tam, gdzie święcić się ma *wewnętrności niebo*.

I oto na wysokiego społeczeństwa Himalaju mąż panuje nad żoną *wewnętrznem*, a żona panuje nad mężem *zewnętrznem* niebem. On poddaje ziemię w sobie pod *niebo w niej*, a ona poddaje ziemię w sobie pod *niebo w nim*. I przez oboje wyczynia się w domu ich *niebo*, a omdlewa, blednie i znika ziemia. Żwierz ucieka na bory i lasy, a *Bóg* zstępuje do ich ołtarza. I *raj* zostaje odzyskany, a *królestwo Boże* wchodzi w ich progi.

Taki jest stosunek mężczyzny do niewiasty, męża do żony, lub ojca do matki na żywota ludzkiego stropie.

Mężczyzna, wyświecający z istoty swęj niebo i oddający cześć niebu w niewieście, a królujący nad ziemią i w sobie i w niej, gruntuje królestwo Boże i staje się *panem* we swoim domu. Niewiasta znowu, wyświecająca z istoty swęj niebo i oddająca cześć

niebu w mężczyźnie a królująca nad ziemią i w sobie i w nim, gruntuje królestwo Boże i staje się *panią* w swoim domu. Żyją oboje *we spółnictwie królestwa Bożego i panowania nad ziemią*. I prawdzą się na nich przytoczone już słowa Boże: „Czyńcie ziemię sobie poddaną!“ Jest się *panem*, lub *panią*, nie przez urodzenie, ani przez bogactwo; ale li przez to, iż gasnie się *zwierzem*, a rozelsniwa się *aniołem*; iż traci się *ziemię*, a odzyskuje się *raj*, słowem przez zdobytą *Bożo-obrazowość*. I Bożo-obrazowość ta, by też na chudym pachółku wyjawiona, promieni się niebem, a jest *prawdziwą społeczeństwem lepszego światła*.

Co przełożyło się dotąd, są to myśli nowiuteńkie, pierwszy raz wyrzeczone, nikomu dawniej nieznane. Przychodzą w nich atoli co do słowa *prawdy arcy stare*, przed wieki u nas pełnione i pradziadom naszym święte. Byłże albowiem inny męża do żony Staropolski stosunek? Żona tu, czując niebo mężowego, a ziemię własnego ducha, mawiała: „Jegomość tak kazał. On pan i król mój. Jam służebnica, która powinna mu najrzetelniejsze posłuszeństwo. Niechaj się święci więc wola jego!“ Jak ona w potulności tej dla męża i poświęceniu siebie samą czcigodna, jak piękna i szczytna! Jak przeświadczenie jej jest chrześcijańskie, szlachetne, wzniosłe! To nie niewolnica podła, jak sądziłby dziś mieszczuch na Zachodzie, lecz *anioł pański*, nieznający i niechęący znać innej woli od Boga. Niepyta ona o *przyczyny rozkazu*, boby to oznaczało, iż nie *osobie*, ale *rozumowi* chce być posłuszną. Dosyć jej, że *ukochany mąż* tak żąda! Taką ma być i dzisiejsza pani rzeczywiście. — Mąż znowu, czując niebo żoniego, a ziemię własnego ciała, oddawał połowicy swój drogiej hołdy, iście po bałwochwalisku. Biada dziecku, które oburknęło się matce! biada słudze, który przepomniął głębokiego poważania dla jejmości! biada druhowi, który uchybił pani! Ona mężowi tak miła, tak święta, iż z gośćmi i przyjaciółmi zakończy biesiadę, *pijąc z jej trzewika*. I oddawano pokorną cześć pani

Niebios, której wyobraźnią była pani domu. Niejestem wcale, jako widzi się to z Chowanny, obrońcą wszystkiego co było, a obrzędy są mi, w obec istoty rzeczy, dość obojętne. Powiem atoli, że kto Bożo-obrazowość pańską dobrze rozumie, wstydić się za barbarzyństwo to dziadów naszych niebędzie. Azali wszystka średniowieczna *ducha orlo-lotność i szlachectwa rzetelnego szczytność* niewydaje się dziś barbarzyństwem? O, bez miary większe barbarzyństwo naszych czasów mieszczańskich pogańskich, zwierzęcych!

Panem jest mężczyzna przedniejszy, nie jedynie w obec żony i dzietek, a panią niewiasta przedniejsza, nie jedynie w obec męża i dzietek. Panem jest on, a panią ona, nie jedynie naprzeciwko drużynie i służbie domowej. Panem on, a panią ona mianowicie *dla tych kroci biedaków*, którzy przebywają w parowach pierwotnego grzechu. Jako Chrystus, Pan panów, wszystek ród ludzki, tak wy poruczonych sobie od Boga poddanych, przynajmniej o ile usposobieni są już ku temu, wyzwolić macie z padółu płaczu i nędzy. Chrystus nie szczędził w tym celu własnej krwi Pańskiej; wy nie szczędźcie przynajmniej pracy i pieniędzy! Bóg panuje nad światem, a Bożo-obrazowość nad zwierzo-obrazowością. Jako Bóg do wszystkiego, tak obrazy i dzieciętki Boże do gminu mają prawo. Możliwych rzecz *odbierać*, a czerni rzecz *oddawać* hołd. To jedyna za krzyż wasz i dzieło odkupienia nagroda. Państwo istne a poświęcenie się to jedno!

Brony do raju i rozelsnienia dzieczenstwem Bożem stoją każdemu otwarte na oścież, acz cherubin z płomienistym mieczem ich strzeże, a praca około królestwa Bożego na ziemi każdemu dopuszczona. Wszyscy są wezwani od Boga na świętych i możliwych. Zkądże więc tak mała wybranych liczba? O, *gad i płaz człowieczy* temu winien! Nie pomiędzy ludźmi tego świata, ani na dnach kotliska grzechu, ale pomiędzy *bohaterami tam-*

tego świata i na niebios wysokości możebne są *wolność, równość i braterstwo*, lub Synowstwa Bożego, od Zbawiciela nam otworzonego, dary i znamiona. Napędzajcie, o państwo, wszystkich do raję, a wskazujcie na własnym przykładzie doń drogę!

Jakim sposobem wykonywa się *państwo*? Odgarniając nasamprzód i przedewszystkiem w sobie, później w połowicy swęj drogię i w dzieciach, w drużynie i służbie, a nareszcie w ludziach padołu, z którymi się ma dotknięcie, niebo od ziemi; podnosząc w nich niebiańskość aż do wysokości niebiańskości własnej, a odpychając ziemię precz od siebie, odpychając mianowicie zwierza aż gdzieś tam w otchłani, do której stracił Bóg szatana; podając tym bratnią dłoń, co godzą ku niebu, a cofając ją od tych, co niechcą wyzuć się z obrzydliwości dołu; słowem, pełniąc i biorąc w opiekę *dobre, piękne, święte*, a prześladowając niezmordowanie *złe*. Tak, prześladowajcie *złe*, ale miejcie wyrozumiałość, pobłażanie i miłosierdzie dla *człowieka*, który stał się jego naczyniem!

Niebędzicie państwem, w znaczeniu szczeręgo złota, nielubiąc pracy i niedając w niej zbawiennęgo przykładu! Mąż i żona niech wstają więc z rana w przody, a kładną się spać później, niż drudzy! Niech będą nieznużeni! Oko ich ma wszystko obaczyć i obejrzeć, a ręka wszystkiego tknąć. *Przewodniczyć w pracy*, to tyle, co panować. Czynność tę otrzymacie, lubiąc w jadło, napoju i w innych potrzebach wstrzemięźliwość. Odnaczać się skrzętnością powinniście już z powodu, iż macie dać na sobie dzieciom i czeladzi, nie *ogłędu na korzyść własną*, bo to duch mieszczański, lecz *Bożo-obrazowości wzór*.

Również niebędzicie państwem istnieniem bez wysokięj oświaty. Jeżeli np. ochmistrze mają więcej od was ukształcenia; czy podobna wymagać od nich, ażeby cenili was bardziej, niż samych siebie? Lecz niedość! Trzeba oświatą sięgać, niejedno ku gorze, lecz także ku dołowi. Jeżeli owczarz zna się od pa-

na lepiej na owczarni, a kucharka od pani lepiej na kuchni; uważać się wnet poczną, przynajmniej w zawodzie swoim, za coś lepszego wewnątrznie, lub rzeczywiście od nich. Rozum wyższy ma takie samo prawo do kierowania rozumem niższym, jak rozum ludzki wolą zwierzęcą. Wiekuista to uchwała Boża. Na mocy prawa tego więc owczarz panu, a kucharka pani, niesłużyć, jako przynależy, ale wnet rozkazywać będą. To samo rozumie się w obec domowników innych. Czy hetman, nieznający się na wojnie, podał być dobrym wodzem? Otóż i wam przystoi *znać się na każdej rzeczy*, a *umieć nauczyć i pokazać*, gdy coś źle robią. Ludzie, przeświadczywszy się o tē, iż potraficie sami wszelakie zatrudnienie wykonywać lepiej niż oni, a krom tego wiele rzeczy wyższych, o których się im ani śniło, będą was czcili i słuchali. Znanie się państwa na wszystkiem ułacnia służbie posłuszeństwo, a dzieciom dla rodziców cześć. A znać się na wszystkiem, co wchodzi do czynności waszjęj zakresu, niejest wcale niemożliwa. Otrzymawszy bowiem za młodu staranniejszą naukę i zwiedziwszy kraje obce, a będąc członkami społeczeństwa wyższego, mogliście nabyć wszechstronniejszego ukształcenia od ochmistrzów i przedniejszjęj drużyny waszjęj; rzeczy zaś domowych, gdy ma się już rozum rozwinięty, a krom tego przepłacać wszystko potrzeba, nauczyć się można i rychło i snadno. Dosyć tu przyłożyć rękę i chcieć.

Jeżeli nieprzodujecie wszystkim *pracą i oświatą*, nieosiągniecie *władzy*. Co gorsza, wydawać się wnet ludziom będzie, iż niegodni jesteście majątku, który posiadacie, ani lepszego losu, jaki stał się waszym udziałem. Właśnie ta okoliczność, iż ma się bogaczów gnuśnych a nieukształconych, sprawuje, iż przepoleczniacze prawią do ludu: „*Spuścizna po rodzicach i przodkach*, nie pomiędzy dziećmi, zwykle nic niewarte, lecz pomiędzy biednych, pracę lubiących, powinna być rozdzielona.“ Trudno też zgłodniałym wyrobnikom sprawiedliwość i prawość rzeczy

tęj pojąć, ażeby ktoś żyć miał z oszczędności dziadów, niepracując sam. Pracujcież więc już dla tego, ażeby wam niezazdrozczono! Wszak z zazdrości rodzą się zawiść i nienawiść zbojecka. Pracujcie, ażeby was *ludzie dołu* niewyprzedzili! Szlachta mało znaczy na zachodzie. Czemu? Bo wyprzedziło ją pracą mieszczaństwo. U nas niema mieszczaństwa, ale są na miejscu jego Żydzi lub obcy przybysze Niemcy. Pan próżniak odda wnet majątek pracowitemu i przemyślnemu synowi Abrahama, lub Teuta.

Niebędziecie państwem rzetelnem bez dania przykładu gospodarności. Miejcie, nie czworo, ale sto ocz, a widźcie wszystko, mianowicie zaś, co marnieje bez potrzeby i przez niedbałość, lub lenistwo! Nierozrzucajcie darów Bożych; szcędźcie, gdzie i jako możecie! Uważajcie to za grzech, wyrzucić coś we śmiecie, co mogłoby być od kogo spożyte! Bierzcie wzór z gospodarności Boga, który w przyrodzeniu nieczyni nic za wiele i nic za mało! Ludziom się marzy, iż skarby wasze są nieprzezerpane. Gdy postrzegać będą, iż pracujecie sami i szcędzicie; otworzą się im oczy. I przekonają się, że praca i gospodarność, które przymiotami ich także być mogą, są pomyślności waszej źródła i najprawdziwsze na ziemi bogactwo.

Niebędziecie państwem, w pełni znaczenia tego wyrazu, jeżeli mąż *ojcem*, a żona *matką* wszystkim domownikom, szczególnież zaś pilnym i zacnym, się niestanie! Prawda, że tylko czerwienie są przeciwko *karze miecza i kija*. Niewierząc w żywot wiekuisty, przekonani są, iż ze zgonem ustaje byt człowieczy, równie jak bydlęcy. Kara miecza wydaje się im przeto, nie karą, której celem poprawa dalszego żywota, ale *bezwarunkowem zatraceniem*, zacząć zbrodnią najstraszliwszą, której sprawiedliwość dopuszczać się niepowinna. *Żwierz* znowu, to nauki ich, na równości i braterstwie dołu opartej, a przespołecznie nie człowieczeństwa *na korzyść próżniaków* zamierzającej; osta-

teczny kres. Jemu oddają hołd hołdów. Biorą go tedy w opiekę wszędy, głównie zaś w człowieku, i znoszą zgola po więzieniach, karę kija. Prawda, że, jako mówi Paracelsus, zły duch lęka się najbardziej *żelaza*, a *zwierz bicia*; że karze się mieczem i biczem właściwie, nie człowieka, który jest Boga obrazem, lecz szatana i bydlę w człowieku; że i miecz i kij mogą być w pewnych razach niezbędne i zbawienne. Niechwytajcie za nie atoli rąco! Bóg pobłaza długo, a karci rzadko. Będąc ojcem poddanych twoich, nagradzającym pracowitych i dobrych szczerze, we dwójnasób, po bożemu, a karzącym gnuśnych i złych łaskawie, hojnym w dary, a skąpym w kaźń, będziesz panem. Będąc zaś *matką*, widzącą w lada służebniku i służebnicy działki własne, troszczącą się o ich zdrowie i szczęście, i kochającą je rzetelnie; będziesz panią. Bez *miłości rodzicielskiej*, która jest miłości Bożej namiestnicą na ziemi, można być, czém jedno chcecie, ale niejest się *państwem*.

VI.

STOSUNEK RODZICÓW DO DZIECI.

Stosunek, o który tu idzie, ugruntowan jest arcygłęboko, albowiem aż w *istocie Bożej*.—Rodzina sprawuje ziemski Bożej istoty odśłon. W niej są również trzy osoby: *ojciec, syn i matka*.

Ojciec na rodziny łożnie ma dla niej znaczenie Najwyższe. Tutaj on, Opatrzności oko i łaski Niebios dłoń.—Syn znowu, jako obraz i wizerunek ojca, lub jako ojciec, który położył siebie samego za sobą, ma dla rodziny znaczenie Bożo-człowiecze. On, jako ojcowskiej woli i władzy dziedzic, nadzieja jej na przyszłość; jeżeli zaś ona biedna i widzi w nim jedyną

kotwicę ocalenia, ję zbawiciel. Matka nareszcie, to jako *pierwiastek świata w Bogu tkwiący*, na rodziny łonie. Duch spowodował, iż Bóg stworzył świat. Matka ma też znaczenie bożo-światowe. Ona, będąc panną, która podobała się ojcu, spowodowała go do zawiązania rodziny, lub stworzenia sobie osobnego świata. Później zaś, to *miłość*, pomiędzy ojcem i synem rozpięta, a obu *światowo* pielęgnująca. Przez nią ojciec otrzymał syna, a syn ojca. Bez niej ojciec nie byłby ojcem, ani syn synem. W niej przeto pomiędzy ojcem i synem żywa różnorodni wstęga. Ona w modle, wyobrażającej Tróję: „*jaźń=jaźń*“, *kmiotu i omówcy łącznik* (subjecti et objecti copula), lub rozwieszony pomiędzy nimi *przedmiot*, słowem, do obu przynależny *świat*, lecz osobisty, jak w Duchu świętym; a sprawuje w obec nich zobopólne pośrednictwo. Są to trzy osoby, a w gruncie jedno ciało, którego imię *Rodzina*.

Stosunek ojca do syna już jasny. Ale stosunkowi matki do ojca i syna poświęcić wypada jeszcze kilka wyrazów, ponieważ on najbardziej tajemniczy. Niedarmo matka ma tak wielkie i święte znaczenie!

Duch święty, który, jako osoba trzecia, zamyka Tróję Bożą, a który, podług słów Ś. Jana Apostoła: „Są trzej, co świadczą na ziemi: *Duch*, woda i krew“, odmyka tróję światową; który też ma znaczenie *Boga-świata*: to tyle, co *pierwiastek przyrodzenia* w istocie Bożej. Matka, on Duch święty na rodziny łonie, występuje także w obec ojca i w obec syna, jako przyrodzenie *uosobione* i *ujaźnione*, lub na obraz i wizerunek Boży uczynione. Wszakże jaźń żeńska ma się do jaźni męskiej, podług tego, co się już przełożyło, jako *świat* do Boga. Duch święty jest przyrodzenie wśród Trójcy Bożej, na początku rzeczy i w niebie, a matka przyrodzenie wśród trójcy ludzkiej, na końcu rzeczy i na ziemi. On i ona są zarówno *osobą*.

Syn, to człowieczeństwo w świecie rodziny. Ojciec ma względem niego obowiązki *Boga*, a matka obowiązki *przyrodzenia*. Jaźń jego niebiańska i tameczna pochodzi zaiste od Boga; ale ojciec dał mu tuteczną *duszę*, matka zaś dała mu tuteczne *ciało*. Niedosć! ojciec ma kształcić go na *wewnętrznego*, matka na *zewnątrznego* człowieka; on ma zrobić go *niebianinem*, ona *ziemianinem*. Do ojca odnosi się piecza około tamecznych i *wiecznościowych*, do matki około tutecznych i *czasowych* potrzeb syna. On prowadzi go w *przyszłość* i przelewa nań *przeszłość*; ona otwiera mu *teraźniejszość*.

Mojesz nie wie o Trójcy w Bogu. Atoli mędrycy *Kabały*, która jest poniekąd starego zakonu umiejętnością rozumowaną, mają wyobrażenie Trójcy. Jest nią u nich: „*Starzec starców*, którego imię bądź pochwalone“, jako ojciec; „*niebieski Adam*, który wcielił się później w ziemskiego Adama i rozrodził się człowieczeństwem“, jako syn; „*Szechina* wreszcie, lub matka przyroda i piękność w Bogu, jako królowa niebios i ziemi.“ *Kabałowa Szechina*, która tkwi w Bogu i mieszka na niebie, wyjawiała się na ziemi w chrześcijańskiej Maryi, Boga Rodzicy Dziewicy. Trójca tego, acz jeszcze niechrześcijańskiego znaczenia, ma bardzo starożytny początek. Była już w starym Egipcie. Ukazuje się nią tutaj: *Ozyrys*, *Horos* i *Izyda*. Była i wszędzie. *Szechiną* są albowiem Fenicka *Anaita*, Chaldejska *Milita*, Irańska *Mitra* i t. p.— Cóż ztąd? Matka wśród rodziny tak przeciwko ojcu, jako i przeciwko synowi, ukazuje się królową niebios i ziemi, dopełnić ma powinności świętoduskich *Szechiny*, a być im bożo-światową, cichą, mléczno-włosą *Izydą*, *Anaitą*, *Militą*, *Mitrą*.

Duch święty, to *rodzić i król duchów*. Duchami temi są *aniołowie*. On tedy rodzić i król aniołów, lub *anioł nad anioły*. Aniołem upadłym zaś jest szatan. Jako szatan przekleństwem, tak Duch święty świętością największą. Złe bierze początek, nie z Boga

Ojca, ani z Boga Syna, lecz dopiero w królestwie Ducha świętego, a bliżej w *dzielnicy duchów*, będących, jako już się to wyłożyło w dziele, *siłami przyrodzonemi*, tamecznie, a więc *osobiście* pojętemi, lub nie z *mękości*, lecz z *żeńskości*. Nie *Szechina* niebieska atoli, ale *Ewa ziemska*, wyobrażenie jej i podobieństwo, daje do siebie przystęp *wężowi*. Matka wśród rodziny, jako Duch święty z całym duchów królestwem i jako *Szechina*, otoczona wojskami aniołów, to *cherubin z mieczem ognistym* przy bramach raju, pośredniczący pomiędzy Bogiem i Adamem. Co cherubin ten? Sługa Boży, nieznający innej myśli i woli, jedno tę, którą ma pan, a strzegący raju, lub Bożo-obrazowości. Matka więc, jeżeli żąda być dobrą matką i odpowiedzieć godnie przeznaczeniu swemu, nie powinna w obec syna mieć innej myśli i woli, jedno tę, którą objawia ojciec, a strzedz ma w nim Bożo-obrazowości, lub dobrego obyczaju i wyższego przystojenstwa pilnie. Gdy przestanie być panu swojemu posłuszną; przypuści do siebie węża i pokłoni się zwierzęciu. Z *Szechiny* zrobi się *Ewą*; uroni sama, a przez nią ojciec i syn *raj*. A co *Ewa* zepsuła, naprawić podoła li *Marya*, następczyni jej, lepsza od niej bez miary, o której Bóg powiedział, iż rozetrze wężowi głowę. Kto będzie *Maryą* taką na rodziny łonie? Może *macocha*? Ale to byłaby sromota dla matki. Nieżądaj przeto, o matko, być czem więcej, krom aniołem, w służbie twojego pana i twojego syna! Czyli to nie wielka już dla ciebie chwała i cześć? Do ojca przynależą powinności *Boże*, do matki powinności *archanielskie*. W słowach tych zamyka się wszystkie znaczenie i powołanie matki.

Duch święty zowie się *pocieszycielem*. Matka też ma być pocieszycielką ojcu i synowi. Ona pociesza ojca, gdy tenże smuci się, patrząc na przywary syna. Wymawia i broni go przed nim, jak może. Pociesza znów syna, gdy tenże smuci się, iż ojciec przeciwko niemu twardy; wymawia i broni go przed nim, jak może. Sama będąc *przyrodzeniem*, *światem*, rozbraja ojca

i syna, wskazując im *niedostatki tej ziemi*, oraz jej mieszkańców. Słowem, ona i ojcu i synowi kanarami niebios osładza tego żywota piołun.

Rodzina jest trójcą, której osobami: ojciec, syn i matka. Ani bez ojca, ani bez syna, ani bez matki, niema *rodziny istnej*. Wszystko troje są konieczne, ażeby sporządzać to, co zowie się rodziną. Jako w Bogu, tak i w rodzinie ma się *dwa pierwiastki męskie*, ojcowski i synowski, a tylko *jeden żeński*. Ojciec wśród rodziny osoba najpierwsza. On jej założyciel, początek i święta przeszłość. Syn znowu w rodzinie osoba druga. On jej cel, koniec i święta przyszłość. Matka nareszcie w rodzinie osoba trzecia. Ona żywot jej, środek i święta terażniejszość. Ojciec jednoczy syna z łańcuchem dziadów i pradziadów, a syn jednoczy ojca z łańcuchem wnuków i prawnuków; matka zaś jednoczy tylko ojca z synem. Ojciec pogląda w rodzinne wczoraj, syn w rodzinne jutro, a matka w rodzinne dziś. Trzy osoby są tutaj, jak w Bogu, zupełnie równe, a różnią się od siebie stanowiskiem, znaczeniem i zadaniem odmiennym.

Podnosi się tu w górę wypuszczone dopiero co słowo, iż jako w Bogu, tak i w rodzinie widzi się dwa *pierwiastki męskie*, a tylko *jeden żeński*. Byś też miał przeto córek tuzin, jeżeli zbywa ci na synu, niesporządzasz z matką i dziećmi rodziny istnej. Czemu? Rodzina twoja ma *dwa pierwiastki żeńskie*, a tylko *jeden męski*; niejest bynajmniej trójcą! Braknie w niej bowiem *drugiej osoby*, którą sprawuje *syn*, nie córka. Ona też niepełna, a niezamykając w sobie syna, niema przyszłości. Rozwiązuje się już przeto i zagasa, a imię twoje przedzwięczy rychło. Córki przejdą do rodzin innych, przybiorą imiona inne. Przez nie *spowinowacają* się, ale *nieprzedłużają* rody. One przedłużają ród także, lecz komu innemu, nie tobie. Oto powód, ugruntowany bardzo głęboko i sprawiedliwy zupełnie, iż przywiązuje się tak wielką do syna w rodzinie ważność.

Co zatem znaczy córka? Jako ojciec w synu, tak matka w córce wychodzi z siebie za siebie i kładzie się za sobą. Jako syn ojca, tak córka matki powtórzenie, wyobrażenie i podobieństwo. Jako ojciec, za pośrednictwem matki, staje się synem; tak matka, za pośrednictwem ojca, staje się córką. — Gdzie tedy syna niema, a córek dość; tam ojciec jeden, matek zaś, jeżeli jeszcze nie dzisiejszych, to jutrzejszych, wiele; tam nie trójca, lecz *dwójca* w rodzinie. Gdzie zaś syn jest; tam córki stają się drugą, trzecią, dziesiątą matką, mającą to samo zadanie, co matka istna, czyli pośrednictwo pomiędzy ojcem i synem, tudzież opatrywanie ich macierzyńskie i słodzenie im płynącej chwili. Im więcej córek w domu; tém więcej dla ojca i syna aniołów ziemskich; tém wesele ich tuteczny żywot. Oby tylko żaden z aniołów tych nie upadł! albowiem wtedy i ojcu i synowi dom zamienia się w piekło!

A kto pośredniczy pomiędzy matką i córką? Długo ojciec, później zaś następca i zastępca jego *syn*. Ponieważ córka występuje, jako sobowtór matki; przeto matka wychowawczką jej i panią. Ona kształci ją na odrodzony wizerunek własny. Ale, jak ojciec dla syna bywa twardy; tak matka dla córki mało ma niekiedy pobjaźnia. Jaka tego przyczyna? Któżby rad patrzył na *ułomności własnego wyobrażenia i powtórzenia!* Ojciec zatem, a później syn staje pomiędzy matką i córką, biorąc jedną przeciwko drugiej w opiekę. Im więcej synów w rodzinie, tém więcej matka i córka posiadają obrońców, tém słodszy żywot ich. — Biada synowi bez matki i siostry, a biada córce bez ojca i brata! Syn dozna w takowym razie łacno twardości ojca, a córka twardości matki i niebędą mieli żadnej przeciwko nim tarczy. Ztąd znać, iż liczne rodzeństwo *wielkie błogosławieństwo Boże*.

Wszystko tedy wśród rodziny uporządkował Bóg mądrze. On oznaczył sam wzajemne stosunki do siebie składających ją osób. Postawił ją arcy wysoce, umieszczając w niej ziemski Istoty własnej odślon, a nadając jej wszystkie do osiągnięcia łącznego

Bożo-obrazowości warunki. Cześć zatem rodzinie, której znaczenie tak głębokie i święte! *)

Frejburg w Bryzgowii,
w w. księstwie Badeńskim,
dnia 15 Marca 1857.

*) Kwestye dotknięte przez szanownego Autora tak są ważne, a tak mało jeszcze u nas rozwinięte, że lubo sami niepodzielamy niektórych zdań autora, z miłą jednak chęcią drukujemy tę pracę dla wywołania dyskusji. Teką naszą, jako teką, mieści w sobie artykuła choćby i sprzecznych poglądów, ale nacechowane dobrą wiarą, oparte na głębokiej wiedzy; — czego szanownemu Autorowi odmówić niepodobna.

Przyp. Red.

KWESTYE ŻYWOTNE,

PRZEZ

PIROGOWA *).

(Przekład z Rosyjskiego przez K. Szlagiera).

Zapytał mię ktoś: „Na kogo pan usposabiasz swego syna?“

— „Na człowieka“, odpowiedziałem.

— „Czyliż pan niewiesz,— rzecze znów pytający— że mówiąc właściwie, ludzi na świecie niema? Człowiek jest to tylko abstrakcja, nieprzynosząca żadnej dla społeczeństwa korzyści. Nam są potrzebni kupcy, żołnierze, mechanicy, marynarze, lekarze, prawnicy, ale nie ludzie.“

— Jestże to prawda? lub nie?

*) Mikołaj Pirogow, urodzony w r. 1810, wyższe nauki pobierał w uniwersytecie Dorpackim, gdzie otrzymawszy stopień doktora medycyny, wysłany był do Berlina dla dalszego kształcenia się w obranym lekarskim zawodzie. Powróciwszy do kraju został w r. 1836 profesorem chirurgii w uniwersytecie Dorpackim. W 1839 odbył naukową podróż do Paryża. Następnie w 1841 przeniesiony do Petersburskiej medyko-chirurgicznej akademii był professorem chirurgii i anatomii. Odbywszy jeszcze raz podróż za granicę i na Kaukaz w celach naukowych, został w r. 1847 przyjęty do grona członków akademii nauk w Petersburgu. W czasie upłynionej wojny czynnie pełnił obo-

Żyjemy (jak to każdemu już wiadomo), w dziewiętnastym, przedewszystkiem praktycznym wieku.

Abstrakcje, nawet w główném swém siedlisku Niemczech, niemają już powodzenia. A jednak człowiek, mówcie mi co chcecie, jest najczystsza abstrakcją.

Prawda, że człowiek zoologiczny istnieje jeszcze po dawnemu i oburącz trzyma się rzeczywistości; lecz człowiek moralny współ z innemi staroświeckimi abstrakcjami nieklei się jakoś do teraźniejszości.

Zresztą, bądźmy pobłażliwsiemi względem naszych czasów; wszak i w starożytności, śród dnia, z latarką szukano ludzi,— ale szukano przecię.

Prawda, że pogańska starożytność niebyła zbyt wymagającą. Pozwalała się trzymać najrozmaitszych moralno-religijnych pojęć; można było, *ad libitum*, stać się Epikurejczykiem, Stoikiem, Pitagorejczykiem; tylko dla złych obywateli coś niezupełnie była łaskawą.

Mimo całego szacunku, jaki czujemy dla niezaprzeczonych zalet realizmu naszej epoki; niemożemy się jednak nieprzyznać, że starożytność jakoś więcej umiała cenić moralną stronę człowieka.

Starożytne systemata dozór i urządzenie szkół pozostawiały samymże szkołom, uważając za przekroczenie przeciw pra-

wiazki przy armii działającej w Krymie. Nakoniec po ukończeniu wojny został kuratorem Odeskiego naukowego okręgu, i dotąd na tym urzędzie zostaje. Prace jego nauczycielskie i lekarskie, jako jednego z pierwszych chirurgów i operatorów w Europie, oraz wydane przezeń dzieła, jak: *Tablice anatomiczno-chirurgiczne*, *Catkowity kurs anatomii stosowanej* i inne, zjednały mu część pomiędzy uczonymi; a obecna rozprawa o wychowaniu, zrobiwszy wiele rozgłosu w swym kraju, imię autora uczyniła popularnóm.

Przyp. Red.

wu wszelkie mieszanie się do nauki mędrców. Każdy z uczniów miał prawo wytykać nowe drogi mądrości i tworzyć nowe szkoły. Tylko kapłani, tyrani i zeloci, od czasu do czasu, wypędzali, palili i truli filozofów, jeżeli ich nauka zbyt już była przeciwną zasadom i podaniom religii panującej; lecz i to się działo tylko w skutek intryg rozmaitych kast i partyj.

Pogaństwo starożytnych, bez światła prawdziwej religii, błędziło; lecz błędziło ściśle się trzymając raz przyjętych i na logicznych zasadach ufundowanych pojęć.

Zwolennik Epikura tonął w zmysłowych rozkoszach, czyniąc to na zasadzie swęj szkoły (choć wprawdzie fałszywie pojętę): że „szukać ile możności rozkoszy, a strzedz się nieprzyjemności, znaczy być mądrym.“

Stoik stawiał się samobójcą, chcąc stanąć na najwyższym szczeblu nieskazitelnej cnoty, chcąc wznieść się do ideału doskonałości.

Nawet pozorna nielogiczność w postępowaniu Sceptyka, daje się usprawiedliwić zasadą szkoły, iż „nie niema pewnego na świecie, iż samo powątpiewanie jest wątpliwem.“

W najgrubszych błędach pogańskiej starożytności, fundujących się zawsze na pewnych moralno-religijnych zasadach i pojęciach, wszędzie się przebija najcharakterystyczniejsza cecha duchowej natury człowieka, — ten wieczny popęd, to nieugaszone pragnienie — rozwiązać żywotne zadanie o celu naszego istnienia.

Prawda, — że jak się dzieje u nas, tak się zdarzało i w starożytności: byli i wówczas ludzie niezadający sobie żadnego pytania przy wystąpieniu na scenę życia.

Lecz do tego szeregu liczyli się i liczą teraz dwa tylko rodzaje istot rozumem i wolą obdarzonych:

Naprzód ludzie, którzy otrzymali od natury smutny przywilej na idyotyzm.

Powtóre ci, co będąc bezwładnymi planetami, niemając własnego ruchu, gdy ten zostanie im nadany z kąd inąd, jak je popchnięto, tak się wiekuiście ruszają.

Jakkolwiek oba te rodzaje nie do wyjątków należą, niemogą jednak służyć za prawidło.

Nauka Chrystusa, rozproszywszy ów chaos moralnej samowoli, wskazała ludzkości najprostszą drogę, wytknęła główny cel, środkowy punkt jej wszelkich doczesnych zabiegów.

Znalazłszy w Objawieniu rozwiązanie najgłówniejszej zagadki życia: „o celu naszego istnienia,“ zdawałoby się, że ludzkości nie już niepozostało do czynienia, tylko z przekonaniem i wiarą iść po tej wytkniętej drodze.

Lecz przeszły wieki, a wszystko pozostało „jako za dni Noego“ (Mat. r. XX w. 37).

Na szczęście, społeczność nasza tak się uorganizowała, że dla większej masy ludzi sama przez się, bez ich świadomości, zadaje i rozwiązuje żywotne pytania, oraz nadaje tej masie, korzystając z jej bezwładności, pewny kierunek, który uważa za lepszy dla swych własnych celów.

Niezważając jednak na przemagającą w masie siłę inercyi, bezwładności, każdy jeszcze z nas przechował w sobie tyle wewnętrznej samodzielności, że ona wciąż nam przypomina, iż, żyjąc w społeczeństwie i dla społeczeństwa, żyjemy nadto i sami przez się i sami w sobie.

Lecz mimo instynktowego lub praktycznego przekonania się, iż społeczność przybrała pewny kierunek, nie nam nie pozostaje jak objawy naszej samodzielności zastosować, o ile można najłepiej, do kierunku, przyjętego przez społeczność.

Bez tego warunku koniecznie nastąpić musi: albo zupełny rozstrój ze społeczeństwem i niedola będzie naszym udziałem, lub też fundamenta społeczeństwa chwiać się i walić zacząć.

Zatém, jakkolwiek by wielką być mogła massa ludzi, idących machinalnie w danym przez społeczność kierunku, jakkolwiek byśmy wszyscy się starali, dla własnego szczęścia, samodzielność swoją stosować do tego kierunku: mimo to wszystko, dużo z pomiędzy nas pozostanie takich, co przechowują w sobie dość samowiedzy, iżby się zagłębić w istotę swego moralnego bytu i zadać sobie pytanie: co jest celem naszego życia? Jakie jest nasze powołanie? Do czegośmy stworzeni? O co się troszczyć powinniśmy?

Jako wyznawcom Chrystyanizmu, zdaje się, że odpowiedzi na te pytania samo wychowanie kłaść by w usta powinno.

Lecz to przypuszczenie tylko przy *dwóch* warunkach jest możliwem:

Naprzód, kiedy wychowanie jest zastosowaniem do rozmaitych każdego z nas zdolności i usposobień, aby je rozwijać, lub hamować, wedle potrzeby;

Powtóre, kiedy moralne zasady i kierunek społeczności, w której żyjemy, zupełnie odpowiadają kierunkowi danemu nam przez wychowanie.

Pierwszy warunek dla tego jest koniecznym, że wrodzone każdego skłonności i usposobienia trafnie lub nietrafnie podpowiadają mu to, co on robić i do czego dążyć powinien.

Warunek zaś drugi koniecznym jest z téj przyczyny, iż bez niego, jeśli inaczej pokieruje nas wychowanie,—wiedząc, że postęпки społeczeństwa nieodpowiadają naszemu kierunkowi,—niezawodnie odstępimy od niego i będziemy się błąkać na bezdrożach.

Lecz na nieszczęście wychowanie nasze nieosiąga zamierzonego celu dla tego, że:

Naprzód, nietylko, że nadzwyczajna jest różnorodność naszych skłonności temperamentów, lecz nadto jeszcze bardzo jest rozmaity czas ich rozwinięcia się; wychowanie zaś nasze, mówiąc o-

gólnie, bardzo jednostajne, rozpoczyna się i kończy, dla większej z nas liczby, na równi z upływem jednostajnych peryodów życia. Zatém, jeśli wychowanie, rozpoczęte dla mnie zbyt późno, nieodpowié moim skłonnościom i temperamentowi, rozwiniętym zbyt wcześnie; to wszelkie jego usiłowania dla wytknięcia mi celu życia i mego powołania będą próżnemi. Moje wcześnie rozwinięte skłonności i temperament wciąż będą mi śpiewać nad uchem swoją piosenkę. Ztąd gmatwanina, rozstrój i samowola.

Powtóre, utalentowani, przenikliwi i sumienni ochmistrze równie są rzadkimi jak przenikliwi lekarze, utalentowani artyści i mądrzy prawodawcy. Ich liczba niejest odpowiednią massie ludzi, potrzebującej wychowania.

Jednak jeszcze nie to jest głównem nieszczęściem. Niechby wychowanie nasze, ze wszelkimi swymi niedoskonałościami, było przynajmniej odpowiednio zastosowane do rozwijających się samych przez się naszych skłonności; w takim razie, w dalszym życiu, sami instynktowie zdołalibyśmy jeszcze rozwiązać najgłówniejsze zadania naszego istnienia. Złe i dobre dość są w nas zrównoważone. Ztąd niema żadnego powodu wnosić, żeby nasze wrodzone skłonności, mało nawet rozwinięte przez wychowanie, więcej nas ku złemu niż ku dobremu skłaniały. Prawa zaś mądrze urządzonego społeczeństwa, budząc i zaszczipiając w nas ufnosć ku sprawiedliwości i przenikliwości rządów, byłyby w stanie zapobiedz najłżejszym ku złemu pędowi.

Lecz oto co jest głównem nieszczęściem:

Najżywotniejsze zasady naszego wychowania są w zupełnym rozstroju z kierunkiem społeczności.

Przypomnijmy sobie raz jeszcze, żeśmy chrześcijanie: zatém osnową, fundamentem naszego wychowania jest i być powinno Objawienie.

Nie napróżnośmy od lat dziecinnych wszyscy się osuwali z myślą o życiu za grobem, nie napróżnośmy powinni doczesność uważać za przygotowanie się do przyszłości.

Rozważając zaś istniejący stan rzeczy naszego społeczeństwa, w postępowaniu jego nieznajdujemy najmniejszego śladu tej myśli. Przynajmniej we wszystkich przejawach życia praktycznego, a poczęści nawet i umysłowego, widzimy wydatnie i dotykalnie wyrażony materialny, prawie handlowy kierunek i popęd, którego podstawą jest myśl o szczęściu i przyjemnościach doczesnego życia.

Wychodząc ze szkoły na świat, co w nim postrzegamy, my wychowani w duchu nauki Chrystusa? Oto postrzegamy ten sam podział społeczeństwa na rozmaite tłumy, jaki istniał za czasów pogaństwa: jedna różnica, iż tłumy pogańskie rządziły się rozmaitemi moralno-religijnymi pojęciami różnorodnych szkół i działały, trzymając się tych pojęć, konsekwentnie; nasze zaś tłumy działają, pobudzane przez dowolnie przyjmowane przez się na życie poglądy, zupełnie niezgodne z religijnymi zasadami wychowania, albo też bez żadnego nań poglądu.

Postrzegamy, że największy obóz machinalnie się rusza, w skutek swęj bezwładności, w raz nadanym mu zewnątrz kierunku. Rozwinięte w nas uczucie indywidualności wzbudza w nas wstręt do tej tłuszczy.

Postrzegamy inne tłumy nierównie mniejsze co do objętości, i chociaż mniej więcej pędzone w kierunku owej ogromnej bryły, lecz już mające przed sobą rozmaite *poglądy* na życie, tłumy starające się już stawić opór unoszącemu ich potokowi lub usprawiedliwić przed trybunałem własnego sumienia swe niedołęztwo i brak energii.

Podobnych poglądów, dużo by można naliczyć.

A przypatrzwszy się im z bliska, łatwo się przekonać, iż w nich istnieją też same pierwiastki Epikureizmu, Pirronizmu,

Cynizmu, Platonizmu, Eklektyzmu, które kierowały postępkami społeczności pogańskiej; te same, mówię, pierwiastki, lecz pozbawione życiodawczych soków, martwe i w strasznym rozstroju z odwiecznymi prawdami, ogłoszonymi światu przez usta Boga-człowieka.

Oto, na przykład, pogląd *pierwszy*, bardzo jasny i razem bardzo ponętny: Niezastanawiajcie się nad tem, nierozprawiajcie o tem, co jest trudnem do wyjaśnienia. Jest to pod pewnym względem próżna tylko strata czasu. Wiele myśląc, można stracić i sen i apetyt. Czas zaś potrzebnym jest do pracy i przyjemności; apetyt do przyjemności i pracy; sen znowu do pracy i przyjemności; praca i przyjemność—do szczęścia.

Oto pogląd *drugi*, wysoki: Uczcie się, czytajcie, zastanawiajcie się, i starajcie się ze wszystkiego otrzymać to, co jest najkorzystniejszem. Gdy się wasz rozum rozjaśni, wtenczas poznacie, kto wy i co wy jesteście. Pojmiecie wszystko, co się zda być niedostępnem dla tłumu. Stawszy się rozumnymi, wierzajcie mi, będziecie działać jak najlepiej. Wówczas oddajcie wszystko pod kontrolę waszego rozumu, a nigdy się niepotkniecie.

Oto pogląd *trzeci*, konserwatystowski: Przestrzegajcie najskrupulatniej wszelkich podań i obrzędów. Czytajcie tylko książki pobożne, lecz sens w nich zgłębić niestarajcie się,—jest to, *sine qua non*, dla spokoju duszy. *Tandem*, niemyśląc, żyjcie sobie, jak wszystko żyje.

Oto pogląd *czwarty*, praktyczny: Pracując, wypełniajcie wasze służbowe obowiązki, a razem, pomniąc na przewrotność losów, niezapominajcie i o własnej kieszeni. W wypadkach wątpliwych, jeśli wypełnienie jednego obowiązku sprzeciwia się drugiemu, wybierajcie to, co dla was jest korzystniejszem, albo przynajmniej co dla was jest mniej szkodliwem. Zresztą, niech każdy sam dba o swoją skórę. Niewszczynajcie nigdy o nic spo-

ru, ani się troszczcie o ludzkie przekonanie, również jak i o ludzkie gusta. Z pełną kieszenią i bez żadnego przekonania szczęśliwie żyć można.

Oto pogląd *piąty*: Jeżeli chcecie, by się wam wiodło, myślcie sobie, co wam się podoba i jak się wam podoba; lecz ściśle się pilnujcie wszelkiej etykiety i umiejcie być zawsze w pewnej z ludźmi harmonii. O swoich przełożonych i w ogóle o potrzebnych dla was ludziach nigdy źle niemówcie, i pod żadnym względem niezarzucajcie im fałszu. Nadewszystko niezapędzajcie się przy wypełnieniu obowiązku: zbytnia gorliwość szkodzi tylko zdrowiu, a korzyść z niej żadna. Mówcie tak, żeby skryć swoje myśli. Jeśli niechcecie służyć za osłów, to umiejcie sami innym na kark siadać, — i śmiejcie się sobie pocichu, zakrywszy gębę.

Oto pogląd *szósty* nader smutny: Nietroszczcie się napróżno, nie lepszego niewymyślicie. Nowém jest tylko to pod słońcem, co było zapomnianém. Co będzie, to będzie. Robacy na kupie gnoju, jakeście śmieszni i godni politowania, gdy marzycie sobie, że zdążacie do doskonałości i należycie do towarzystwa idącego drogą postępu! Widzowie i komedyanci z musu, próżno jak ryba o lód się bijecie: lepszego nie niewymyślicie. Wy istne w młynku wiewiórki; jakżeście zabawni, mniemając, iż bieżycie postępowym biegiem! Niewiedząc, zkądęście się wzięli, pomrzecie, niewiedząc dla czegoście żyli.

Oto pogląd *siódmy*, pogląd bardzo wesoły: Pracujcie dla ruchawki, używajcie rozkoszy życia, póki wam życie służy. Szukajcie szczęścia, lecz nie szukajcie go daleko, — ono tuż koło was. Czyż wam lepszego potrzeba jeszcze życia? Wszystko, co się dzieje, dla waszego dzieje się dobra. Czém jest złe, jeśli nie fantasmagoryą tylko dla waszjej rozrywki, cieniem abyście tém lepiej mogli się napawać rozkoszą światła? Korzystajcie z chwili obecnej, i żyjcie jak u Pana Boga za piecem.

Oto pogląd *ósmym*, bardzo i bardzo mądry: Oddzielajcie teorię od praktyki. Dla rozrywki możecie być zwolennikami, jakiej wam się podoba teorii; lecz w praktyce przedewszystkiem starajcie się zbadać, jaką rolę na świecie grać wam korzystniej; po zbadaniu doprowadźcie ją do końca. Szczęście jest sztuką. Zdobywszy je przez pracę i talent, niezapominajcie się; a gdy się zdarzy potknąć, nienarzekajcie i nie traćcie ducha. Przeciwno wodzie niepłyńcie.

Et caetera, et caetera, et caetera.

Przekonywając się, przy wystąpieniu na świat, o tej niezgodności pomiędzy zasadniczą ideą naszego wychowania a kierunkiem społeczeństwa, musimy koniecznie wpaść w jedną z trzech ostateczności.

Albo się łączymy do jednego z tych tłumów, tracąc wszelkie moralne korzyści naszego wychowania. Pociągani materialnymi dążeniami społeczności, zapominamy o zasadniczej idei Objawienia. Tylko niekiedy, jakby mimowoli, w stanowczych życia chwilach, doń się uciekamy, aby skutkiem jego zbawczego technienia pokrzepić wolę, duch rozweselić.

Albo zaczynamy pałać nienawiścią ku społeczeństwu. Pozostając wiernymi zasadniczej myśli chrześcijańskiej nauki, uważamy się za obcych na tym świecie, zapełnionym podług nas tylko przeistoczonym skażonym poganizmem, — z niedowiarstwem poglądamy na cnotę bliźnich, tworzymy sekty, szukamy zwolenników, stajemy się ponurymi, wzgardliwymi odludkami, niedostępnymi braćmi dla swych braci ludzi.

Albo też zupełnie spuszcza się na wolę losów. Niemając dosyć hartu ducha, aby się oprzeć pędowi społeczeństwa, — ani dosyć owęj zatwardziałej obojętności, aby się wyrzec zupełnie zbawczych pociech Objawienia, — ani owęj haniebnej niemoralności i niewdzięczności, aby odrzucić wszystko, co wzniosłe i święte: pozostawiamy zasadnicze życia kwestye nierozwiązane-

mi, bierzemy za przewodnika przypadek, przechodzimy od tłum do tłum, śmiejemy się z nim i płaczemy, dla odpędzenia troski, wahamy się i wikłamy w tym labiryncie nielogiczności i samych przeciwieństw.

Pierwsza ostateczność łączy nas z tym mianowicie tłumem, ku któremu nas najwięcej pociągają nasze wrodzone skłonności i usposobienie.

Jeśliśmy się urodzili zdrowi, i nawet nadto zdrowi, jeśli materialna w nas strona rozwinęła się energicznie i przeważa w nas zmysłowość, — wtenczas się skłaniamy ku ponętnemu i wesołemu pogładowi.

Jeśli wyobraźnia nasza niepanuje nad rozumem, jeśli instynkt niebierze góry nad rozsądkiem, wychowanie zaś nasze było więcej realnem, — wówczas stajemy się zwolennikami rozsądnego, lub któregokolwiek z praktycznych poglądów.

Jeśli przeciwnie, przy słabej lub nerwowej organizacyi, usposobienie do marzeń stanowi główną cechę naszego charakteru, instynkt zaś rządzi się nie rozsądkiem lecz wyobraźnią, a wychowanie niebyło realnem, — podówczas bywamy pociągani już ku religijnemu, już ku smutnemu, lub też przechodzimy od smutnego do wesołego, a nawet i do ponętnego poglądu.

Jeśli, наконец, wychowanie robi z dziada babę, niedozwoliwszy mu stać się ani mężczyzną, ani kobietą, ani nawet starcem; lub jeśli, przy mdłym zdrowiu, przemaga wyobraźnia, albo też, przy mdłej wyobraźni, tępy rozum, — wówczas wybór pada na pogląd fałszywie, chorobliwie religijny.

Z czasem rozmaite zewnętrzne okoliczności, korzyści materialne, nasze stanowisko, słabość woli, stan zdrowia i tym podobne, — zniewalają nas do zmiany tych poglądów i do stawiania się z kolei gorliwymi zwolennikami to jednego z nich, to drugiego.

Jeśli ktokolwiek z nas, zaraz po wyjściu w świat, lub też cokolwiek później, przechodząc czas jakiś od jednego do drugiego tłum, nakoniec zatrzymał się w wyborze swoim na którymkolwiek z poglądów: już to samo dowodzi, iż stracił wszelką chęć do przekształcenia siebie; iż zupełnie zadowolony ze swego wyboru, już rozwiązał jak zdołał, lub jak mu się chciało, zasadnicze życia kwestye. Sam sobie wytknął cel i powołanie i przeznaczenie, — zlał się w jedną masę z którymkolwiek z tłumów, — jest szczęśliwym po swojemu, według swego pojęcia rozumienia. Rozumie się, iż ludzkość niemoże odnieść wiele korzyści z przystania tego nowego adepta, lecz zresztą nic też na tém niestraci.

Gdyby stanowisko i karyera każdego z nas zawsze koniecznie musiały się kończyć takim obraniem sobie jednego z tłumów, lub poglądów; gdyby drogi i kierunki zwolenników rozmaitych poglądów szły zawsze równolegle jedne do drugich i do kierunku największego tłum, pędzonego przez siłę inercyi: wówczas wszystko by na tém się skończyło, iż społeczność została by podzieloną na jeden wielki i kilka mniejszych obozów. Starcia się między nimi nieatrzeba byłoby się obawiać. W spokoju ducha wszyscy by zapomnieli o tém, o czém im mówiło wychowanie, które teraz stałoby się dla nich tylko biletem dla wejścia do teatru. Wszystko by szło sobie spokojnie, niebyłoby na co utyskiwać.

Lecz oto właśnie biada:

Ludzie, mający od natury pretensyę do rozumu, uczucia, moralnej woli, czują niekiedy zbyt dużo w sobie skłonności ku moralnym zasadom naszego wychowania, bywają dość przenikliwi, aby dojrzeć przy pierwszém w świat wystąpieniu rażącą różnicę między temi zasadami, a kierunkiem społeczności, — zbyt sumienni, aby rzucić bez żalu i szemrania wszystko, co wzniosłe i święte, — zbyt wymyślni, aby się kontentować wyborem, zrobionym prawie z musu, lub z braku doświadczenia. Niezad-

woleni, biorą bardzo wczesnie rozbrat z tém co ich otacza, i przechodząc od poglądu do poglądu, wszystko starają się zbadać, porównać, wszystkiego doświadczyć; mozolą się, szukają, zapuszczając się w coraz głębsze ducha swego kopalnie;—lecz, niezaspokojeni przez społeczność, niemogą i w sobie znaleźć wewnętrznego pokoju; dręczą się i waleczą, żeby połączyć krzyżące przeciwieństwa, rzucają z kolei wszystko, z uniesieniem i zaparciem się własnej jednostki dobijają się rozwiązania trzonowych kwestyj żywota, chcą koniecznie się przekształcić, przeistoczyć, chcą *nowe* utorować *drogi*.

Ludzie, obdarzeni silnym uczuciem, bystrością umysłu, lecz słabiej woli, niemogąc wytrzymać tej wewnętrznej walki, upadają na siłach, spuszcza się na wolę losów i błakają się po manowcach. Gotowi wszystkiego się uchwycić, stają się, w miarę swych zdolności, to niewiernymi sługami, to bezsilnymi przewodźcami tego lub owego tłumu.

Z drugiej zaś strony, zadowoleni i gorliwi zwolennicy rozmaitych poglądów nieidą równolegle ani z całą masą, ani też z innymi tłumami. Drogi ich stykają się i przecinają się wzajemnie. Mniej gorliwi, trzymając się w połowie, iż tak rzekę, kilku razem poglądów, tworzą nowe kombinacje.

Ów rozstrój sektarzy i bezwładnego tłumu, owe zacięte niesnaski moralno-religijnych zasad naszego wychowania ze starciem się przeciwnych kierunków społeczności, mimo najtrwalszych politycznych podwalin, wcześniej lub później, zachwiać ją mogą.

Przytém te podwaliny, te fundamenta nie we wszystkich społecznościach są trwałe; tymczasem ruszające się tłumy są olbrzymie, a rządy, jak uczy historia, niezawsze są przewidujące.

Trzy są tylko środki, trzy drogi do wyprowadzenia ludzkości z tego labiryntu, z tej fałszywej i grożącej niebezpieczeństwem pozycyi:

Albo pogodzić moralno-religijne zasady wychowania z obecnym kierunkiem społeczności;

Albo zmienić kierunek społeczności;

Albo też, nareszcie, przez wychowanie przygotować do wewnętrznej walki—walki nieuniknionej, stanowczej—dając nam wszelkie środki i całą energiję do wytrwania w nierównym boju.

Iść pierwszą drogą, byłoby to kazić wszystko, cokolwiek Święte, Wzniosłe, Niepokalane ocalało na ziemi. Głęboka tylko Faryzeuszów i Jezuitów moralność jest w stanie nagiąć to, co wzniosłe i piękne do tego, co jest podłym i nikczemnym, i samowolnie godzić odwieczne prawdy naszych moralno-religijnych zasad z merkantylnymi i zmysłowymi dążeniami, co tak przeważnie panują w społeczeństwie. Uczy nas historia, na czem się skończyły wszelkie kuszenia się Jezuitów, ultrareformatorów i encyklopedystów, co szli w te ludzkich błędów ślady.

Zmienić kierunek społeczeństwa jest dziełem czasu i Opatrzności.

A więc trzecia pozostaje tylko droga. Droga to ciężka, środek trudny, lecz możliwy; wybrawszy ją, wielu ochmistrom przyjdzie na nowo przekształcić siebie.

Przygotować nas od lat młodych do tej walki, oto właśnie co znaczy:

„*Zrobić nas ludźmi*,“

To jest tém, czego niedopnie żadna wasza *realna szkoła*, której zadaniem jest robić z nas, *prawie od kolébki*, kupców, żołnierzy, marynarzy, duchownych pasterzy, lub prawników.

Niedano tyle moralnej siły człowiekowi, aby mógł skupiać całą swoją uwagę i całą wolę, w jednym czasie, do tak różnorodnej pracy i studyów, wymagających natężenia najrozmaitszych władz ducha.

Ptak, co na dwóch gałęziach siada, na ziemię pada.

Na czém się opiera zastosowanie realnego wychowania względem najmłodszych lat dziecinnych?

Jedno z dwojga: albo w realnej szkole, przeznaczonej dla rozmaitego wieku (od lat dziecinnych do młodzieńczych) wychowanie początkowe niczém się nieróżni od wychowania zwyczajnego, ogólnie przyjętego;

Lub też od początku do końca zupełnie się różni z wychowaniem ogólném, będąc skierowane do dopięcia pewnego li, praktycznego celu.

W pierwszym razie rodzice niemają najmniejszego powodu oddawać swe dzieci do szkół realnych przed dójściem lat młodzieńczych, nawet i w takim razie, gdyby najsamowolniej, najdespotyczniej przeznaczali je od pieluch do tej lub owej kasty społeczeństwa.

W drugim zaś wypadku, śmiało można twierdzić, iż realna szkoła, mając głównie na celu praktyczne ukształcenie, niezdolna w jednymże czasie skupić całą swoją działalność na przygotowanie moralnej istoty dziecka do walki, czekającej go przy jego w świat wystąpieniu.

Zresztą samo to przygotowanie zacząć się powinno w tym mianowicie wieku, kiedy w realnych szkołach cała uwaga ochmistrzów zwróconą jest przedewszystkiém ku osiągnięciu głównego, najbliższego celu, troszcząc się jedynie, aby nieominąć stosownej pory, by się nieopóźnić z praktyczném ukształceniem. Kursa i terminu nauk ściśle zakreślone; przyszła karyera jasnie wyknięta; sam uczeń, pobudzany przykładem współtowarzyszy, o tém tylko marzy, jakby najprędzej wyskoczyć na pole praktyki, gdzie mu wyobraźnia maluje jaskrawemi barwy służbowe nagrody, zyski i inne ideały otaczającej go społeczności.

Położcie rękę na sercu i odpowiedzcie mi, proszę: czy można się spodziewać, aby młodzieniec, w tym samym przeciągu cza-

su,—gotując się do wystąpienia w zawodzie nie przez siebie obranym, łudząc się zewnętrzniemi, materyalnemi korzyściami tego zawczasu dlań przeznaczonego zawodu,—mógł, przy tém wszystkiém, z całém zajęciem się, powagą i gorliwością sposobić się do wewnętrznej walki ze samym sobą i z ponętami świata?

Nieśpieszcie z waszą zastosowawczą realnością! Pozwólcie dojrzeć i nabrać sił wewnętrznemu człowiekowi; zewnętrzny będzie miał dosyć jeszcze czasu do działania. Później nieco wychodząc na scenę, kierowany przez wewnętrznego, nie będzie zapewne tak zręczny, tak wyrozumiały i przystępny, a przytém umiejący tak ślicznie umyć niekiedy ręce, jak szkół realnych wychowawce; lecz za to z większą pewnością będzie można nań się spuścić, bo on się nie za swoje niewezmie.

Pozwólcie uformować się i rozwinać człowiekowi wewnętrznemu, dajcie mu czas i środki do podbicia zewnętrznego,—a będziecie mieli i negocyantów, i żołnierzy, i marynarzy, i prawników, a co najważniejsza—będziecie mieli ludzi i obywateli.

Lecz czy to ma znaczyć, iż wam radzę zamknąć, pokasować wszystkie realne i specjalne szkoły?

Bynajmniej,—ja tylko powstaję przeciwko dwóm krzyczącym ostatecznościom.

Dla czego rodzice tak samowolnie rozporządzają się przyszłym losem swych dzieci, przeznaczając je przed wypełnieniem jeszcze z kolébki tam, gdzie wedle wszelkich obrachowań i kombinacyj, ma się dla nich uśmiechnąć świetniejsza karyera?

Dla czego realno-specyalne szkoły biorą się do wychowania tego w tym wieku, w którym daleko jest właściwszém wychowanie wszechludzkie, niż wszelkie przedwczesne praktyczne zastosowanie?

Kto dał prawo ojcom, matkom, ochmistrzom do samowolnego rozrządzania się błogiem Twórcy darami, któremi On uposażył działki?

Kto was tego nauczył, kto wam odkrył, kto wam powiedział, że dzieci otrzymały wrodzone zdolności i wrodzoną skłonność do grania tej mianowicie w społeczności roli, jaką im naczają sami rodzice? Już się dawno wyrzeczono barbarzyńskiego zwyczaju wydawania gwałtem zamąż córek; a przymusowy i przedwczesny związek naszych synów z przyszłą ich karierą, czyż ma być tolerowany i przywilejowany? Urzędowe ich zaślubiny z nauką mogą obchodzić się uroczyście, jak zaślubiny Weneckiego doży z Adryatykiem!

Czyliż już niema innego środka, inną drogą, innego mechanizmu do realno-specyjalnego wychowania? Czyliż tylko kosztem i stratą wszechstronnego wychowania można się specyjalnie praktycznie ukształcić w tej lub owej gałęzi ludzkiej wiedzy?

Zastanówcie się i rozważcie, ojcowie i ochmistrze!

Jeszcze od czasów pogaństwa istnieją dwa rodzaje wychowania:

Wszechludzkie i specyjalne, czyli realne.

W Atenach i na Rodosie filozofowie mieli prawo utrzymywać szkoły, przeznaczone do wszechludzkiego wychowania. Główniejsze z nich leżały niedaleko od Aten, nad czystych wód strugami, pośród cienistych ogrodów.

Pośrodku stała szkoła Epikurejczyków, na północ od niej mieszkali zwolennicy Platona, a na południe uczniowie Arystotelesa. Mirty i drzewa oliwne służyły przedziałem pomiędzy systematami i rozgraniczały rozmaite poglądy na świat i życie (Pamo). Nauczyciele i uczniowie mieszkali wspólnie, całymi towarzystwami; niejednym uczniom, lecz wszystkim wolny był do nich przystęp. Z najodleglejszych krańców świata, tłumy cheiwe nauki i światła, zbiegały się słuchać mądrości znakomitych mistrzów. Filozofija i krasomówstwo były głównymi przedmiotami ówczesnych badań i ćwiczeń. Nie wszystkie realne nauki podówczas ściśle się oddzielały od filozofii;— lecz zwykle

wspólnie z nią się wykładały,— tak, że za podstawę wszystkich nauk uważaną była filozofija. Bóg, świat i człowiek byli głównymi przedmiotami abstrakcyjnych badań. Krasomówstwo było podówczas sztuką ściśle połączoną ze społecznym stanem i historią narodu. Dla tego to jak filozofija, tak i krasomówstwo uważały się za niezbędny warunek, za węgielny kamień wszechludzkiego ukształcenia.

Prócz tego, jak w samej Grecji, tak też zarówno w Rzymie i Egipcie istniały szkoły specyjalne podówczas, gdy szkoły filozofów były prywatnymi zakładami, do których urządzenia i wykładu w nich nauk rząd narodu się niewtrącał. Palesty i gimnazye Greckie będące pod zarządem magistratu, trudniły się, przedewszystkiem, przygotowaniem swych uczniów do Olimpijskich i innych publicznych igrzysk; w Rzymie była szkoła prawa, w Alexandryi szkoła nauk matematycznych i fizycznych, i t. p.

W wiekach średnich religija Chrystusa, pierwsza stała się orędowniczką i rozkrzewicielką stłumionej i zupełnie przygasłej oświaty.

Pierwsze początki uniwersytetów i zakładów specyjalnych wynikły powoli ze szkół klasztornych, zakonnych. Specyjalne szkoły Paryża i Oxfordu, mające początkowie na celu nauczanie filozofii i teologii i będące pod opieką i zarządem duchowieństwa, z biegiem czasu zyskały wyłączne dla siebie prawa i przywileje i wzniosły się na stopień pierwszych, pod owe czasy, uniwersytetów. Piszą, że w trzynastym wieku w Paryżkim uniwersytecie było do 10,000, a w Oxfordzkim nawet do 30,000 studentów. Z takim potężnym rozkrzewianiem się wszechludzkiej, czyli uniwersyteckiej oświaty w Europie, niebyły już w stanie iść w zapasy specyjalne klasztorne szkoły, i coraz więcej chylić się zaczęły ku upadkowi.

Za nowszych nareszcie czasów, gdy staranniej okrzęsano rozmaite gałęzie ludzkich umiejętności i społecznego bytu, uni-

wersytety i szkoły specyalne doszły powoli do tego stopnia rozwoju, na jakim je widzimy teraz. Różnice w przeznaczeniu i celu jak jednych tak drugich wyraźnie się wyświeciły; rządy wszystkich oświeconych krajów, pojawiały to mniej lub więcej dokładnie, nadaniem nowych praw i przywilejów utrwałybyt tych rozsądników, tych skarbców narodowej oświaty.

W rozmaitych krajach, w miarę czasowych a niekiedy wypadkowych potrzeb, zradzał się i zaszczeptał już to **więcej** uniwersytecki, czyli wszechludzki, już zastosowawczy, specyalny kierunek wychowania.

Lecz żaden rząd oświecony, jakkolwiek czuł potrzebę specjalistów, niemógł się nieprzekonać o konieczności wszechludzkiego wychowania. Prawda, iż w niektórych krajach uniwersyteckie fakultety stały się prawie szkołami specyalnemi; lecz nigdzie jeszcze niewygastała do szczętu rzeczywistość i pierwiastkowa ich dążność i popęd ku głównemu celowi: wszechludzkiemu ukształceniu.

Mając przed sobą tę prostą i szeroką drogę, prowadzącą do „*kształcenia ludzi*“, dla czego byśmy niemieli z niej korzystać?

Dla czego by jej nieurządzić stosowniej do gwałtownych potrzeb obecnej chwili?

Dla czego by jej jeszcze nierozszerzyć, nieotworzyć zupełnie, a zwłaszcza dla nas, czujących taką potrzebę prawdziwie wszechstronnego wychowania?

Lecz wychowanie wszechludzkie nie w jednym się zamyka uniwersytecie; należą doń jeszcze i przygotowawczo-universyteckie szkoły, skierowane ku temuż błogiemu ogólnemu celowi, urządzone w tymże duchu, i mające tenże samy kierunek.

Każdy gotujący się na prawego obywatela, powinien się naprzód nauczyć, jak trzeba być człowiekiem.

Dla tego to wszyscy, do pewnej epoki życia, w której dobitnie się wyjaśniają ich skłonności i ich talenta, winni korzy-

stać z owoców wspólnej moralno-scyentyfikcznej oświaty. Nie napróżno pewne wiadomości z-dawien-dawna zwa się: „*humaniora*“, to jest—bardziej ludzkimi, niezbędnymi dla każdego człowieka. Te wiadomości lubo zmieniały swe kształty w skutek wykorzenia bałwochwalstwa, udoskonalenia nauk, rozwinięcia społecznego bytu rozmaitych narodowości; wszakże co do istoty pozostają zawsze temi samemi pochodniami na drodze życia, jak starożytnego, tak nowoczesnego człowieka.

Zatém kierunek i droga, na której powinno się dokonać wszechludzkie wychowanie każdego, kto chce zasłużyć na imię człowieka,—jasno są wytknięte.

Wychowanie to jest i najistotniejszym, i najmniej przymusowem.

Wychowanie to jest najmniej kłopotliwem, a zarazem najwięcej korzystnem tak dla rządów, jako i dla poddanych.

Dla rządów z tej przyczyny, że wszyscy wychowawcy do pewnego wieku będą się kształcić razem, pod kierunkiem jednych dążeń, w jednym duchu, w jednym celu; a zatém moralno-scyentyfikczne wychowanie wszystkich przyszłych obywateli będzie w jednym ręku. Wszystkie widoki, wszystkie zbawienne zamiary rządów ku podniesieniu oświaty będą się wykonywać konsekwentnie, z jednakową energiją i przez indywidua jednej, iż tak rzekę, normy.

Dla poddanych z tej przyczyny, iż wszyscy wychowawcy nim wstąpią do grona obywateli, będą wspólnie używać jednakich praw i jednakowych korzyści wychowania.

Tożsamość ducha, praw i przywilejów wychowania uważać należy za korzystną nie z tej przyczyny,—jakoby szkodliwym miał być dla społeczności podział jej na pewne korporacye, będące skutkiem niejednostajnego wykształcenia obywateli. O nie! przeciwnie,—w podtrzymywaniu korporacyi ja widzę środek podniesienia moralnego bytu rozmaitych klass i stanów, wdrożenia

ich do szacunku ku ich zajęciom się i ku stanowisku, na które powołała ich Opatrzność. Lecz, aby ciągnąć korzyści dla społeczeństwa z panującego ducha korporacyi, trzeba dołożyć starania do jego rozwinięcia, nie pierwiej od zupełnego rozwoju wszystkich władz umysłowych i zdolności w młodzieńcu. W przeciwnym razie trzeba się obawiać, iżby ten sam środek nie był i fałszywie pojętym i źle zastosowanym.

Są jednak niemałej wagi przyczyny, usprawiedliwiające istnienie szkół specjalnych w rozmaitych krajach i u rozmaitych narodów.

Do tych przyczyn można zaliczyć prawie organiczną potrzebę niektórych krajów,—specjalnego kształcenia obywateli w rozmaitych gałęziach sztuk i umiejętności, niezbędnych dla dobrego bytu, a nawet dla samej egzystencji kraju,—zwłaszcza, kiedy go zmusza ciągła konieczność do jak najprędszego i na największą skalę korzystania z owoców oświaty młodych specjalistów.

Lecz, *naprzód*, niema potrzeby, dla jakiegokolwiek bądź kraju, rzeczywistszej i konieczniejszej, nad potrzebę „prawdziwych ludzi.“

Ilość niepodoła jakości; a choćby i wzięła górę, zawsze jednak, wcześniej lub później, z całym swoim ogromem podda się mimowolnie duchowej potędze jakości! Jest to pewnik historyczny.

Powtóre, kształcenie wszechludzkie, czyli uniwersyteckie, najmniej zawadza istnieniu takich szkół specjalnych, coby się trudniły praktycznym czyli zastosowawczym kształceniem młodzieży już do tego usposobionej przez wszechludzkie wychowanie.

Specjalne zaś szkoły, a z niemi i cała społeczność daleko więcej skorzystają, mając w swoim rozporządzeniu moralnie i naukowo, w jednym duchu i pod tym samym kierunkiem przygotowanych wychowanców.

Szkół tych nauczyciele śać już będą na wyrobionym i uprawionym gruncie. Uczniowie z większą łatwością rozwiną w so-

bie te nasiona. Nareszcie rozwijanie ducha korporacyi, pojęcie o honorze i właściwej wartości stanów, do których mają wstąpić usposobieni przez te szkoły, niebędzie przedwczesnym i nieświadomym dla młodzieży, dostatecznie usposobionej przez wychowanie wszechludzkie.

Jakie zresztą przedmioty są głównym celem wychowania w szkołach specjalnych?

Czyli nie te, dla których nabycia, nauczania się, potrzebny jest zupełny rozwój umysłowych zdolności, sił fizycznych, talentów i — szczególne powołanie?

Dla czegoż, powiedzcie, mamy tak się spieszyć z wychowaniem specjalnym? Dla czego rozpoczynać je przedwcześnie?

Dla czego, z taką skwapliwością, korzyści wszechludzkiego wychowania zamieniać na czysto praktyczny, jednostronny specjalizm?

Pojmuję dobrze, iż olbrzymie postępy sztuk i nauk w naszym stóleciu zrobiły specjalizm niezbędną potrzebą społeczności; lecz zarazem nigdy prawdziwi specjaliści nieczuli tak silnej potrzeby wszechludzkiego ukształcenia, jak w naszej epoce.

Jednostronny specjalista jest albo do rdzeni zezmysłowionym empirykiem, lub też tylko ulicznym szarlatanem.

Po odkryciu najłatwiejszej i najwłaściwszej drogi, którą winniśmy prowadzić dzieci swoje, gotujące się do godnego noszenia wysokiego tytułu — człowieka, — pozostaje nam jeszcze do rozwiązania jedno z najgłówniejszych żywotnych zagadnień: „jakimi środkami, jaką drogą przygotować je do nieuniknionej, mającej je spotkać walki?“

Jakim być winien młody zapaśnik, gotujący się do tego stanowczego boju?

Warunek pierwszy: powinien od natury mieć choćby odrobinę *pretensyi do rozumu i serca*.

Umiejcie korzystać z tych drogocennych Twórcy darów, lecz z uposażonych niemi niechciejcie tworzyć bezmyślnych czcicieli martwej litery, zuchwałych przeciwników koniecznej na świecie powagi, czcnych mędrków, zwolenników najgrubszego materyalizmu, wybujałych marnotrawców uczucia i woli, i zimnych adeptów rozumu.—Oto jest warunek drugi.

Lecz powiecie, iż to są tylko czeze słowa, retoryczne wykrzykniki.

Czyżem winien, iż bez nich niemogę wyrazić tego ideału, który osiągnąć tak gorąco, tak z całej duszy życzę swoim i waszym dzieciom.

Więcej odemnie niewymagajcie, bo więcej nic niema dla mnie na tym świecie.

Niech wasi pedagogowie, z gruntowną rzeczą znajomością, więcej odemnie utalentowani, przejęci gorącą ku prawdzie i bliżnim miłością, postarają się z moich i z waszych dzieci zrobić to, czego tak serdecznie pragnę,—a ja przyrzekam uroczyście nikomu się nieuprzykrzać swemi retorycznymi frazesami, przyrzekam milczeć i w milczeniu modlić się za nich.

Wierzajcie mi! Ja przebyłem tę wewnętrzną, stanowczą walkę, do której pragnąlbym przygotować powoli, zawczasu i dzieci nasze; zawsze boleję nad ich losem, ilekroć pomyślę, że i one mają te same do przebycia niebezpieczeństwa, lecz niewiem, czy te same osiągną skutki. Módlcie się, lecz niebądźcie srogimi sędziami.

Niechciecie słuchać ogólnych i oderwanych zdań, chcecie mieć szczegółowy wykład całego mechanizmu, któryby dopomógł do dopięciu pożądanego celu.

Zaczekajcie chwilę! Wprzód wam odmaluję *w ludzkich postaciach* jak gotowaliśmy się i gotujemy się teraz do tej walki, jak ją prowadzimy na polu życia,—a wówczas może, bez tych retorycznych frazesów, bez dalszych wyjaśnień pojmiacie i mój

mechanizm. W każdym razie niebędzie on gorszym od mechanizmu ogólnie przyjętego.

Zacniemy *ab ovo*. Z początku niech każdy, lub każda z was wyobrazi sobie, iż on lub ona należy do liczby tych członków naszej społeczności, co mają roszczenia do rozumu i serca. Wyobraźcie sobie, żeście z łaski osób,—których jak to czasem bywa, niewidzieliście i twarzy,—według obyczaju, na ten świat przyszli.

Was ochrzczono. Wyście, z kolei, wyrosli.

Powoli, Bogu jednemu wiadomo dla czego, zrodziła się w was *chęć obejrzenia się*.

Do tej pory składaliście, ze wszystkimi na całej kuli ziemskiej wam podobnymi ludźmi jedną ogólną klasę szczęśliwych istot, która przez samego Zbawcę za wzór wskazana była człowieczeństwu.

Teraz zaś, gdyście cokolwiek podrosli i obejrzeni się na siebie, postrzegacie siebie pod jedną z tych rozmaitych następujących postaci.

Po pierwszym na przykład obejrzeniu się, postrzegasz siebie w mundurze z czerwonym kołnierzem, guziki co do jednego zapięte, wszystko jak trzeba. Jużś słyszał i przedtém, żeś chłopiec,—teraz zaś naocznie się o tém przekonywasz.

A więc zapytujesz: ktoś ty taki?

Dowiadujesz się, żeś uczeń gimnazjum, i z czasem stać się możesz człowiekiem uczonym, gorliwym rozkrzewicielem oświaty, studentem uniwersytetu, kandydatem, magistrem, ba! nawet dyrektorem zakładu, w którym się uczysz. O radości!

Oto jest postać pierwsza.

Obejrawszy się znowu, postrzegasz siebie w mundurze z zielonym kołnierzem i ze złotym galonem.

Pytasz się: co to ma znaczyć?

Odpowiadają ci, żeś uczeń szkoły prawa, iż, najpewniej, będziesz stróżem praw i sprawiedliwości, dzielnym urzędnikiem,

dyrektorem wyższych juryzdykcyj. Teraz ci wesoło i pochlebnie razem.

Oto druga próbka.

Po obejrzeniu się jeszcze, wzrok twój się zatrzymuje na czerwonej lub białej wypustce munduru i kołnierza. Ty się zapytujesz znowu.

A głośno i grzmiąco odpowiadają ci, żeś powołany do obro-ny ojczyzny, żeś kadet, przyszedł oficer, i możesz zostać jenerałem, admirałem, bohaterem. Tyś w uniesieniu!

Lecz oglądasz się raz jeszcze,—tu, ni z tego ni z owego, widzisz siebie w spodniczce. Włosy, fartuszek, stanik, kibić,—wszystko na swoim miejscu. Aha! wszak i przedtém mówiono ci, żeś dziewczyna,—teraz zaś przekonywasz się o tём nareszcie.

Niewypowiedzianie ci to miło, żeś nie chłopiec,—i ty—dydz!

Oto już czwarta z kolei, lecz równie nie ostatnia jeszcze postać.

Dowiedziawszy się o tём wszystkim, zapytujesz: co ci czy-nić wypada?

A odpowiadają ci: ucz się, bądź posłusznym i słuchaj, chodź do szkoły, prowadź się przyzwoicie i dobrze odpowiadaj na examinach,—bez tego na nic się niezdasz.

Ty się uczysz, chodzisz do szkoły, dobrze się prowadzisz i na examinach odpowiadasz jak najlepiej.

Upływają lata. Wylawszy całego siebie na zewnątrz, zaczynasz życie świata skupiać w swęj piersi.

Nakoniec postrzegasz, żeś rzeczywiście już studentem, co ukończył uniwersyteckie kursa, żeś prawnik, biurokrata, oficer, panna na wydaniu.

Teraz już się nie pytasz o to: ktoś ty taki i co ci robić wypada? Teraz już sam to pojmujesz i sam powinienes wiedzieć, co ci pozostaje do czynienia.

Wodzone cię do świątyni Pańskiej. Uczono cię prawd Objawienia. Przywilejowani inspektorowie, sub-inspektorowie, examinowani guwernerowie, guwernantki, a nawet niekiedy sami rodzice pilnowali twoich postępów. Nauki wykładały ci się w takim duchu i takiej objętości, jakie są niezbędne do ukształcenia światłych obywateli. Gorszące książki, wzbronione przez cenzurę, niedochodziły do ciebie. Ojcowie, opiekunowie, znakomici protektorowie, rząd, pieczołowity i łaskawy, odkryli ci drogę, wskazali pole do działania.

Po takiej uprawie, zdawałoby się, że nic ci niepozostaje do czynienia, nad to, co było pożądanem przez twoich opiekunów.

To jest, żebyś, jak strona wydawał dźwięk pewny. A dźwięczeń dla ogólnej harmonii, sam przyznasz, jest powołaniem wysokiem.

Czegożby jeszcze miało niedostawać do twojego szczęścia, do szczęścia całego społeczeństwa?...

A tymczasem rzecz się ma wcale inaczej.

Doszedłeś teraz do tej epoki życia, w której zaczynają cię niepokoić i rozum i serce: pierwszy, dając ci takie zagadnienia, których nie rozwiązać nie w stanie; drugie, ustawicznie przeciwko tobie buntując instynkta i zmysłowość.

Zaczynasz powoli zastanawiać się i analizować to, czego cię uczono i co się wkoło ciebie dzieje.

Przypominasz, uczono ciebie, iż niegdyś istniał świat inny, w którym ludzie i myśleli, i postępowali nie tak jak należy. Żyli na świecie, aby żyć tylko; jedli, pili, chodzili do łaźni, pieścili się, bili się, hulali do upadłego.

Uczono ciebie, iż pomiędzy nimi byli i bohaterowie, i pierwszorzędni miast obywatele, i wzory cnoty, i orędownicy sztuk i nauk; lecz zawsze jednak większa część chodziła pociemku, nieznając nic lepszego nad życie doczesne. Ich Aid i Elizejskie

pola były gdzieś również na ziemi, czy też pod ziemią,— i to zresztą, nie dla duszy, lecz dla jakichś cieniów tylko.

Uczono ciebie, iż wcielone Słowo położyło tamę bezmyślniej swawoli rozumu i uczucia.

Światu dano Objawienie.

Uczono ciebie, iż Objawienie, uchyliwszy rąbek tajemniczej zasłony, wskazało daleki widnokrąg doczesnego życia i rzekło: „tam zdążaj.“

Dowiedziałeś się w szkole, i powinienes być się dowiedzieć, jaka przepaść dzieli ciebie od ruin owego zburzonego świata, który tylko w samym sobie szukał tamy namiętnościom, niemając przyszłego życia poza granicami swemi.

Najgłębszą czią przejęty ku zbawczej nauce Objawienia, poglądasz dokoła siebie,— i cóż postrzegasz?

Oto postrzegasz, iż otaczający cię uczują na tychże samych wstrętnych pogańskich bachanalijach, które Objawienie ogłosiło za nieprzebytą tamę do osiągnięcia prawdziwego szczęścia.

Wyszedłszy na pole życia, widzisz tylko jak wszyscy zeń biega,— a biega— do Kalifornii!

A widzącemu to wyraźnie, mimowolnie przyjdzie na myśl, żeś mistyfikowany. Rzecz naturalna, iż ci się niepodoba pozostać długo mistyfikowanym.

Więc jeszcze głębiej zaczynasz rozważać, co cię otacza, analizować;— i nareszcie wyraźnie przed sobą widzisz— jeden tłum ogromny, dający się, bez świadomości ciągnąć niewidzialnej sile, i kilka innych mniejszych tłumów,— lecz działających nie bez zeznania.

Zaczynasz obeznawać się z postępkami i poglądami tych grup działających.

Z początku to cię interesuje. Lecz wkrótce się przekonywasz, iż masz przed sobą smutną alternatywę:

Albo zagłuszyć w sobie głos Bożkiej nauki;

Albo wejść w jeden z tych tłumów.

Aleś ty nie atletem, ni ze świętokradztwa, ni też z ofiary szranków. Zaczynasz wahać się, płakać, narzekać. A czas ulata, a trzeba działać.

Rzucasz się do pierwszej lepszej tłuszczy i stajesz się gorliwym jej zwolennikiem.

Niezadowolony,— przechodzisz do drugiej i trzeciej.

Nareszcie nadchodzi najkrytyczniejsza dla ciebie życia chwila.

Musisz koniecznie rozciąć ten Gordyjski węzeł, dowiedzieć się stanowczo: ktoś ty taki?

Decydujesz się na pierwsze?— Bądź zdrow! Nie mam więcęj z tobą do czynienia!

Decydujesz się na drugie?— Lecz czyś gotów? Czyś się obrał chować ze swemi środkami?

Po krótkiej rozwadze najoczywiściej się przekonywasz, iż do tej walki powinienes na nowo się przeuczyć, przekształcić siebie. Zgodziwszy się na to, rzucasz jeszcze wzrok po za siebie, na ubiegłe swe życie, i powoli się dowiadujesz, że w tobie— albo człowiek wewnętrzny, zbyt wcześnie i prędko rozwinięty, wziął górę nad zewnętrznym, niechciał ni chwili w nim spocząć, wciąż się wyrywał, despotyzował; albo też zewnętrzny, wyuzdany, rozpasyany, grał, hulał na zabój, nie słuchał wewnętrznego.

Ochmistrze twoi byli albo zbyt krótko widzący, lub też bardzo zajęci, i niewidzieli, co się w tobie działo.

Tak upłynęły młodzińcze lata.

Nareszcie twój wewnętrzny, lub też zewnętrzny człowiek, przekonany z doświadczenia, że działa przeciwko sobie samemu,— zmęczony, znużony, nabiera rozwagi, poważnieje.

Wezwyczajony cokolwiek do zastanawiania się nad sobą, postrzegasz, iż ci pozostaje *jedno z dwójga*:

Albo powiedzieć ostatnie— „żegnam!“ ideałowi, nieprobować więcęj zastanawiać się nad sobą, zakuć się w stalowy pan-

cerz formy, ubrać swe życie we frak mundurowy, w krochmalną spodniczkę, i czytając się swego istnienia, nie nad myślą, lecz nad martwą zastanawiać się literą:

Albo też od świtania do nocy, zapuszczając się w duszy kopalnie, podchwytywać wszystkie objawy jej moralnej wolności, zmusić ją do rozwiązania żywotnych kwestyj, wystąpiwszy do walki ze sobą i z otaczającym ją światem.

I oto, już na połowie drogi życia, po doświadczeniu na sobie wpływu rozmaitych poglądów, po postanowieniu jakim bądź kosztem, przekształcić siebie, po roztrząśnieniu przeszłości,— zatrzymujesz się na rozdrożu. Lenistwo i bojaźń cię ogarnia. Słodkie użycie czasu w cieniu światowego szczęścia i spokojnej formy nęci cię na rozdroża. Tysiące zewnętrznych okoliczności tak ponętne do koła ciebie się grupują, iż wszystkie twe zamiary rozwiązania żywotnych kwestyj, które tak równym pasmem, tak szykownie i konsekwentnie rozwinęły się były przed tobą,— wahać się i gmatwać zaczynają.

Zdawało ci się, żeś już *przekonany*.

A teraz dopiero przekonywasz się tylko, iż *przekonanie* nie wszystkich jest udziałem. Jest to dar Niebios, nad którym dużo pracować potrzeba. Wprzód, nim ci się zachciało nabyć przekonania, wypadłoby dowiedzieć się: czyś w stanie je nabyć?

Ten je tylko mieć może, *kto od najpiętniej młodości wezwyczajony z uwagą zaglądać w siebie*, kto z dni poranka nauczony miłować całą duszą prawdę, być jej przedmurzem i mieć bezprzymusową otwartość jak ze starszymi, tak i rówieśnikami swymi. Bez tych przymiotów nigdy, żadnego niezdobędziesz przekonania.

A te przymioty nabywają się przez wiarę, natchnienie, moralną wolność myśli, zdolność do abstrakcyjnych badań, ćwiczenie w poznaniu samego siebie.

Doszedłeś teraz do najpiętniej, do najgłówniejszych zasad prawdziwie ludzkiego wychowania, bez których jakkolwiek

można ukształcić umiejętnych artystów we wszystkich gałęziach ludzkiej wiedzy,—lecz prawdziwych ludzi—nigdy.

A zatem przekonywasz się, iż z nadzwyczajnym mozołem przychodzi ci zdobywać to, co powinno być twoją niezaprzeczoną własnością od pierwszego twego wystąpienia na scenę życia.

Czy nie lepiej powrócić, spróbować, znowu się przyłączyć do tego lub owego tłumu, i być szczęśliwym po swojemu?

Przeżyć pół-życia i niepoznać siebie—to szkaradnie!

Zawsze to jednak lepiej, niżeli umrzeć nieznając siebie.

Zabierasz się tedy znowu do roboty. Zaczynasz rozwijać w sobie zdolność do przekonania, i wkrótce się przekonywasz, iż przez to dotknąłeś tylko jednej strony *samopoznania*, a dla wystąpienia do walki trzeba je zawładnąć *najzupełniej*.

I oto, stając nad brzegiem niezmierzonego duszy krateru, zaczynasz badać,—lecz nieumiiesz jeszcze pochwycić tych przelotnych chwilek, kiedy ucicha wybuch wiecznie kipiącej lawy,—nawet ukradkiem boisz się zajrzeć w tę otchłań bezdenną.

Probujesz zacząć walkę; lecz przekonywasz się, żeś niezdolny prowadzić jej *bez gniewu*: nieumiiesz bezinteresownie miłować tego z czem walczysz; nieumiiesz dosyć *ocenić*, co chcesz zwyciężyć.

Lecz, aby miłować to, z czem bojujesz, i wytrwać w tym boju,—jeden ci jeszcze potrzebny jest przymiot.

Potrzebna ci zdolność—*zaparcia się siebie*.

Bez wyrobienia jej w sobie, kierując się niemem, instynktowym pocuciem tego, co jest pięknem i wzniosłem, stajesz się człowiekiem, *sluchającym silnych wrażeń*.

Kto ze zdumieniem niepostrzega, jak się w naszym realnym wieku rozszerzyła ta choroba czasów rycerskich? A więc z tego samego przekonajcie się, iż żaden w świecie materyalny lub praktyczny kierunek nie jest w stanie stłumić w człowieku *natchnienia*.

Szukanie silnych wrażeń jest jednym z jego nienormalnych przejawów.

Smutek, jakby tęsknota za ojczyzną, ogarnia ciebie. Czujesz jakąś próżnię, czegoś ci недостaje.

Potrzeba ci *natchnienia i współczucia*.

Promienném i uroczystém jest natchnienie, duch weń ustrojony jak w świąteczną szatę, wzlata ku niebu.

Rzewném i cichém jest współczucie, co jak tęskna piosenka przypomina daleką ojczyznę.

Bez natchnienia i bez współczucia jaka może dokonać się walka? Jaka walka trudną ci się wyda, gdy natchnienie rozciąga nad tobą swe skrzydła, gdy współczucie do serca cię przycisnie!

Zwolennicy kupieckiego kierunku naszej realnej społeczności, co z drwiącym uśmiechem powiadają nam, że teraz natchnienia już nie trzeba,— niewiedzą, jak smutny los ich czeka—ich, co przesyceni, utracili ów skarb niebieski, to jedyne ogniwo, łączące nas z Najwyższą Istotą.

Natchnienia szukają wszyscy, nawet ci, co nieczują żadnej w tym potrzeby;— lecz szukają wedle swego rozumienia, nakształt Derwiszów i Szamanów.

Bez natchnienia niema woli, bez woli niema walki, bez walki zaś—nicestwo i samowolność.

Bez natchnienia człowiek bezsilnym i krótko widzącym jest zarazem.

Przez natchnienie zgłębiamy duszy swój otchłanie, a z jej nurtów wynosimy z sobą przekonanie, iż w nas istnieje coś bosko-świętego.

Potrzebując współczucia, zastanawiamy się mimowoli: czy można się spodziewać, aby nam współczuli, aby inni wzięli na siebie ciężar poznania nas, gdy nam samym tyle kosztowało pra-

cy, walk i usiłowań, aby u własnej swjej duszy wyblagać pozwolenie, choćby ukradkiem w nią zajrzeć.

Czy nie lepiej, po przebyciu większej życia połowy, po przejściu szkoły samopoznania, poznaawszy tłuszcę i tłumy, i nauczywszy się poświęcać siebie,— czyż nie lepiej, mówię, stać się tylko zimnym i literalnym wykonawcą, swego powołania,— współczując innym z obowiązku i nieszukając żadnej wzajemności?

Mimowolnie do pamięci tobie się ciśnie, jakim współczuciem wywdzięczyła się społeczność najlepszym przyjaciółom swoim, gdy ci, kierowani bóstwem swjej piersi, natchnieniu i współczuciu unosić się dawali. Społeczność od wieków szukała li tylko silnych wrażeń. Kiedy i jaki dar przyjęty był przez nią z rąk jej dobroczyńców, by wprzód go nieomyła szkarłatnym życia płynem?

Nie On, nie wcielone Słowo pokoju i miłości; lecz Barrabasz, krwawych czynów sprawca współczucie jej pozyskał.

Lecz potomność jest nieśmiertelnością ziemi! Czyż niepowinniśmy cenić współczucia potomności?

Tak, wszystko, co żyje na świecie zwierzęco-duchowym życiem,— i w grubym instynkcie, i we wzniosłym ideale przejawia myśl o potomności, i z wiedzą lub bez wiedzy, dąży ku temu, ażeby żyć w niej po zgonie. O, żeby to samopoznanie, chociażby do tego stopnia, dało się rozwinąć w tłumach, stroniących od abstrakcyi! Gdyby choć ten słaby promyk nieśmiertelnej myśli wlał w nie ducha, a jużby i wtenczas ziemski pielgrzymka ludzkości przepełniła się czynami, przed którymi potomność ze czcią ugięłaby kolana. Wówczas historia, niemająca do obecnej chwili żadnego przez ludzkość zastosowania, cel by swój osiągnęła, ostrzegając ją i podnosząc jej ducha.

Niemówcie mi, że nie każdy może działać dla potomności: każdy może w kółku swoim. Próżność tylko i ślepotą w teraźniejszości szukają współczucia.

A więc zdobyłeś dopiero przekonanie, iż żyjąc tu na ziemi, przykuty jesteś do niej, do tej swojej ojczyzny współczucia węzłem, i winienesz szukać tego współczucia; lecz szukając go, nie doczesnym życiem, lecz w potomności żyć powinienesz.

A gdy potrzeba współczucia raz się w tobie zrodziła, gdzie go szukać, jeśli nie w potomności całego człowieczeństwa i we własnym kółku rodzinnym?

I oto w walce swojej masz do rozwiązania jeszcze jedno żywotne zadanie.

Lecz nim to nastąpi, jeszcze się raz zatrzymujesz i znowu mimowolnie spozierasz po za siebie. Teraz postrzegasz, że mundur i spodniczka, w których widziałeś siebie, gdy ci pierwszy raz w życiu przyszła myśl obejrzenia się, — dawno już wytarte. Ziściły się lub niezisiły owe słodkie nadzieje i marzenia, które tak niegdyś cię unosiły, gdyś poglądał i na swój mundur i na swój gorset, poglądał, napawając się rozkoszą tego, co podniemi tak lekko, tak błogo młodzieńczą pierś twą kołysało.

Przypominasz sobie, jakże ustrojony w mundur, zapięty w gorset, w kompletnym uniformie, wystąpił na życia scenę; jakże się radował, patrząc na ten świat Boży. Cierpienia i bole pierwszych lat młodości niezmuszały łzami ubóstwa skrapiać chleb powszedni; troski i burze żywota dzieciniego snu ci nieprzerywały, — i całemiś rwał się piersiami na ową huczną ucztę w ziemskiego życia odmęcie.

W tym rozgwarze uciech, sama myśl, żeś nieskończył wychowania, do głowy twój dostąpić się niemogła. I jakimby wreszcie sposobem stać się to mogło, kiedy różnokolorowy kołnierz munduru, gorset i spodniczka, co tak cudnie kibić twą obciskały, — obce języki, w których wszystko mogłeś czytać i płynnie się tłumaczyć, moralne i uczone dzieła, z których się uczyłeś, klawiorki, na których grałeś, — wszystko to, tak dobitnie mówiło, żeś wychowany jak najlepiej.

Z tém przekonaniem upłynęło ci kilka lat szczęśliwych; twój rozum i serce, które, dzięki losom, jeszcze niezupełnie stępiały i oniemiały wśród uczt i hulanek, coś nakształt morałów zaczęły gwarzyć ci nad uchem.

Rzucasz badawcze spójrzenie na wirujące tłumy, z którymi do tej pory i ty tak machinalnie krążyłeś. Przed oczyma twemi odkrywa się najjaśniejsza Walpargijska noc ziemskiego życia. Błąkającemu się pomiędzy temi oczarowanymi rzeszami niełatwo ci przyszło wydostać się na światło z bachanalijskich czasów. Walcząc, upadając, zatrzymujesz się, ażeby dobywszy sił ostatka zapytać siebie: gdzie jesteś? dokąd dążysz? czego pragniesz?

I dopiero tylko to się dla ciebie zaczęło, od czego dawno należało rozpocząć, — lecz nie, ja się mylę, — nie tobie to należało, lecz tym, co cię puścili w ten burzliwy odmet na samowoli ucztę. Narzekając na przeszłość, walcząc ze sobą, zacząłeś się przekształcać. Mozoląc się i grzebiąc w głębiach swego ducha, zacząłeś zdobywać przekonania, nauczyłeś się poświęcać siebie; walka już nietyło cię zastrasza. Nareszcie z mozołem zdobyłeś pewny stopień samopoznania. Oto i natchnienie cię owiało.

Upłynęło pół życia. W natchnienia chwilach, kiedyś był zdolny głęboko i badawczo zajrzeć w siebie, — odkryłeś tajemnicze źródło, którego wody powinny cię orzeźwiać i pokrzepiać na walki polu. Przecucie dalekiej wieczności i do ziemskiego przenosisz bytu. Tęsknota po dalekiej ojczyźnie współczucia szukać cię nauczyła.

Przekonałeś się, iż szukając ziemskiego współczucia, pragniesz przejawiać myśl o nieśmiertelności w familijnym i społecznym kole. Masz tedy przed sobą do rozwiązania kwestyę: jak urządzić swój byt familijny i jak znaleźć współczucie w swoim kółku rodzinnym?

Lecz biada ci, jeśli cię niepojmie ta, w której pragniesz znaleźć współczucie ku tak drogo nabytym przekonaniom,— w której szukasz współtowarzysza, współszermierza w walce za twój ideał!

Widok przeszłości upomni cię, żeś niepowinien pozostawiać ani wypadkowi, ani losowi, ani też interesownej zmysłowości wyrzeczenia wyroku; tego wyroku echo w ćwierć wieku odbija się o potomstwo, które może z pogardą deptać będzie twoje zapomniane popioły.

Co ci na świecie pozostanie, gdy spokojna, bez najmniejszej troski na czołe, w twym familijnym kółku żona, poglądać będzie z bezmyślnym uśmiechem idyoty na twoją świętą walkę? albo jak owa Marta, otaczając cię wszelką troskliwością domowego życia, będzie przejęta jedną tylko myślą— dogodzenia tobie, polepszenia twego materialnego, ziemskiego bytu? jeżeli jak Xantypa przez los daną ci będzie dla wypróbowania mocy i stałości woli twojej? jeśli, starając się zachwiać twe przekonania, kupione połową życia w przekształcaniu siebie,— niweczając owoce mozołów, walki, nieureczywistni nawet zasadniczej myśli przy wychowaniu dzieci?

A czy wy wiecie, co znaczy też sama kwestya życia dla kobiety, co była tak szczęśliwą, iż rozwiązała sobie zagadkę swego powołania, co, nieidąc za powszednim kierunkiem tłumu, dokładnie i jaśnie pojmuje, iż dla niej cel życia wytknięty?

Mężczyzna, zawiedziony w nadziei znalezienia współczucia, w domowym, familijnym życiu,— jakkolwiek smutny i ciężki to zawód,— w tém pociechę mieć może, że wcielenie jego myśli, czyny jego, znajdują współczucie u potomności. A kobieta, w której potrzeba miłości, współczucia i poświęcenia nierównie więcej jest rozwiniętą, której brak jeszcze dosyć doświadczenia, izby z większą obojętnością przenieść rozbić się zawód,— powiedzcie mi, proszę, co musi przenieść kobieta na scenie życia,

przykuta do człowieka, co tak srodze ją zawiodł, co zdeptałwszy jej pełne błogich pociech przekonania, szydzi z jej wszystkich świętości, drwi z jej natchnienia i sprowadzają z drogi na brudne bezdroże?

Gdzie są środki, aby uniknąć tych wszystkich smutnych skutków błędu?

Gdzie są środki do zaspokojenia potrzeby, z zupełną wiarą w skutek, domagającej się współczucia?

Co może być rękojmią pomyslnego skutku?

Ani wiek kobiet, ani nasze wychowanie, jak widzicie, ani też praktyka życia pewnej rękojmi dać niemogą.

Młodość nęci je ku próżności. Wychowanie tworzy z nich lalkę. Doświadczenie, praktyka życia, zdradza w nich hipokryzyę.

Szczęśliwa jeszcze ta młodość, w której próżność niezupełnie wykorzeniła w duszy zdolności do wrażeń, w której świat ze swoją drobiazgową etykietą niezdolał jeszcze zupełnie ją oziębic i zrobić nieprzystępną dla wszystkiego, co jest wzniosłem i świętym. Szczęśliwa jeszcze młodość, gdy tłum młodych i starych słuźalców, zwolenników chwiejących się poglądów, korzystając z tej wrażeniowości, niezobojętnił jej na wrażenia wznioślejsze, niezniszczył zdolności zrozumienia, oświecenia siebie.

O, niech kobieta, którą ten podły tłum otacza, upadnie na twarz przed Opatrznością, gdy położywszy na młode serce rękę, uczuje jeszcze w niem bicie dla świętych natchnień, gotowość do przyjęcia świętych prawd, do życia dla wyższych, abstrakcyjnych celów!

Prawda, że kobieta, wychodząc na świat, mniej niż mężczyzna podlega smutnym skutkom rozminięcia się głównych zasad wychowania z kierunkiem społeczeństwa. Ona rzadziej skazana bywa na zdobywanie sobie powszedniego chleba przez pracę,

na zupełnie niezależne od mężczyzny życie. Handlowy kierunek społeczności na nią mniej ciąży. W kole familijnem powierza się jej pieczy epoka ludzkiego życia, w której jeszcze nieśpiewa się piosenki o złocie.

Lecz za to wychowanie zwykle robi z niej lalkę. Wychowanie to, przystrajając ją, przez to samo wystawia ją na widok dla gawronów, obstawia kulisami i zmusza ją ruszać się na sprzężynach, jak mu się podoba. Lecz rdza przejada sprzężyny, przez szpary zaś wytartych i popadanych kulis, zaczyna ona wypatrywać to, co z taką troskliwością przed nią ukrywano. Cóż dziwnego, że wówczas zaczyna ją kusić myśl poprobowania samą, jak to ludzie chodzą. Tą myślą jest emancypacja, — pierwszym krokiem upadek.

Niech lepiej wiele pozostanie nieznanem dla niej. Powinna z tego się chlubić, iż wielu rzeczy niewie. Nie każdy jest lekarzem. Nie każdy bez potrzeby powinien patrzeć na rany społeczeństwa. Nie każdego jest obowiązkiem odgrzebywać śmietnika, próbować, wachać, co jest wstrętnie smrodliwem. Jednak wczesne rozwijanie w kobiecie rozwagi i woli, tyle jest dla niej, ile i dla mężczyzny potrzebnem. Aby współczuciem osładzać życie mężczyzny, aby być współtowarzyszką w jego walce, — również i jej potrzeba znać sztukę pojmowania; potrzebna samodzielna wola dla niesienia ofiary, reflexya dla robienia wyboru, oraz jasne i światłe pojęcie o celu wychowania swych dzieci.

Jeśli kobieciego rodu bakałarze, rozprawiając o emancypacji, samo wychowanie kobiet mają na celu, — to mają za sobą słusność. Jeżeli zaś przez to rozumieją emancypację społecznych praw niewiasty, — to niewiedzą sami czego chcą.

Kobieta już i tak jest emancypowaną, a nawet może więcej niż mężczyzna. Wprawdzie, według praw naszych niemożna jej zostać żołnierzem, urzędnikiem, ministrem; lecz czyliż może mężczyzna stać się mamką, matką — wychowawczynią dzieci do 8 lat

ich życia? czyliż może stać się spójnią społeczeństwa, kwiatkiem i upiększeniem jego? Tylko krótkowidząca ludzka próżność, stawiając ołtarze bohaterom, patrzy na matkę, mamkę i niankę, jak na klasę podrzędną, niewolniczą. Tylko handlowy materializm i ciemna zmysłowość widzi w kobiecie podwładną niższą od siebie istotę.

Wszystko, co piękne i wzniosłe, — sztuka, nauka, natchnienie, niepowinno się zbyt ocierać o powszednie życie: bo utraci swoją czystość pierwotną, wyrodzi się, ziemskim pokryje się pyłem.

A zatem, niech kobiety pojną swoje wysokie powołanie w winnicy życia ludzkiego. Niech pojną, iż strzegąc kolebki człowieka, urządzając zabawy jego lat dziecinnych, nauczając usta jego szczebiotać i pierwsze wyrazy i pierwszą modlitwę, — stają się głównymi budowniczkami gmachu społeczności. Ich ręką kładzie się kamień węgielny. Chrześcijaństwo wskazało kobiecie jej powołanie: jestestwo tylko co odjęte od jej piersi dało za wzór człowieczeństwu. I Marta i Marya stały się uczestnicami słów i nauk Zbawiciela.

Nie stanowisko kobiety w społeczeństwie, lecz jej wychowanie, w którym wychowanie całej ludzkości się zawiera, — oto, co domaga się odmiany. Niech myśl ukształcenia siebie na ten cel wysoki, myśl życia dla nieuniknionej walki i poświęceń przejmie całą moralną istotność kobiety, niech natchnienie roztoczy swe skrzydła nad jej wolą, a wówczas ona dostrzeże, gdzie ma szukać emancypacji swojej.

Lecz gdy ani wiek, ani wychowanie kobiety niemogą być rekojmnią rozwiązania tej kwestyi, — to na praktykę życia tém mniej się może spuścić kto szuka idealnego współczucia.

Jeżeli to doświadczenie praktycznego życia, oziębi i osuszy mężczyznę, co nieżył idealnie; przesycony, zubożniały, zawiedziony, rzadko ukrywa to, co utracił na zawsze. Kobieta zaś

uzbraja się w hipokryzyę. Ona niejako sama przed sobą się wstydzi, w obec świata wypowiedzieć te smutne skutki doświadczenia. Pokrywa je więc szczątkami zburzonej świątyni. Instynkt hipokryzy i skłonność do podobania się dopomagają jej najpiękniej odegrać pod maską rolę na scenie życia. Obłudna egzaltacja, niezrównana biegłość w wyrażaniu i wzrokiem i mową ognia współczucia a nawet i czystości duszy,—wszystko to, wszystko dostarcza jej próżność do szukania zwycięstwa. Ona wtedy niedba o to, jak drogo opłaci się to zwycięstwo, byle dopiąć celu, byle stać się znowu tém, czém była. . .

Szukajcie tedy. A życie, tymczasem, ku zachodowi się zbliża. Do rozwiązania wszystkich żywotnych kwestyj jeszcze wam daleko. Jakżeby wam się chciało nanowo żyć zacząć! lecz co się raz skończyło, to już

Dalszego ciągu—niema.

MIŃSK

PRZEZ
WŁADYSŁAWA SYROKOMŁĘ.

POBIEŻNY RZUT OKA NA STAN DZISIEJSZY MIŃSKA.

I.

Położenie—Klimat—Wewnętrzna fizyonomija miasta—Statystyka—
Wysoki rynek—Cenniejsze ulice, gmachy i place—Pół-słówka o handlu—Ogrody—Wyskok autora i zwrot do rzeczy,

Miasto Mińsk, położone pod 53° 54' 15" szerokości północnej, a 25° 13' 15" długości wschodniej, w umiarkowanej i zdrowej strefie klimatu *), zasługuje na uwagę, tak co do swojego położenia, jako i wewnętrznej fizyonomii. Wybór punktu, w którym ten stary gród przed wiekami założono, nieodznacza się bogactwem widoków przyrodzenia, jak Wilno, Troki, Kowno, Nowogródek i wszystkie miasta, które zakładali książęta Litewscy, umiejący swém barbarzyńskim, a jednak estetycznym okiem wy-

*) Średnia temperatura lata wynosi tu około +13,6, a zimy —3,0 według Reaumura. Ob. *Dostrzeżenia meteorologiczne w Mińsku* p. Rodziewicz, w *Bibliotece Warszawskiej*, rok 1850 miesiąc Maj, str. 384.

szukać do zakładania miast najprześliczniejsze okolice w swym kraju, i potrzebę militarnego obwarowania połączyć z pełnym gracyi wdziękiem, świadczącym o poetycznym usposobieniu duszy swych dzikich zakładców. Gospodarczy Rusin przy zakładaniu swojego miasta miał na głównej uwadze-li potrzeby militarne i gospodarcze: bliskość wody, pastwiska i lasu. W punkcie obranym na podobnych warunkach założony Mińsk, po obu stronach rzeki Swisłoczy wpadającej do Berezyny szeroko rozsadzony, ma jednak właściwy sobie wyraz piękności położenia. Wybrzeża głównej rzeki, jej zatok i strumieni, stanowią w niejednym miejscu piękny widok; kilka pięknych wzgórków mile urozmaica płaszczyznę, a bogata wszędzie roślinność nęci pysznemi drzewy, uwesela widokiem pięknych zbóż i pastwisk. Jeżeli niektóre miejscowości, jak np. wjazd od Kojdanowa, niemówią zbyt korzystnie o położeniu Mińska; to inne, jak przedmieścia Komarówka, Lachówka, Perespa *), Trojecka góra, hojnie to wynagradzają. Rzeka Swisłocz, ówdzie płynie po zielonej łące, ówdzie osłania się uroczym wiankiem wspaniałych olszyn, ówdzie długim mostem rzuconym przez swą odnogę, daje zdaleka prześliczny widok. Wieżycy kościołów i kilka gmachów, bijąc w oko z oddali, dają Mińskowi powierzchowność miasta, daleko większego niż jest w istocie.

Wewnętrzna fizyonomija miasta odznacza się porządną regularnością. Ulice szerokie i proste, domy nieścienne pomiędzy sobą, powietrze czyste, wszędzie dostępne przewiewom wiatru, dobrze wróżą o zdrowiu publicznym, tak dalece, że nawet ulice zamieszkałe wyłącznie przez biedną ludność Żydowską, można prze-

0. *) *Perespa* (tę przedmieściem wjeżdża się do Mińska z Wilna), pochodzi od nazwy okopu, który otaczał Horodyszczę dawnych Słowian: *pryspa*, *perespa* poprostu przysyp, wał obronny. Wyraz *Perespa* spotykamy bardzo często w starych latopiscach.

chodzić bez wstrętu, jaki np. u nas w Wilnie obudzają ciasne ulice Żmudzka lub Żydowska. Mury i berwiona domów pomalowane jedną białą barwą, wyglądają majestatyczniej niż w Wilnie, gdzie różnobarwna pstrocizna kamienie, rzadko kiedy dodaje, a częściej psuje efekt najpiękniejszej budowy. Po ulicach niema natłoku, bo tu każdemu przestronno, a każda budowa większego znaczenia, występuje w całej okazałości, niezastłonięta sąsiedniami.

Mińsk zresztą, dotąd zaledwie w mniejszej swojej połowie jest murowany. Sosnowe, jedno - a czasem dwó-piętrowe na murowanych suterrenach domy, stoją przy najprzedniejszych ulicach, obok dwó-piętrowych kamienie albo nawet wspanialszych gmachów - czasem psując ogólny efekt, ale niekiedy podnosząc go swoją nawiadną różnaitością, przerywając jednostajność murowanych kamienie, z których jednolitym a wcale u nas niepięknym krojem, oko się prędko oswaja i przesycę.

Przestrzeń miasta wynosi 5604 dziesięciny 253 sążni; z tej liczby 3709 dzieś. 60 sążni zostaje pod zawiadownstwem magistratu miasta. Ludność miasta według obliczeń 1856 roku, wynosi dusz płci męskiej 13,451, żeńskiej 10,501, razem 23,952, czyli do dwódziestu czterech a licząc z ludnością napływową, do dwódziestu pięciu tysięcy płci obojg. W tej liczbie, — *Podług klass*: — szlachty płci męskiej 291, żeńskiej 393. Duchowieństwa: prawosławnego, białego 20, zakonników 2; Rzymsko-katolickiego męskiego 52, mniszek 16; Luterskiego 1; Mahometanskiego mołna 1. Mieszczan płci męskiej 10,091, żeńskiej 9170. Urzędników 176. Wójskowych 1681. *Podług wyznań*: Prawosławnych męzk. 1868, żeńsk. 1679; Katolików męzk. 4215, żeńsk. 3196; Lutrów męzk. 18, żeńsk. 20; Mahometan męzk. 150, żeńsk. 133; Żydów męzk. 7200, żeńsk. 6673 *).

*) W roku 1843 liczyło się płci męskiej 10,828, żeńskiej 12,774, razem 23,603 (Ob. Dziennik Ministerstwa spraw wewn. rok 1843,

Cała ta ludność mieści się w 1,442 domach, z których *rzędowych* jest murowanych 16, drewnianych 15, *prywatnych* murowanych 333, drewnianych 1,078 *). Znajdujemy, że stosunek domów do liczby mieszkańców jest znaczny: bo licząc w przecięciu, na jeden dom wypada około 16 mieszkańców, gdy w Wilnie podobny przecięciowy rachunek wynosi około 34; ale Mińsk nie posiada domów tak ogromnych, jak są w Wilnie, np. Müllera, Paca, Wilgockiej i mnóstwo innych, musi zatem mieć ich stosunkowo więcej.

Najokazalszém miejscem z całego miasta jest niezaprzeczenie tak zwany Wysoki rynek, do którego schodzą się wszystkie celniejsze ulice, a który otaczają wysokie domy i gmachy. W położeniu wzniosłem, na wzgórku, brukowany, przestronny ów rynek, imponuje zdaleka, widziany z prostych jak strzała i porządnym przyległym ulic. Zdobia go: kościół katedralny, czyli *pojezuicki*, z krążgankiem, co aż na plac wybiega, z dawnym klasztorem tychże Jezuitów (dziś dom skarbowy), z wysoką zegarową wieżą, zbudowaną przez Jezuitów w r. 1750, dom, w którym się pomieszcza ze swém biórem miejscowy cywilny gubernator; — w drugiej linii holet kupca Polaka. Teatr miejscowy (niegdyś dom Bajkowa, dziś kupca Białostockiego) w r. 1825 restaurowany, świetne sklepy, jak rozmaitości braci Więckowskich, galanteryjny Ajzenstatda i kilka innych, — dwie świetne tutejsze restauracje, apteki, cukiernie — wszystko nęcące wewnętrznym porządkiem, zewnętrzną budową domów i blaskiem sztyldów. Trze-

miesiąc Marzec, str. 393); w ciągu więc lat dwónastu ludność pomnożyła się zaledwie o liczbę 349; ale przypomnijmy że w końcu 1847 i na początku 1848 cholera szerzyła tu straszliwe spustoszenia.

*) W roku 1843 było domów drewnianych 1,019, murowanych 314, razem 1,333: w ciągu zatem lat dwónastu dobudowano drewnianych 74, murowanych 35, razem 109.

cia strona rynku równoległa do katedralnego kościoła, zawiera dawny kościół *po-Dominikański* (dziś R. katolickie seminaryum), wspaniały gmach przeznaczony na pomieszczenie sądownictw (zbudowany w r. 1852 według planu architekta Kazimierza Chrzczonowicza), nowo zbudowany okazały sobór Greko-Rossyjski i t. d. Ze strony czwartej i na środku tegoż rynku widnieją sklepy trusków zagranicznych i magazyn mód P. Delpace, ogromna budowa kram Żydowskich i kilka sklepów z towarami Rossyjskimi, pomiędzy którymi odznaczają się kramy kupców Rakowa, Pulaszki-na, Diehtiarewych i t. d. A każdy niemal dom uśmiecha się albo zgrabną facyą, albo eleganckim balkonem; a każdy sklep świeci się, złoci, przymila okazałym szyldem i wystawą towarów. Turkocą tu i uwijają się tłumy najemnych woźniców z jednokonnymi drążkami, krąży ludność najbardziej arystokratyczna, przesuwają się tumulty Żydów; ale niewidać natłoku: bo na szerokiem przestworzu wszystko się rozsypuje w małe a malownicze grupki — przesuwają się jak w kalejdoskopie. Wszystko tu tak czyste, świetne, nowe, że zaprawdę imponuje swą Europejskością, komuś jak my przybyłemu z Wilna, czyje oko przywykło do bezpretensyjnej fizjonomii domów i gmachów, skupionych, zasłoniętych, wiejących wonią wiekowej starożytności. Tu nic podobnego nie znaleźć, albo chcąc znaleźć, spuścić się potrzeba z Wysokiego rynku około kościoła Bernardynów ku rynkowi zwanemu Nizkim, gdzie nieco więcej natłoku ludzi, ciasnoty domów, gdzie niejedna budowa domu lub sklepu przypomina swą architekturą stare czasy i stare obyczaje.

Celniejsze ulice miasta stanowią: *Kojdanowska*, dawniej posiadająca kilka kościołów i cerkwi, których dziś ledwie pokazują miejsce. *Franciszkańska*, którą zdobi mnóstwo sklepów i zakładów handlowych, a której najcelniejszą ozdobę stanowią mury gimnazjum, zbudowane czy erygowane w r. 1844 przez rzezonego już architekta Chrzczonowicza, — ulica okazała, szeroka,

całkowicie niemal złożona z porządných murowanych kamienie. Ulica *Zborowa*, przy której leży kościół i klasztor PP. Benedyktynów, i jej przedłużenie *Felicyańska*, już więcej mają domów i domków drewnianych, jedno- i dwó-piętrowych, które się wmieściły pomiędzy swych arystokratycznych braci, jak wieśniacy na jakimś widowisku, co niezważając na obecność jasnych panów, cisną się jak mogą, aby być bliżej sceny. Ulice te wiodą z Wysokiego rynku do więzienia, położonego za miastem, które ma nazwę *Turemnego zamku*, i istotnie swoim ogromem, wysokością oraz basztami i bastyonami, zwodzi przechodnia, że jest zaprawdę jakimś obrotnym *castellum* *). Ulica *Dominikańska*, licząca się także do najokazalszych, prowadzi mimo kościoła dawnego Dominikanów, z Wysokiego rynku na rynek *Targowy*, czyli tak zwane *Nowe miasto*. Inne ulice lubo drugorzędne i na główny plac niewychodzące, jak *Zacharzewska*, *Włoska*, *Jurewska*, mają gdzieś piękne mury, a szerokością, prostym kierunkiem i czystością nieustępują pierwszorzędnym. Przy ostatniej z tych ulic godna uwagi kamieniczka w dziedzińcu, własność P. Hołowni, licząca się za najstarszą w Mińsku; w niej mieszkał Cesarz *Paweł I*, który wkrótce po swym wstąpieniu na tron był w Mińsku, jak się to powie na właściwym miejscu. W ogóle Mińsk liczy ulic i uliczek 46, z których 22 są brukowane.

Ze wszystkich stron Mińska najlepiej znamy *Nowe miasto*: bośmy tam mieszkali przez dwa tygodnie naszego w tym mieście pobytu. Stary Mińsk od wieków, w miarę jak się zabudowywał, posuwał się z zachodu na wschód. Wysoki rynek, dziś będący centralnym punktem miasta, nie był nim zapewne za czasów starych *Krywiezańskich* książąt dynastji *Połockiej*. Dziś w miarę wzrostu i zakwitnienia miasta, ów centralny punkt rozpuszcza

*) W r. 1854 w *Turemnym zamku* było więźniów prywatnych 496, wojskowych 36, przesyłających się z różnych miejsc 1,978.

coraz dalej gałęzie kolonizacji, ruchu i życia, a *Nowe miasto*, zwyczajnie przed laty targowisko, dziś stroi się w place i gmachy znakomitego znaczenia. Rynek *Nowego miasta*, miejsce targowe i bulwar przechadzkowy, osadzony aleją drzew niedawno zasadzonych — otaczają piękne murowane kamienice, jak: domy kupców *Goldberga* i *Anselrode* (w ostatnim dziś deputacya szlachecka i mieszkanie gubernskiego marszałka), wykonane według planu architekta *Chrzezonowicza*; kościół *Luterański* wymurowany w 1844; dom obywatela *Lipińskiego*, dom *hr. Tyzenhauza*, gdzie się pomieszcza pocztamt, i parę innych, obok obszerności spodobają się piękną architekturą. Na placu przyległym, gdzie się odbywa targowisko, w porze jarmarku, który od 23 maja rozpoczęty trwa około czterech tygodni, budują tarciczne szalasze dla przyjezdnych kupców; liczba jednak tych bud jest niestępanie małą: bo tutejszy jarmark utracę coraz swe znaczenie, może w skutek więcej rozwiniętej czynności kupców miejscowych. W roku ominionym liczba tych tarcicznych szalasów nieprzechodziła dziesięciu. Tu w porze, o której mówimy, w budach lub przyległych kamienicach, ku wygodzie miasta i prowincyi, xięgarze *Wileńscy*, PP. *Zawadzki*, *Orgelbrand* i *R. Rafałowicz*, przywożą swój *intelligeneyjny* towar; widnieją afisze kolosalne nowych dzieł *Polskich*, na których publiczność wycytując drogie dla chluby krajowej imiona, powoli zaprawia się do czytelnictwa, a *nietłumnym* ale stałym uczęszczaniem do *xięgarni*, zapewnia przyjeżdżającym bibliopolom pewny odbyt. Mówimy: *nietłumnym* — bo to właśnie jest charakterystyczną cechą *Mińska*, że w nim nigdzie niewidac tłumów, tak się *nieliczna* ludność rozplywa po szerokich ulicach i placach. Tylko w wieczór szabatu po ciśniejszych ulicach roi się plemię *Izraelskie*, a jego część *dystyngwowańska*, *gwarna*, *strojna*, idzie przechadzać się do publicznego ogrodu, na *Wysoki rynek*, a *najtłumniej* na bulwar *Nowego miasta*. Ale i tutaj zaledwie jedna strona placu ma ścieżki wydeptane od przechadzających się: bo w głę-

bi tegoż placu widzieliśmy w maju żołnierzy policyjnych czy garnizonowych, najnaiwniej w świecie koszących trawę i układających kopce siana.

Do celniejszych gmachów miasta, oprócz murów gimnazyalnych i miejsc sądowniczych, teatru i innych, o których wspomnieliśmy wyżej, należą jeszcze kamienice PP. Kistera, Delpace i obywatela Hajdukiewicza, w której znajduje się sala dworząńska, szpital wojenny drugiej klasy, zbudowany w r. 1844, lazaret miejski w trzech oddziałach na *Trojeckiej górze* (jeden oddział przerobiony z klasztoru PP. Bazylijanek w 1844). Wszystkie te budowle czynią zaszczyt znajomości i gustowi architektonicznemu wspomnianego już budowniczego, radcy kolegijalnego, P. Kazimierza Chrzczonowicza.

Piękne to zaprawdę autorstwo, utrwalić swoje imię na artystycznie ułożonych stosach cegieł, pochlubić się w sumieniu, że się przyłożyło do ozdoby miasta i wygody bliźnich.

Bez dostatecznych materyałów, niemożemy mówić o ruchu handlowym, tak zewnętrznym jako i wewnętrznym. Zamożniejsi kupcy tutejsi prowadzą handel w głąb kraju i za granicę zbożem i leśnymi towarami, których dostarcza dosyć żyźna prowincya. Handel miejscowy reprezentują 423 kramy kupieckie przy domach. Wspomnieliśmy już o znaczniejszych, do których dodać należy skład towarów bławatnych Hurwina, sukien i kortów Rappoport'a i kilka innych. Wiadomość z r. 1843, którą podaje cytowany już przez nas artykuł w Dzienniku ministerstwa spraw wewnętrznych, wylicza osób płci męskiej należących do 1-jej gildyi kupiectwa 15, do 2-jej 25, do 3-jej zaś 198. Liczba ta od lat 13 musiała się powiększyć mianowicie w niższych gildyach, témbardziej, że w tejże wiadomości podano w r. 1843 kram w mieście tylko 235, gdy dzisiaj liczba ich prawie się podwoiła. Tamże podano 17 fabryk i zakładów rękodzielniczych. Handel konsumcyjny odbywa się na pięciu rynkach, z których Wysoki, Nizki, Rybny, są brukowane,

zaś plac *Trojeckiej góry* i *Targowy* (na *Nowém mieście*) zostają jeszcze w stanie pierwotnej prostoty. Uwaga która nam się naszczyła w Wilnie, da się zastosować i do Mińska: że u nas przeważającą liczbę sztyldów stanowią magazyny strojów i stroików, oraz składy win, piw i t. p. zakładów, zwanych u nas *Par excellence handlami*. Mówiąc o zakładach tego rodzaju, niegodzi się przemilczeć bardzo porządną restauracyę P. Cybulskiego na *Wysokim rynku*, oraz cukierni P. Eisnera przy ulicy *Zborowej*, mającej oprócz bilardu dwa dystyngowane salony, a w jednym z nich zasobną czytelnię gazet krajowych i zagranicznych. *Utile dulci*.

Odkładając do następnego rozdziału rzut oka na świątynie Pańskie, cmentarze i moralną stronę miasta — uzupełnijmy nasz rys wyliczeniem celniejszych ogrodów. Tu naturalnie zajmuje pierwsze miejsce ogród publiczny zwany Gubernatorskim od swojego założyciela gubernatora Zacharyasza Karniejewa, około r. 1800. Śliczne to miejsce zajmuje ogromną przestrzeń ziemi — ocieniają go wysokie gęstoliscie brzozy i lipy, nad szerokimi alejami tworząc sklepienie z konarów i liści, tak gęste, iż w południe pogodnego dnia lata, słońce zaledwie gdzie niegdzie przedzierając się ukradkowym promykiem uściela drogi rodzajem wzorzystego ruchomego kobierca. Rzeka Świsłocz przepływa środkiem ogrodu, śliczne łąki zdobią jej wybrzeża; ówdzie się drzewa skupiają, ówdzie odsłania się widok na piękne przedmieście *Lachówkę* i miasto, albo na pole. Pamiętamy w dzieciństwie naszym, żeśmy tu widzieli piękne klomby kwiatów, drogi starannie gracowane. Dziś (że użyjemy wyrazu *Delilla*) czas odbiera te miejsca sztuce w imię przyrodzenia, — co znaczy po prostu, że mniej staranne utrzymanie, ogałaca to miejsce z przyozdobień sztucznych; — ale pośpieszmy dodać, że piękność miejsca nie tylko nie traci, lecz nawet zyskuje na tém pod pewnym względem opuszczeniu: przyroda przybiera tutaj swoje cudne, niewymuszone oblicze, wyzuwa

się ze sztywności, jaką gust XVIII wieku zanadto usiłował przyoblec naturę. Główne wszakże aleje utrzymane są czysto i porządnie. W pewne dni muzyka grywa w ogrodzie— a publiczność licznie gromadząca się podczas wiosennych i letnich wieczorów, znacznie, że lubi to miłe ustronie, że pojmuję dziś nieistniejące godło, które gubernator Karniejew położył był na jednej z piramid zdobiących ogród: *Post labore requies* (po pracy odpoczynek).

Lubiliśmy błąkać się po tych ciemnych alejach w godzinach porannych kiedy nikogo niema; ale i wieczorem, gdy się publiczność gromadzi, zachodziliśmy tu czasem dla studyowania miejscowego ducha. Gdy trudno było chwilowemu gościowi zgłębić go należycie, notuję tutaj dorywcze postrzeżenia. W mieście jak Mińsk, prawie wyłącznie złożoném z biurokraeyi, niepodśluchałem między mężczyznami rozmowy o literaturze, teatrze, gospodarstwie; lecz młodzież swawolniej niż Wileńska rozprawiała o miłostkach, a ludzie poważniejsi o processach, śledztwach i t. p. W płci obojęd panuje większy niż w Wilnie przepych toalety; ale tutejsza pleć piękna ma do tego niezaprzeczone prawo: bo— przebaczeie nam miłe mieszkanki Gedyminowego grodu!— Mińsk stosunkowo do swój ludności może się pochlubić bardzo znakomitą liczbą prześlicznych niewieścich oczek. Pojmuje, że głowa mniej niż nasza pochylona cierpieniem, że pierś mniej hartowna pancierzem stałości, mogłyby się tu zachwiać; co do nas... wróćmy do cyfr statystycznych.

Oprócz ogrodu zwanego Archijerejskim, który założył przed kilku laty arcybiskup Greko-Rossyjski Michał, z gustem zdobiąc go modrzewiami i rzadkimi gatunkami drzew i kwiatów— Mińsk posiada znaczniejszych prywatnych owocowych ogrodów 18, warzywnych 239.

II.

Świątynie— Kaplice— Cmentarze— Wycieczka do Kalwaryi.

Przelotném tylko okiem możemy rzucić na świątynie tutejsze: bośmy zanadto krótko tu bawili, niewszędzie mogąc zajrzeć, niewszystko zbadać. Pobłażanie czytelnika zamawiamy sobie tém usilniej, że czując ważność podobnych opisów, sami na jego miejscu bylibyśmy wymagający. Uczynimy, co możemy.

Z licznych i starożytnych świątyń katolickich w Mińsku, zostało zaledwie trzy w mieście i dwie na mogiłach miejskich. Najznakomitszą z nich, jest kościół *po-Jezuicki*, dziś *Katedralny*. Stoi może na owém miejscu, gdzie Władysław Jagiełło założył pierwszą katolicką świątynię. W połowie siedemnastego wieku, osiedli tu Jezuici; ale nabożeństwo swe odbywali jeszcze w kaplicy drewnianej aż do r. 1700, w którym mury obecnego kościoła stawić poczęto. W lat dziewięć je konsekrowano.

Niebyła to świątynia okazała: bo też pomimo dosyć bogatych uposażeń, które tu wciąż przybywały i rosły, kollegium Mińskie nieliczyło się do najznakomitszych Jezuickich. Wśródki zeszłego wieku, miało ledwie 15 osób, w téj liczbie 5 professorów; i zdaje się, że nigdy nieposiadało większej liczby osób.

Na właściwém miejscu, mówiąc o Jezuitach, skreślimy kolejną lat dzieje tego kościoła; tu okażemy tylko stan jego obecny.

Kościół wcale nieokazały, lubo na wzniosłym miejscu Wysockiego rynku zbudowany, strzela w górę dwoma gotyckimi czworobocznymi wieżycami o czterech kondygnacyach, a na plac wysuwa się pewnym rodzajem krytego krużganku, czy korytarza, którego ściany składają się z krat żelaznych. Wnętrze ponure, ale nieimponujące, nie tak, jak w większej części Jezuickich kościołów. Ujmują obszerności kościoła grube filary, przy których są ołtarze; a po za filarami dwie boczne kaplice, na lewo

św. Trojcy, na prawo św. Felicyana męczennika. Pierwszą, jeszcze za Jezuickich czasów, fundował Cyprian Paweł Brzostowski wojew. Trocki, zmarły 1689; drugą Krzysztof Zawisza wojew. Miński, 1713.

Kościół ten, po kassacie Jezuitów w 1773, zamieniony został na parafialny; a już za rządów Rosyjskich, w skutek ukazu Pawła I z d. 28 kwietnia 1798, wyniesiony został na godność katedralną, dla utworzonej diecezji Mińskiej. Biskupowi przeznaczono 6,000 rub. sr. rocznego dochodu na utrzymanie domu i katedry, z obowiązkiem utrzymywania biskupa Sufragana i officyała do zasiadania w konsystorzu. Gdy papież Pius VI, na d. 29 czerwca, utwierdził i pobłogosławił tę erekcyę, nuncyusz apostolski, kardynał hrabia Wawrzyniec Litta, (urodz. 1750 zm. 1820 r.) wyświęcił na katedrę świątynię o której mówimy *). Pierwszym biskupem Mińskim, mianowany został Jakób Dederko, prałat Wileński, kawaler orderu św. Stanisława. Ale na chwilę przed ufundowaniem diecezji Mińskiej, przyszedł jej katedralny kościół stał się pastwą pożaru, w połowie 1797 r. Spłonęła znaczna część sprzętów kościelnych, pozostałych po Jezuitach; ocalono tylko obrazy, a ciało św. Felicyana przeniesiono do kościoła PP. Benedyktynów. Biskup Dederko, wnet po swém wstąpieniu na biskupstwo, jał się odbudowywania kościoła, częścią z pomocą rządu i prywatnych składek, częścią z własnego grosza. Niespełna w lat pięć odbudował go i przyozdobił. Naprzód w 1779

*) Poświadczają to napisy nieopodal wielkiego ołtarza, ale już w nawie kościoła; (z jednej strony): Mandato supremo Pauli I Imperatoris totius Rossiae etc. etc. etc. dominantis clementissime et benigne sedi Apostolicae faventis 1798 die 28 aprilis.

(z drugiej strony:)

Benedicente SSmo Domino Pio VI in erecta Dioecesi Minsensi 1798 die 29 men. Junii catedrali primus Antistes cum ovili restauravit 1800 an. die 28 septembr.

sama kaplica św. Felicyana, a następnie w 1800 i cały kościół mógł już być otworzonym dla nabożeństwa.

Niedokładnie pamiętam stan katedry w Mińsku przed jej dzisiejszym odnowieniem; ale mi go skreślił znany nasz artysta, P. Adam Szemesz, który podczas ostatniej naszej bytności, towarzyszyć raczył naszym wycieczkom, a potem osobną notatkę o tułtejszych świątyniach nadesłał. Oto jego zdanie o urządzeniu kościoła przez biskupa Dederkę:

„Dziwnie ten człowiek miał wyobrażenie o piękności i wspaniałości świątyni Pańskiej. Sklepienie całe we wszystkich trzech nawach zamalować kazał obrazami z Nowego testamentu, to symbolami; środek zajmuje malowana niy kopuła z kolumnami, ale tak nędznie, że na nikim nieczyni wrażenia. Wszystkie te malowidła na ścianach dokonał malarz Antorzewski, najlepszy wówczas w Mińsku. Dederko wszędzie pokładł pełno napisów, to religijnych i mistycznych, to mających na celu pochwalenie się. Jego portret w całej postaci umieszczony w prezbiterium, drugi mniejszy w zakrystyi. Wszędzie pokładł pełno galeryjek, świecidełek, jakichś axamitnych firanek, wszędzie było pstro, oko nie miało gdzie spocząć, nawet na powietrzu pozawieszał błyszczące szklanne żyrandole. W jakimto stylu było to odnowienie? trudno oznaczyć, chyba go nazwać własnym Dederkowskim.“

Dodajmy, że ta pstroczna dziwnie odbija od niskiego pawimentu i posępnego wnętrza kościoła.

Co do malowideł—pierwsze tu miejsce zajmują cztery oryginały Czechowicza i jedna dobra z niego kopija. Wymieńmy je szczegółowo, przytaczając wszędzie zdanie P. Szemesza, które témbardziej stanowi autorytet, że ten, co je wynurza, sam jest znakomitym artystą i człowiekiem prawym, wolnym od drobnych namiętnostek, które tak często kierują zdaniami naszych artystów.

Na pierwsze miejsce zasługuje obraz św. Józefa, umieszczony w presbiterium, rozmiarem, twarzą, kolorytem i układem podobny do obrazu w katedrze Wileńskiej, który nasz zasłużony Wileżyński rozpowszechnił w ślicznym obrazku. „Twarz świętego zwrócona ku widzowi; wyraz jej dziwnie pocziwy i łagodny, niezmiernie stosowny do charakteru opiekuna Bożkiego dziecięcia. Na jego rękę dziecię, trzymające rozkwitłą liliję, „godło św. Józefa. Na przedzie obrazu, na lewo od patrzącego, „aniołek-dziecię, z rękami złożonemi do modlitwy, z twarzą zwróconą ku świętemu. Na prawo, w głębi nieco, anioł-młodzieniec, w białej szacie, klęczący. W górze aniołek i parę główek „cherubinów dosyć pospolitych. Obraz wielkiej wartości, w ničem pewno nieustępujący będącemu w katedrze Wileńskiej, i do „brze zachowany.“

Na filarze kościelnym, po lewej stronie, zwraca uwagę przechodnia obraz św. Jana z Nepomuk, tegoż mistrza, wystawiony w sposobie jak zwykle malują tego świętego, patrzącego na krucyfiks, który trzyma w ręku, z wyrazem spokoju i prawdziwej pobożności na twarzy. Przyklekły anioł ma klucz w jednym ręku, drugą trzyma palec na ustach. „Jestto dziwnie piękna postać „dziecięcia, weale niepodobna do tych pyzatyh i nie nieznających „cnych aniołków, które często spotykamy nawet na obrazach Czechowicza. W głębi widok na most, z którego oprowy zrzucają „ją świętego w rzekę. Niemówiąc nie o umieszczeniu dwa razy „jednej postaci na obrazie, figurki te są zbyt małe na odległość, „w jakiej się znajdują, i zbyt wyraźnie malowane, tak, że wyglądają nie na ludzi w oddaleniu widzianych, ale na małych „człowieczków. Obraz ten bardzo uszkodzony, a co gorsza, kilka „razy restaurowany. Szcześnie, twarz świętego, prawa ręka „z krucyfiks i aniołek z kluczem zachowały się w całości.“

Tenże sam błąd powtórzenia na jednym płótnie jednej postaci, widzimy w obrazie św. Barbary, która na pierwszym planie

wydatnieje piękną i szlachetną postacią, z kielichem w ręku, w mieniono-kraśnym płaszczu, w światło-błękitnawej sukni, w koturnach na nogach,— a w głębi, leżąca na ziemi, przyjmuje z rąk kapłana Przenajśw. Sakrament. Te dwie dalszego planu postaci zanadto są wyraźne. Zgadza się z P. Szemeszem, że tę anomalję i zbytne wykończenie odległego planu, uważać należy nie już za błędy Czechowicza, lecz za zbytne poszanowanie przezeń tradycyi średniowiecznego religijnego malarstwa. Obraz widocznie rozdarty przez środek; może temu przypisać należy jego zbyt wysokie zawieszenie.

Naostatek bardzo dobra kopia Czechowicza: jestto św. Tadeusz, „postać pełna spokoju i swobody, z twarzą dziwnie piękną, „podobną nieco do twarzy Chrystusa, z jasnymi włosami i bródką „niewielką. W ręku linija ciesielska, u nóg ułomki gzymsów— „ale nie ruiny, tylko niby będące w robocie.“

Mówiąc o Czechowiczu, przytoczmy nawiasem zdanie P. Szemesza o tym naszym znakomitym artyście.

„Czechowicz materyalną (że tak nazwę) stroną talentu, należy do epoki upadającego malarstwa Włoskiego. Rysunek jego, „choć czysty, jest manijerny, często zaniedbany; większa część „głów jego i bardzo wiele rąk dziwnie piękne. Co się zaś tyczy „aniołków, zdaje się, niemało ich mieścił dla zapełnienia obrazu, „dla zadosyć uczynienia tradycyi;— nieraz jednak można napotkać „prawdziwie piękną postać dziecięcia. Draperye jego są ciężkie, „prawie skórzane. Jednak pomimo tych wad, któż z nas malujących nie chciałby być Czechowiczem?

„Czechowicz duchem należy do pierwotnego malarstwa, które czysta naiwna wiara opromieniała. Każda w nim postać tak „głęboko religijnem uczuciem nacechowana, że daleko bardzo od „wodzi myśl naszą od XVIII wieku. W ówczesnym katolickim „świecie, w jednej Polsce mógł się jeszcze taki malarz przechować.

„Widać na nim działanie Jezuitów, których był uczniem w pro-
„stocie ducha...”

Niegodzi się pominąć czternastu obrazów, przedstawiających stacye z męki Pańskiej. Jedenaście z nich są dosyć miernymi kopijami z Dominichina i mają pochodzić z Nieświeża od xcia Karola Radziwiłła;— jeden obraz za życia jeszcze biskupa Dederki domalował wspomniony już Antorzewski, naśladowując kompozycję i koloryt Dominichina, ale tak się zapędził, że jednemu z oprawców dał dwie prawe ręce;— dwa ostatnie obrazy, t. j. zdjęcie z krzyża i złożenie do grobu Chrystusa, odmalowano przed dwoma laty.

Zamknijmy wyliczenie obrazów w katedrze Mińskiej wzmianką o czterech Doktorach Kościoła, nad którymi unosi się Najśw. Panna; ma to być kopia z Guido-Reni, dokonana przez zmarłego w Petersburgu malarza Oleszkiewicza.

Przejrawszy główną nawę kościoła, zejdźmy do bocznych. Na prawo jest kaplica św. Trójcy, niegdyś za Jezuitów należąca do bractwa Najśw. Panny i kongregacyi młodzi szkolnej, a potem poświęcona na cześć Najświętszego Sakramentu i tejże Bogarodziecy. Hojnie ją fundował Cyprian Paweł Brzostowski, wojewoda Trocki, szczególny dobrodziej Jezuitów, o którym mówi Niesiecki, że sypiąc grosz na potrzeby kraju i z Bogiem szczerze się dzielił,— Wileńskim Jezuitom zapisał 50,000, Mińskim zaś podarował bogaty obraz Najśw. Panny i zapisał również 50,000 złt. polsk. ewikyonując tę summę na dobrach Niżycach, Haci i Prusewiczach. Byłto ojciec głośnego w dziejach domowych biskupa Wileńskiego,— pan możny, bogaty i wielu posługami w kraju zaszczycony. Ale odarł z uroku nasze o nim wyobrażenie szczegół zapisany u Niesieckiego i konstytucją z r. 1670 stwierdzony: że przyjął od Rzeczypospolitej 15,000 złt. p., na zawdżeczenie o własnym groszu odprawianych posług publicznych;— mógł po sto tysięcy dawać na Jezuitów, a niedarował choćby dziesią-

tęj części tej summy krajowi, którego skarb, któż, niewie w jak opłakanym stanie znajdował się za Jana Kazimierza i Michała.

W kaplicy kongregacyi św. Trójcy znajduje się jego portret, malowidło mierne, ale podobające się wyrazem naiwnej prawdy. Pan wojewoda z fizyonomiją chudą, pełną charakterystyki, poważną, rzekłbyś tetryczną, ręce ma chude, białe, z palcami dziwnie wymuszenie ułożonemi (może wina złego rysunku), trzyma się za pas, okręcony na bogatym palijowym żupanie, zaszpilonym gęsto na guzy z drogiemi kamieniami. Wkoło portretu napis *po polsku*, opiewa jego dobrodziejstwa dla Jezuitów.

W lewej nawie kościoła jest kaplica św. Felicyana rycerza i męczennika, z ciałem tegoż świętego, podarowanem przez Krzysztofa Zawiszę wojewodę Mińskiego. W ołtarzu wielki krzyż, rzeźbiony, z ukrzyżowanym Chrystusem; pod nim srebrna trumna z relikwijami; na niej spoczywa piękny złocisty hełm, opasany laurem i palmą — insygnium świętego. Zauważyliśmy, że w tej kaplicy, więcej niż w innych punktach kościoła, zbiera się pobożnych na modlitwę. Św. Felicyan był głośnym na całą Litwę patronem; przypominamy sobie pieśń, którąśmy o nim jeszcze w dzieciństwie czytali. Utkwiła nam w pamięci jedna strofa, w której się Mińsk chlubi swoim patronem:

„Gniezno Wojciecha, Kraków Stanisława,

„Miadzioł Justyna, Jana czci Warszawa,

„Wilno słynie Kazimierzem,

„Dla Mińska świętym puklerzem

„Nasz Felicyan.”

W głębi sklepienia ze czterech stron napisy łacińskie, opiewają: że tę kaplicę fundował Krzysztof Zawisza, będąc starostą Starodubowskim; że on, już wojewoda Miński, podarował temu miejscu ciało św. Felicyana, 1713; że podczas pożaru kościoła w 1797 to ciało przeniesiono do kościoła pp. Benedyktynek; że nakoniec

biskup Dederko wrócił je do kaplicy po jej odbudowaniu w r. 1799 *).

W zbroi, w błękitnej orderowej wstędze dał się uwiecznić Zawisza na portrecie, będącym w kaplicy św. Felicyana. Był to człowiek dość głośnych zasług w ojczyźnie, trzy razy był marszałkiem Izby poselskiej, a oprócz województwa Mińskiego, które otrzymał po Władysławie Sapieży, był starostą Mińskim, Czerskim i Doliniskim. Posiadał sławę wysokiego wymowy, i wydał kilka dziełek, jako to: *Odgłos słodko brzmiącej melodyi* (Warszawa, 1728); *Boga nieśmiertelnego w śmiertelnym ciele cierpiącego historia* (Wilno, 1721); *Propositiones Christiano-politicae unitati et pietati animorum bello et paci accomodae* (1695) **).

W zakrystyi katedralnej znajdują się portrety dobroczyńców Jezuickich, jako to: Konstantego Brzostowskiego, bisk. Wil., Szymona Michowskiego kan. Smoleński, Mareyana Ogińskiego kancel. i Marcina - Kazimierza Wołodkowieza; — wszystkich tych portretów malowanie mierne, pod ostatnim z nich cyfra *LD.* zapewne oznacza malarza. Taż mierność pędziła cechuje portrety kononików i prałatów Mińskich, (pomiędzy którymi figuruje xdz Katenbryk, pleban Nieświężski, głośny z pamiętników Soplicy dworak Radziwiłłowski). Późniejsze atoli obrazy są lepsze, jak kopijowany z Damela portret xdz Pawła Rawy, byłego administratora dyecezyi Mińskiej.

*) 1. Sacellum hoc suis impensis restaravit. Illus. Christophorus Zawisza praefectus Staroduboviensis.

2. Corpus S. Feliciani martiris huic loco donavit Illmus Christophorus Zawisza palatinus Minscensis.

3. Post incendium hujus templi collocotum fuit divum corpus i Ecclesia Monialium S. Benedicti 1797 die 16 mensis 7bris.

4. Tandem ad novam cathedram huic capellae restituit Jacobus Dederko Episcopus Minscensis 1799 d. 24 mens. Junii.

**) Ob. *Niesiecki* T. X, str. 111.

Tyle z pobieżnego przeglądu katedry Mińskiej możemy o niej powiedzieć. Niestało nam czasu i możności zwiedzić sklepy grobowe, lub drapać się na dzwonnice, gdzie za czasów Jezuickich był niezmiernie wielkości dzwon, zwany Janem Sołłohubem (sprowadzony z Królewca w 1750 r. i przedtem umieszczony w drewnianej dzwonnicy), z którego biskup Dederko kazał ułać dwa inne. Jeden z tych dzwonów, *Jakób*, imiennik biskupa, dotąd uważa się za największy ze wszystkich dzwonów, jakie się znajdują w świątyniach katolickich, w Mińsku.

Rzucając ostatni wzrok na mury świątyni, przychodzi oddać sprawiedliwość usiłowaniom odnowienia jej w latach 1853 i 1854; ale trudno niewestchnąć nad niedosyć trafne dzieło. Zachowano nieco więcej prostoty, ujęto nieco dawniej pstroczyny starego Dederkowskiego stylu, odnowiono ambonę, odświeżono freski na sklepieniach — wszystko powleczone kolorem białym, nieszczędząc złoconych ozdób; ale stworzono całość nieszykowną, zatarto cechę antyczną a nienadano nową.

To nasze wrażenie może jest zanadto kapryśne i stronne; — nie dziw: bo mamy oczy popsute wrażeniami świątyni Wileńskich, pięknych, tchnących prostotą, albo duchem świętej starożytności, który z nich wieje, duchem dziejowych wspomnień, których w stolicy Litwy tak pełno.

Drugim z kolei, który ocalał w Mińsku, jest kościół *Bernardynów*, których tu fundował Andrzej Kęsowski, w r. 1624, jak się to na właściwym miejscu opowie. Świątynia w skutek kilkokrotnych w ciągu wieków pożarów i przebudowań, uległa wielu zmianom. Niemając czasu szczegółowiej rozpatrywać innych ozdób kościoła, a nawet sprawdzić, czy są tu groby Zawiszów, o których wspomina Niesiecki, zwróciliśmy uwagę na obrazy. Opiszmy je według notatki tegoż A. Szemesza. Cztery z nich godne są uwagi, a mianowicie: Św. *Tekla* w pół leżąca w jaskini, krzyż przyciska do piersi, oczy ma wzniesione w górę, zielona draperya

okrywa jej ramiona i piersi. Sw. *Maryja Magdalena*, także w ja-
skini, także na wpół leżąca, wsparta na rękę; ale różowa dra-
piera niewiele ją osłania. Artysta chciał wykazać piękne kształty
pokutnicy; ale snadź ideał piękna kobiety zasadzał na dobrą tu-
szy, więc nieszczęśliwie tego rodzaju wdzięków swojemu przedmio-
towi. Obraz niema gracyi, ale się odznacza poprawnym rysun-
kiem. Grupa *Jeżus Maryja i Józef*, stanowi dosyć dobry obra-
zek; Maryja w głębi, dziecko w cieniu, a św. Józef, stanowiący
główną postać obrazu, przez szczególną fantazyę artysty dostał
czoło pochmurne, wzrok groźny, tak, „że (mówi o sobie P. Sze-
„mesz) będąc dzieckiem w szkołach, lękałem się patrzeć na to
„malowidło.“ Obraz św. *Anny z Najśw. Panną i dzieciątkiem*
Jeżus, podoba się swoją naiwnością. Artysta nieumiał się pod-
nieść do nadziemskiego ideału, trochę gminnie pojął i wykonał
zadanie. Najświętsza Matka, trzymająca pieluchy, jestto sobie
pospolita kobieta, młoda, różowa, uśmiechnięta; św. Anna, dobro-
duszną babula, w czepcu z szerokim garniowaniem, patrzy z roz-
koszą i miłością na wnuka, który się z kolan matki do niej uśmie-
cha. Cztery te obrazy, niebędąc arcydziełami, stoją wyżej nad
mierność.

W zakrystyi kościelnej są trzy wcale dobre portrety: jenera-
ła Morawskiego, Staniszewskię i Czapskię, dobroczyńców klasz-
toru. W drugiej zakrystyi mierne malowidła przedstawiają kil-
ku ze szlachty, których nawet nazwisk nie wiemy, a między in-
nemi portret sławnego Wołodkowicza, rozstrzelanego w Mińsku
podczas Trybunału w 1760 r. Głośny ten hajdamaka musiał być
dobroczyńcą Bernardynów, musiał u ich konfessyonałów łać łązy
pokutne, a hojnemi jałmużny, które syłał na ołtarze Pańskie,
spodziewał się okupić przebaczenie za swe excessa. Więc to nie-
był człowiek bezbożny, zdolny z rozmysłem targnąć się na kru-
cyfix; ale po prostu, za życia młody hulaka, jakich w Polsce
było niemało, a przy zgonie—męczennik ducha partyi.

Zanadto mało uzbierawszy materyałów, co do kościoła i klasz-
toru Bernardynów tutejszych, chcieliśmy mieć objaśnienia od sa-
mych zakonników; ale uproszony przez nas jeden z naszych przy-
jaciół o zebranie miejscowych materyałów, trafił na zły humor
miejscowej władzy. Zbyto go ni tém ni owém, odmówiono po-
kazania xiąg wizytowych, niepokazano nawet biblioteki, która od
pożaru zostaje w nieładzie (*sic*). A ten pożar był w r. 1835!!
więc przez lat dwadzieści nieprzybrano się do uporządkowania
xięgozbioru!!—W braku materyału i to materyał: ujdzie przysz-
temu wydawcy dzieł Krasickiego na notę historyczną do jego *Mo-
nachomachii*, gdzie ojciec Elizeusz mówi:

„... Wiem z dawniej powieści,

„Że tu w klasztorze jest biblioteka;

„Gdzieś tam pod strychem podobno się mieści,

„I dawno swego otworzenia czeka.

„Był tam brat Alfons, lat temu trzydzieści,

„I z starych xiązek poodzierał wieka.

„Kto wie? ..“

Kościół PP. *Benedyktynek*, przy ulicy Zborowej, oprócz sta-
rych obrazów św. Benedykta i Scholastyki oraz kilku staroświec-
kich argenterij, niezwrócił szczególnej naszej uwagi. Zewnętrzna
jego postać, z facyatą i dwoma wcale kształtnymi czworoboczne-
mi wieżycami, podoba się swoją staroświecką strukturą, miano-
wicie wśród Mińska pełnego budowli nowoczesnych—gdzie jak-
by naumyślnie zacierano wszystkie, jakie być mogły, cechy prze-
szłości. Tą wdzięczną wonią starożytnej pleśni technie wspania-
ły, niepobielany, dziś pustką stojący kościół *Franciszkanów*, przy
ulicy tak zwanej nowo-Franciszkańską, w stronie Nizkiego ryn-
ku. Dawny kościół *Dominikanów*, o którego założeniu na wła-
ściwem miejscu powiemy, dziś wspólnie z klasztorem służy na po-
mieszczenie Rzymsko-Katolickiego seminarjum. Oprócz kościo-

łów, Mińsk posiada jeszcze parę kaplic w obrębie miasta, jako to: w murach tegoż seminarium i w domu Dobroczynności.

W katedralnym Greko-Rossyjskim soborze świętych Piotra i Pawła, świetnie zewnątrz i wewnątrz ostatnimi czasy odnowionym pod okiem pełnych gustu arcybiskupów, na szczególną uwagę zasługuje obraz *Zbawiciela* w stylu Bizantyńskim, wykonany przez P. Xenofontowa, ucznia St. Petersburgskiej akademii sztuk pięknych; obraz ten osadzony jest w ramach, kunsztownie rzeźbionych przez P. Jegorowa. Pomiędzy innemi tegoż Xenofontowa obrazami, które są rozmaitemi kopijami w nowym stylu, jako to: *Zdjęcie z krzyża Chrystusa*, *Pokłon pasterzy*, *Ofiarowanie Pańskie*, *Znalezienie krzyża świętego*, celuje obraz *Zmartwychwstania Pańskiego*; inne zawierają dosyć dobre szczegóły. Odznacza się także obraz P. Sorokina, *Przemienienie Pańskie*. Kosztowały te kopije 2,800 rub. sr.

Wyznanie Greko-Rossyjskie posiada jeszcze sobor św. Katarzyny na końcu miasta i cerkiew na przedmieściu Pereśpie, przy traktie do Wilna, oraz pięć kaplic, jako to: domową arcybiskupa, w seminarium, w łazarecie miejskim, w łazarecie wojskowym i w więzieniu.

Wspomnieliśmy już o kościele Luterskim na Nowém mieście, zbudowanym przed dziesięcią laty a celującym piękną architekturą.

Z wyznań niechrześcijańskich, Tatarowie mają tutaj swój meczet, Żydzi jedną synagogę, oraz 10 murowanych i 15 drewnianych domów modlitwy.

Cmentarzów Mińsk liczy 9, t.j. dwa Rzymsko-katolickie (na Złotej górze i w Kalwaryi), dwa Greko-Rossyjskie, jeden Luterski, jeden Mahometański, dwa Żydowskie okopiska i cmentarz zwany Rudzienie przy traktie Kojdanowskim.

Z tych wszystkich miałem zrzeczność zwiedzić tylko jedną Kalwaryę. Zawsze w towarzystwie zacnego Szemesza, pięknym ma-

jowym wieczorem, pojechaliśmy obejrzeć ten arystokratyczny cmentarz Miński, położony w zachodnio-północnej stronie miasta, o trzy wiorsty od jego murów. Cienista brzoźowa aleja czyniła miłszym majowy chłodek wieczorny; widok bujnych zbóż dodawał serca, tak, że człek w rzewnym ale niesmutnym usposobieniu ducha, jechał zwiedzać miejsce wiecznego odpoczynku. Stanęliśmy przed murowaną cmentarną bramą, będącą czymś grobowym pomnikiem, ocienionym gęstemi drzewami, z po za których malowniczo wyglądały murowane nagrobki. Zwierzchność plebanijalna nieodmówiła nam kluczów do kaplicy, którąśmy w milczeniu zwiedzili. Sama kaplica, zbudowana w pierwszych latach bieżącego stolecia przez obywatela Pawlikowskiego, ma za wielkim ołtarzem majestatyczny fresk, wyobrażający górę kalwaryi Jerozolimskiej, smutną krzyżową Gólgotę. W środku tego fresku, wielki w złoconych ramach obraz Chrystusa w Ogrójcu, uważa się za jedno z najlepszych dzieł Damela. Pod temi symbolami męczeństwa i śmierci, pod tarczą dzieła własnego pędzla, pod wielkim ołtarzem spoczywają zwłoki samego Damela. Ani w kaplicy, ani na zewnętrznej jej ścianie nie masz nagrobku artysty—własny utwor służy mu za mauzoleum *). W tejże kaplicy, oprócz głównego ołtarza, dwa boczne niby ołtarze stanowią dwa grobowce; w jednym z nich, po prawej stronie od wejścia, spoczywa Mateusz Lipski, biskup Miński, urodzony 1771, zmarły 1839 r.

Przebiegliśmy cmentarz precudnie ocieniony drzewami. Obejrzeliśmy parę czy trzy grobowcowych kaplic i kilka ładnych nagrobków; ale obcy przychodzień, niechciałem profanować popiołów zmarłych nieznajomych mi ludzi, zimnem odczytywaniem ich

*) Już po bytności naszej w Mińsku otrzymaliśmy wiadomość, że w upływie 1855 lecie piorun uderzył w Kalwaryjską kaplicę i uszkodził nieco wspomniany Damela obraz.

nażwisk, pierwszy raz z nagrobków dowiadując się, że żyli na świecie. Szukałem nagrobków najprostszych, najstarszych, szukałem imion głośnych w kraju; ale to wszystko jakoś mi się wymykało. Niewiedząc o tém, pomijałem obojętnie grobowce ludzi może i wielce zasłużonych w kole rodziny i przyjaciół, albo w gronie współ-obywateli. Lękałem się ubliżyć nieznanomój mi cności lub zasłudze. Czułem, że człowiek obcy, z suchém okiem i zimném sercem, jestem tu nie na miejscu — i wstydziłem się mojej nieczułości. Dla obudzenia w sobie interesu ku tym prochom, których pamięć jest święta dla tylu ludzi miejscowych, stawilem się w położeniu rodziców, dzieci, małżeństw, kochanków, lub ziomeków; bolałem ich boleścią, wierzyłem całą duszą w prawdziwość cnót i szczeróść żalów wypisanych na grobowcach: bo nieznając ani tych, co zmarli, ani tych, co pozostali, jakież miałem prawo niewierzyć? Wieczor szarzał — zadzwoniono w kaplicy na *Anioł Pański*, — szepeąc pacierze opuściliśmy cmentarz, obdarzywszy małą jałmużną miejscową żebraczkę, która upewniała nas, że się pomodli za zdrowie nieboszczyków.

III.

Strona moralna. — Chęci i środki oświaty — Zakłady dobroczynne.

Dziwicie się może, iż w pierwszym rozdziale starannie wliczając kramy i sklepy handlowe w Mińsku, niewspomnieliśmy wam ani o jednej xięgarni. Pominęliśmy tam rozmyślnie tę gałąź handlu, aby o tém obszerniej pomówić. W Mińsku istnieją dwie małe xięgarnie Żydowskie, z których jedna poczyną wydawać dzieła własnego nakładu; ale byłby niesprawiedliwy, kto by mniemał, że te skromne zakłady xiążkowe wystarczają wszyst-

kim potrzebom tutejszój publiczności. My sami, przed bliższém poznaniem Mińska, byliśmy tego zdania; ale spotykając się wszędy z ludźmi, którym xiążki niesą obce, widząc niewielkie ale stałe wpływy, jakie mają Wileńscy bibliopole z Mińska, dostrzegłszy tu liczne stosunki literackie z Warszawą, Petersburgiem, a nawet zagranicą, — przekonaliśmy się z przyjemnością, że czytanie zostało już tutaj potrzebą życia. Przez delikatność nieśmiejąc wymieniać osobistości, musimy zamilczeć o kilku posiadaczach zamożnych bibliotek, z których chętnie ucząca potrzebujać stawy duchowej. Mógłbym wymienić niektórych zamilowanych właścicieli dzieł rzadkich, pięknych obrazów i zbiorów starożytności, kilku mieszkających tutaj literatów, malarzów, muzyków — a towarzystwo takich ludzi niemoże nie wpływać korzystnie na innych, témbardziej, że w Mińsku pomiędzy ludźmi zamilowanymi w nauce lub sztuce dostrzegłem więcej harmonii, a mniej ducha koteryi. Zresztą, od kilku lat istniejąca i ciągle zatrudniona drukarnia J. Dworca i wcale nie zła litografija Falka, dowodzi, iż tutaj, jeżeli niekwitnie, to przynajmniej stale tętni życie umysłowe. Jeżeli już koniecznie potrzeba czynić zarzuty publiczności Mińskiej, to mamy na sercu jeden, a mianowicie: zbyt słabe opiekowanie się miejscowym teatrem, tą piękną zabawą ludzi ukształconych — ku której wszakże za mało dostrzegliśmy współczucia. Jakkolwiek teatr w Mińsku może nieodpowiadać sprawiedliwym wymaganiom publiczności, wszakże, aby go postawić na wyższém stanowisku, inicjatywa należy do samej publiczności: bez zasobów i bez współczucia, świątynia Talii ani się dźwignąć, ani wywierać swych wpływów nie może.

Na tych kilku słowach zmuszeni na ten raz przestać co do wykształcenia dojrzałych osób, rzucmy okiem na liczbę zakładów naukowych dla młodzi i cyfrę w nich uczniów. Mińsk posiada:

1. Szkołę wstępną czyli parafijalną, w niej uczniów około — — — — —	80.
2. Szkołę dla początkowego kształcenia się ubogich dziewcząt—uczennic około — — — — —	30.
3. Szkołę powiatową dworzańską — uczniów	150.
4. Powiatową szkołę dla duchownych Greko-Rossyjskich — uczniów — — — — —	110.
5, 6. Dwie szkoły rządowe dla Izraelitów—uczniów — — — — —	85.
7. Gimnazjum — rocznie uczniów około — — — — —	400.
8, 9, 10 i 11. Cztery prywatne pensye żeńskie—uczennic około — — — — —	260.
12. Seminarium Rzymsko-katolickie—uczniów	80.
13. Seminarium Greko - Rossyjskie — uczniów	130.
	1285 *).

Gdzie w trzynastu zakładach naukowych pobiera wychowanie corocznie około półtora tysiąca młodzi płeć obojęt i wszystkich wyznań, tam żadną miarą niemożna pomawiać ogółu o obojętność dla oświaty. Cyfra ta niezawstydzi Mińska przed Wilnem, gdzie roczna liczba wychowanców wynosi około 2270 **)—jeśli zważymy, że Wilno jest stolicą Litwy, że w niem zakładów wychowania jest dwadzieści cztery, że Wilno jest półtrzecia raza ludniejsze od Mińska, że w gubernii Wileńskiej niema innego gimnazjum, w Mińskiej zaś gimnazjum Słuckie odciega młodzież z czterech lub pięciu zachodnich powiatów.

*) W r. 1841 było w ogóle wychowanców 976: w ciągu przeto lat piętnastu liczba uczniów, a zatem poczucie potrzeby wychowania powiększyło się o jedną trzecią.

**) Ob. Pamiętnik statystyczny gubernii Wileńskiej rok 1852, str. 176.

Przejdźmy następnie do zakładów filantropicznych w Mińsku. Tu znowu powołujemy się na wymowne świadectwo cyfr.

1. Towarzystwo Dobroczynności założone w Mińsku staraniem biskupa Dederki (o czém obszerniej w ostatnim peryodzie kroniki powiemy) utrzymuje osób — — — — —	70.
2. Szpital w téjże dacie założony — osób — — — — —	106.
3. Łazaret miejski — osób — — — — —	547.
4. Dom obłąkanych — — — — —	27.
5. Oddział nieuleczonych — — — — —	10.
6. Dom zestarzałych szlachetnych kobiet — — — — —	14.
7. Dom przytułku dla dzieci — — — — —	90.
8. Łazaret Żydowski—osób — — — — —	1279.
9. Szpital przy łazarecie — — — — —	50.
10. Łazaret wojskowy, w którym w 1854 liczyło się osób — — — — —	5213.
	7,406.

Kilka słów historii każdego z celniejszych zakładów miłosierdzia publicznego w kronice pod właściwą datą powiemy.

Tak mniej więcej dokładnie oznajomieni z obecnym stanem Mińska, przystąpmy do skreślenia kroniki jego przeszłości.

KRONIKA MIASTA MIŃSKA.

PERYOD PIÉRSZY.

PANOWANIE RUSI I LITWY.

I.

Czasy Krywiczán—Rogwołod—Zawojowania Włodzimierza W.—Rogneda i Izasław—Jego następcy—Piérwsza wzmianka o Mińsku—Jego zdobycie—Wszesław kniaz Miński—Wieszczy Bojan był w Mińsku—Zatargi kniazów Mińskich z Kijowskimi—Włodzimierz Monomach cztery razy Mińsk pustoszy—Zachwianie się staréj dynastji kniazów Mińskich—Mścislów i Izasław kniazowie Kijowscy—Ocalona jedna latorośl kniazów Połockich—Rościslów i Wołodar—Ich zatargi z Rogwołodem—Słówo o Litwinach—Ich piérwsze zdobycie—Najście Tatarów na Ruś—Boje Mendoga z Tatarami—Mińsk ostatecznie przechodzi pod panowanie Litwy—Dalsze wypadki aż do złączenia Litwy z Polską—Chrześcijaństwo—Zamknięcie piérwszego peryodu.

Pomiędzy Niemnem, Prypecią, Dźwiną i za Dźwinę prawie aż do miasta Izborska ciągnęła się w IX wieku przestrzeń, osiedlona trzema plemionami Słowian. Dregowiczanie, Krywiczanie i Połoczanie zamieszkiwali te piękne, ale dzikie wtedy, przestrzenie; kilka małych miast, na czele których był Połock, rozrzucone jak oazy po niezmiernéj pustyni, skupiały nieco ludność rozpierzchłą po lasach, koczującą po wybrzeżach rzek, albo zaledwie poczynającą się osiedlać i karczować w lasach drobne polanki.

Nad tą niezmierną przestrzenią ziemi panował, około r. 980, niejaki Rogwołod, przybylec od Normanów czy Waragów, którzy przed stu z górą laty przyszli panować nad pojedynczemi dzielnicami Rusi. Ludzie rycersey łatwo narzucili swe prawa spokojnym plemionom tubylców. Ale eicho dla dziejów upływało ich panowanie. Tylko Gniezno, Wielki-Nowogród i Kijów, na przestrzeni całej Słowiańszczyzny, poczęły kipieć ruchem wiążących się w polityczne ogniwa społeczności; to polityczne życie poczynalo się od kolonizacji wewnętrznych i podbojów zewnątrz państwa.

Jaropełk, a potem Włodzimierz W., jeszcze zostający w pogaństwie wieley xiążęta Kijowscy, siłą zwyciężkiego oręża opanowywali sąsiednie posiadłości. Panowanie Rogwołoda, którego stolicą był Połock, ciągnęło się, jakęśmy rzekli, od Niemna i Prypeci, aż daleko na drugą stronę Dźwiny,—obszar za nadto szeroki, aby niemiał zwrócić uwagi cheiwego zaborów Włodzimierza. Rogwołod miał piękną córkę, imieniem Rognedę; tę Włodzimierz pragnął pojąć za żonę. Ale Rogneda, zaręczona komu innemu, ze wzgardą odrzuciła ofiarę władcy Kijowa. „Niecheę—mówi,—ja—ściagać obówia synowi niewolnicy“ *),—stosując te słowa do gminnego pochodzenia Włodzimierza **). Ta wzgarda dostatecznym była pozorem Włodzimierzowi do najechania państwa Rogwołoda: zdobył Połock, zamordował samego Rogwołoda i dwóch jego synów, ziemie ich przyłączył do swych posiadłości, a Rognedę gwałtem poślubił.

Owocem tego związku był Izasław, najstarszy z dwónastu synów, których miał z kilku żon Włodzimierz.

*) Trojecka kronika, cytowana u Karamzina, Tom I, nota 420.

**) Włodzimierz był synem kniazia Świętosława i prostéj niewiasty, córki Malka Lubeczanina. Xiążęta owocześni, będący w bałwochwalstwie, miewali po kilka żon.

Wdzięki Rognedy niedługo nasycali zmiennego Włodzimierza. Bolejąca po stracie ojca i braci, opuszczona od męża, w samotnym ustroniu w okolicach Kijowa, mieszkała biedna Rogneda, przezwawszy się *Horyslawą* (od wyrazu *hore*, bięda), na znak smutku, który był jej udziałem. Gdy ją w tej samotności odwiedzał, zmienny Włodzimierz razu jednego krzepko usnął, zrozpaczona Rogneda postanowiła przebić go nożem. W chwili ciosu książę się ocknął, rozbroił niewiastę i wydał na nią wyrok śmierci. W jasnej komnacie, ubrana jak do ślubu, na bogatym łożu oczekiwała oprawców. Przybył zagniewany małżonek, zebrała się rada sędziów, gdy mały Izasław, syn Włodzimierza i Rognedy, rzekł podając miecz ojcu: „Czy sam tylko chcesz żyć? czy sądzisz, żeś nieśmiertelny? weź ten miecz, wbij go w moje pierś, niech niewidzę zgonu matki mojej!” Rozrzucony Włodzimierz odpowiedział rzucając oręż: „Któż wiedział, że ty tutaj byłeś!”^{*)}. Oddalił się potem, zebrał bojarów, pytając: co porządzić? „*Monarcho!*— odpowiedzieli— *przebacz winnej dla tego państwa, a oddaj im dzielnicę ojca Rognedy.*“ Włodzimierz przystał na tę radę, zbudował nowe miasto, nazwawszy je *Izasławiem*, i tam osadził matkę i jej syna.

Przytoczyliśmy ze starych kronikarzy ten wypadek, dla związku, jaki ma z naszym przedmiotem. Miasto Izasław o cztery mile od Mińska położone, nazywające się dziś Zasławiem Litewskim, zostało pierwszą w tych miejscach stolicą książąt Połockich. Izasław otrzymał razem od ojca Połock, posiadał więc całą dzielnicę swojego dziada po matce, Rogwołoda. Mińska jeszcze wtedy nie było, albo może był lichym siódmą niezasługującym na wzmiankę dziejów, jakimś może punktem handlowym do którego zbierali się Słowianie dla *zamiany* swych płodów, co zda-

^{*)} Nestor w kronice Nikona.

je się wskazywać jego nazwisko Mińsk, czyli właściwiej *Miensk*, bo tak go od najdawniejszych czasów mianują kronikarze^{*)}.

Izasław syn Włodzimierza umarł 1001 roku; po nim na księstwo Połockie i dzielnicę Zasławską nastąpił syn jego, Bracisław, czyli Wrotysław, jak go nazywają Norwegscy kronikarze. O tym kniaziu Połockim to tylko z dziejów wiadomo, że w r. 1021 walczył ze stryjcem swoim Jarosławem, w. księciem Kijowskim; ale pobity, musiał się z nim pogodzić, i wrócił do Połocka, gdzie umarł 1044 r.

Wszesław syn Bracisława bardziej się upamiętnił w historii. Cheiwy krwi i panowania, niedosyć mając na księstwie Połockim, przypomniawszy, że dziad jego Izasław był starszym synem Włodzimierza, umyślił młodszą linię, (to jest Izasława syna Jarosławowego) spędzić z wielko-księżęcej Kijowskiej stolicy. W tym celu zimą 1067, obleżył Psków, zdobył Nowogród, zabrał tam do niewoli mieszkańców i złupił cerkwie. Na wieść tych zaborów przerażeni synowie Jarosława, zapominając o wzajemnych niezgodach, nieuniknionym skutku zgubnego udziałowego systematu, podali sobie ręce, aby w odwet pustoszyć posiadłości Wszesława. Niebacząc na ostrość zimy, oblegli *Mińsk*, będący przynależnością Połockiego księstwa.

^{*)} O nazwie Mińska od zamiany, jest to naturalnie hipoteza, której nie już rzeczywistość, ale prawdopodobieństwo, śmiemy stanowczo utrzymywać. Takie zamiany (po rusku *mieny*) płodów pomiędzy rozmaitymi pokoleniami Słowiańszczyzny, miały miejsce od najdawniejszych czasów. Kraje, jak nasz, rolnicze, miały do dania chleb, a potrzebowały żelaza, i t. p. przedmiotów pierwszej potrzeby lub zbytku od sąsiednich plemion. Mińsk zresztą, leżący pomiędzy handlowym Nowogrodem a zamożnym Kijowem, mógł być środkowym punktem czy przystanią zamiennego handlu pomiędzy pewnymi pokoleniami Słowiańszczyzny.

Tak poraz pierwszy występuje na widownię dziejów, miasto, którego kronikę pisać przedsiębiorzemy; ale to jego pierwsze wystąpienie w jakże okropnym jest stanie! Mała, snadź drewniana, na brzegach rzeki Świsłoczy położona miejscina, nie mogła się oprzeć wojskom Izaśława i jego braci. Wszesława nie było co by je broń; zwycięzcy owych wieków nie umieli skromnie używać zwycięstwa. Zapalono domy, zabijano bezbronnych i niewinnych mężczyzn, niewiasty skazano na hańbę, a dzieci brano na tarcze, jak pisze Nestor, to jest, oddawano w niewolę rozjuszonemu żołdactwu *).

Wszesław pędem wileczym, jak śpiewa pieśń o Igorze, śpieszył na odsiecz swojemu miastu. Zwycięzca zalawszy je krwią i zasypawszy popiołem, już począł odeń odstępować, kiedy nadciągnęły zastępy Wszesława. Pod Mińskiem, nad rzeką Niemihą, zeszły się dwa nieprzyjacielskie wojska, i krwawa bitwa miała miejsce ostatnich dni lutego 1067 r. „Głowy padały, jak snopy w stodole uderzane twardym cepem; dusze wywiewały się z ciała, jako zboże z plewy; kości ludzkie zasiały wybrzeża Niemihy, jako ziarno rzucone na rolę“ **). Wszesław pokona-

*) Karamzin, Hist. państwa Ross. T. II, str. 43, wydania Ejnerlinga, 1842.— P. Narbut, T. III, str. 228, odnosi założenie Mińska do roku 1066, powołując się na Latopisiec Daniłowicza, str. 217; ale w miejscu cytowanym niema wzmianki o tém założeniu, tylko w nocy pod r. 1067 wzmiankuje Mińsk, jako miasto obrotne — Niemogło być takim w rok po swém założeniu.

**) Tak poetycznie maluje tę walkę śpiewak sławnej pieśni o Igorze, zwracając się pamięcią do starych czasów. Tutaj sprostujemy błąd Karamzina, co do miejsca, gdzie była stoczona ta bitwa. Dziejopis Rosyjski w texcie II tomu swój Historii (str. 43 wyd. Ejnerlinga) powiada: „Wszesław zszedł się z nieprzyjacielem na brzegach Niemi, „pokrytych głębokim śniegiem;“ a w nocy do tego miejsca, cytując Nestora, pisze: „Kronikarz nazywa rzekę Niemen Niemizą.“ Tak nie jest: bo Niemen najbliżej o mil 12 od Mińska płynący, wcale nie-

ny, cofnął się z niedobitkami, ale poszedł w stronę Kijowa, snadź pragnąc zdobyć stolicę owocześniejszej Rusi. Przerażony tym krokiem, Izaśław rozpoczął z nim rokowania, a przysięgą i słowem

był na drodze Wszesława, a w żadnym języku albo narzeczu nienazywał się nigdy Niemizą. Ale pod Mińskiem, a raczej w samém mieście, w jego starej stronie, na wschodnią północ, jest wyschła dzisiaj rzeka *Niemiha*, nadająca swą nazwę całej tej stronie miasta. Wypływając z gór i okrażywszy fortyfikację starego już nieistniejącego zamku, wpada do Świsłoczy. Latem jest tylko suchy ślad jej łożyska śródkiem ulic; na wiosnę zaś Niemiha wzbiera dosyć gwałtownie i zalewa ulice, tak iż Niemizanie, jak drudzy mieszkańcy Wenecyi, na gondolach swe komunikacje odbywać muszą. Jest tradycja, że Niemiha niegdyś ciągle płynęła. Nad tą tedy Niemihą, to jest w samym Mińsku, nie zaś nad Niemnem, toczył się w 1067 bój Wszesława z Izaśławem. W pieśni o półku Igora stoi: *на Неміи*, lubo w języku Rosyjskim trzeci przypadek, powinien być *на Неміи*; ale pamiętajmy, że cała ta pieśń jest złożona w języku Cerkiewno-Białoruskim, w którym rzeczowniki rodzaju żeńskiego zakończone na *ia* (siermaha, prysiaha, Niemiha, adwaha), mają trzeci przypadek na *ie*. Karamzin, jako Wielkorossyanin, mógł nieznając Białoruskiego starego narzecza, tak jak my, cośmy go się w codziennych stosunkach z ludem wyuczuli. P. Augustyn Bielowski, tłumacz Pieśni o Igorze na język Polski, chociaż snadź był w przekonaniu, że tam Niemen nazywany Niemizą, dobrze jednak użył zakończeń grammatycznych Polskich, tak, że się rzecz jak w oryginale da zastosować do rzeki Niemihy:

„... ruszył do Niemigi ...

„A na Niemidze gesto ściela głowy

„Snopami i t. d.“ *).

Składamy tutaj dzięki P. Hausmanowi, urzędnikowi Mińskiej Deputacji, iż podczas naszej bytności w Mińsku, zimą w 1854, raczył nam ukazać bieg Niemihy i udzielić kilka wiadomości dotyczących się miejscowej historii, z których w dalszym ciągu tej pracy korzystać nieomieszkamy.

*) X. A. S. Krasinski kanonik kat. Wil. w przypiskach do swego tłumaczenia *Pieśni o półku Igora*, toż samo twierdząc o Niemizie, dodaje, iż wedle mniemania Mińszczan, rzeka Świsłocz, w granicach miasta płynąca, nazywała się dawniej *Niemigą*. *Przyp. Red.*

części zapewniwszy bezpieczeństwo, wezwał Wszesława do siebie. Miało to miejsce pod Smoleńskiem. Łatwowierny Wszesław, przebywszy Dniepr na łodzi, udał się do namiotu krewnego, gdy wnet pochwycyony i odwieziony do Kijowa, w więzieniu oczekiwał niechybnej śmierci. Ale przychylny los mu posłużył. Kijowianie oburzeni na swych xiążąt za przegraną bitwę z Połowcami, podnieśli bunt; Izasława, brata Świętosławowego, zmusili do ucieczki i szukania schronienia w Polsce, a Wszesław xiążę Miński, uwolniony z więzienia, okrzyknięty został wielkim kniazem całej Rusi.

Niepozostało bez skutku udanie się Izasława do Polski: dzielny Bolesław Krzywousty przyjął wygnanego Kijowskiego xiążęcia, a dając mu posiłki, wnet z trzema potężnymi zastępami (Acie triplici) poszedł na Kijów. Buntownicy Kijowianie wyszli zbrojno go spotkać aż pod Białogródkiem, pod dowództwem Wszesława; ale ten ostatni, lękając się oręża Polaków, odstąpiwszy swych nowych poddanych, uciekł do Połocka. Kijowianie na powrót przyjęli Izasława. Bolesław zaproszony z wojskiem w gościnę do Kijowa, odnowił tam na bramie cięcie szczyrbem Bolesława Chrobrego *) i jak Bolesław Chrobry, ujęty gościnnością Izasława i wdziękami pięknych Kijowianek, całą zimę w stolicy Rusi przegościł **). Wszesław, po krótkotrwałem, bo ledwie siedm miesięcy trwającem piastowaniu tytułu kniazia całej Rusi, stoczywszy jeszcze raz bitwę z Jaropełkiem, bratem xiążęcia Kijowskiego, zaledwie zdołał utrzymać się na Połockiej i Mińskiej dzielnicy.

W lat siedmnaście po pierwszój, Wszesław spowodował drugą klęskę na Mińsk, drugą stolicę swego Połockiego xięstwa. Dumny i cheiwy bojów, niezapominając, że pochodzi od starsze-

*) Marcin Gallus, str. 71.

**) Kromer: De orig. et rebus gestis Polonorum. Coloniae, 1589. str. 57.

go syna Włodzimierza W., na młodszą linię poglądał jako na uzurpatorów. Smoleńsk, Nowogród doznały znowu jego miecza i płomieni. W Kijowie panował spokojny Wsewołod; ale młody syn jego Włodzimierz, nazwany później Monomachem, zanadto gorzał wojennym zapalem, aby miał ścierpieć krzywdy i rozszewnia Wszesława. Oto jak na starość w swym testamencie, przechwalając się ze swych młodych czynów, mówi o klęsce, zadanej posiadłościom Wszesława i jego miastu Mińskowi: „Taż drogą za Wszesławem paliłem ziemie i wojowałem, do Łukomla (dziś w gub. Mohylewskiej), Łohojska (w gub. Mińskiej), i Drucka... I teje jesieni (1084) mając ze sobą Czernihowców i Połowców, Czetejewiczów, najechałem Mińsk, i zniszczyłem go tak, że w nim niepozostało ani pacholęcia, ani sztuki, bydła“... *).

Nakoniec Wszesław 1101 roku, po pięćdziesięciu latach panowania nad Połockiem i Mińskiem, zakończył swe bojownicze życie, syt sławy od końca do końca Rusi; rzadko jednak zdołał wybiegać się troskom, pomimo, że bohaterską jego duszę ogrzewała pieśń poety **).

Tym poetą przy boku Wszesława był Bojan, wielki wieszcz starój Słowiańszczyzny.

Kiedy M. Wiszniewski w I tomie swojej *Historji Literatury* w pół żartem dowodził, że Owidyusz pisał wiersze po polsku, krytyka gazeciarska niezaniechała poważnie go upomnieć za tę śmiałą hipotezę. Choćby nam przyszło ściągnąć na siebie podobną admonicę, wystąpmy z niemniej śmiałym twierdzeniem, a mianowicie: że Bojan, ów Homer Słowiański, najstarszy ze Sło-

*) Ob. Testament Włodzimierza Monomacha.

**) „A choć duch wieszcy bliźnie żywił ciało,
„Rzadko mu troskom wymknąć się udało“ — mówi o Wszesławie śpiewak pieśni Igora, tł. Bielowskiego.

wiańskich wieszczów, *słowik* starych czasów, Bojan, który kiedy tworzył pieśń swoją, to *leciał po ziemi skokiem wilczym, szybował po powietrzu lotem orlim*, a kiedy malował boje, to zda się widziałeś, jak *dziesięć sokołów spada na stado łabędzi*— słowem: że Bojan mieszkał w Mińsku przed ośmiuset laty. Mamy na to świadectwo w stariej pieśni Białoruskiej, w głośnie *Słowie o półku Igora* (Слово о полку Игоревѣ), lubo tam ani wspomniane nazwisko Mińska.

Bojan żył za Jarosława i Świętosława, książąt Kijowskich; bo pieśń powiada (tłóm. Aug. Bielowskiego):

„Światosławowych podziwiał zapasów,

„Bojan, wieszcz starych Jarosława czasów,

„Śpiewał“ i t. d.

Bojan śpiewał Wszesławowi, który panował w Mińsku:

„Bądź chytry, szybki, bądź jak ptak skrzydlaty,

„Nieujdziesz sądom Bożym.“

Bojan nakoniec wspomina Mińską rzekę Niemihę, więc był dobrze świadom miejscowości i bojów Wszesława z Izasławem: bo ten ustęp w pieśni o Igorze jest wyraźnym przytoczeniem Bojanowej pieśni. Mińsk przeto przed innemi Słowiańskimi miastami wiać powinien dank starożytniej poezji, miejscowej pieśni, w tym samym języku, co pieśni naszego ludu śpiewane we żniwa, tylko szerszym polotem, bo za owych bohatérskich czasów obszerniejsze było pole dla piewy.

Ale uczona krytyka, rada zawsze odzierać urok ze starych czasów, krytyka, co rozdrobniła bożkiego Homera na tysiące rapsodów, co zaprzeczyła autentyczności rzewnemu Ossyanowi, podobno i Białoruską pieśń o Igorze uważa za apokryf. Powiedzmy nawiasem, że co do nas, z prostotą wierzymy w autentyczność tych szacownych zabytków, gruntując się na równie prostej uwadze, że człowiek, coby był zdolny stworzyć takie arcydzieła, jak

pieśni o Fingalu, Igorze, albo Pamiętniki Paska, nie miałby potrzeby udawać ich za cudze staroświeckie zabytki. Samo przejęcie się duchem ubiegłych czasów i niewypowiedziana artystyczność wykonania, dałyby mu większe imię w nieśmiertelności, niż imię prostego znalazcy rzeczy szacownych. Podawanie własnego wiekniestej wartości utworu za rzecz cudzą, byłoby niepotrzebnym fałszerstwem, oraz najwyższym stopniem abnegacyi, na jaką się próżność ludzka niezdobędzie.

Przeprosiwszy czytelników za ten ustęp, wróćmy do dziejów Mińska, któreśmy przerwali na r. 1101, t. j. na epoce śmierci Wszesława. Z jego zgonem nieskończyły się kłęski tutejszych miast i prowincyj. Hleb, syn Wszesława, zasiadł na ojcowskim tronie.

Jakby niedosyć zatargów, jakie książęta Połocy mieli z linią panującą w Kijowie, zgubny system podziału prowincyj uzbrajał jeszcze rękę brata na brata. Dawid, brat Hleba, jak się domyślać godzi, pokrzywdzony albo się uważający za skrzywdzonego w podziale Wszesławowych posiadłości, w Kijowie szukał opieki. Tego było potrzeba spragnionym bojów Kijowskim książętom. Liczne ich zastępy w marcu, 1104, wyruszyły oblegać Mińsk, ale na ten raz zostali odparci. Miasto musiało już przybrać postać oborną, kiedy się oparło nieprzyjaciółom, a w lat kilka zadało dosyć trudu Włodzimierzowi Monomachowi, gdy ten po raz trzeci przyszedł je zdobywać. Bowiem Hleb, idąc ślady ojcowskimi, zawsze knuł nieprzyjaźń względem książąt Kijowskich. W r. 1115, wypowiedział posłuszeństwo Monomachowi, spalił miasto Siuck i mieszkańców pomiędzy Prypecią a Dzwina brał w niewolę. Wetując te nieprzyjazne kroki, Monomach wysłał swojego syna, Jaropolka, aby pustoszył Druck, do dzielnicy Hleba należny, a sam udał się oblegać go i znękać w Mińsku. „Począł „stawić warownię naprzeciw miasta— pisze kronikarz *)— co

*) Ob. Kijowski Latopisiec, cytowany u Karamzina.

„ujrzawszy Hleb, przeraził się wielce i począł błagać o przebaczenie. Włodzimierz ulitował się nad nim, a żalując krwie w dni „wielkiego postu wylewanój, dał mu pokój. Hleb z dziatwą i „družyną wyszedł z miasta pokłonić się Włodzimierzowi, który „upomniawszy go za wszystko, zostawił go przy rządach Mińska.“ Inny historyk pisze, że Monomach na prośbę innych książąt, przebaczył Hlebowi jego winę, i starym obyczajem dla niego i jego rodziny wspaniałą dał ucztę.

Ale nie tutaj koniec bratobójczych wojen, których ofiarą padały ziemie i miasta. W lat parę, Hleb znowu podjął rokosz przeciw Monomacha; wojska wielko-książęce stanęły znowu pod Mińskiem, zdobyły go, pojmały Hleba, który jako jeniec zaprowadzony do Kijowa, zakończył tam życie na dniu 13 września 1119 roku. Pozostała w Kijowie jego dziatwa: Wsewołod, Włodzimierz i Rościsław, mieli się z czasem praw swoich dopomnieć.

Wkrótce umarł i Włodzimierz Monomach; upływały lata, zmieniały się czasy; tylko nienawiść dwóch rodów z latami coraz bardziej wzrastała. Bracia Hleba rozdzielili pomiędzy siebie posiadłości obszernego Połocko-Mińskiego księstwa. Oprócz Mińska, który był we władaniu Monomacha a potem syna jego Mściława, na innych tegoż księstwa dzielnicach, jako to: Borysowie, Łohoj-sku, Zasławiu, Połocku, panowali potomkowie Wszesława, czujący swą niepodległość, „jakby (pisze Karamzin) oddzieleni od „Rosyi“, i dalecy od ulegania władzy monarchów Kijowskich. Mściław, syn Włodzimierza Monomacha, postanowił położyć koniec ich groźnemu istnieniu.

Wydał więc odezwę do panujących całej Rusi, i ogłosił rodzaj krucjaty na książąt Połockich.

Dzień 4 sierpnia 1127 r. naznaczony był jako chwila ogólnego upadku prawników Rognedy. W tym dniu pojedyncze oddziały zbiorowych sił Mściława, miały uderzyć każdy na inną stolicę pojedynczych udziałów Połockich. Wola władcy Kijowa

uzbroiła kniaziów na kniaziów, braci na braci. Wybiła godzina: Wsewołod Olgowicz uderzył na Borysów; Izasław syn Mściława zdobył Łohoj-sk; inni, pomimo słowa danego mieszkańcom, obrócili w perzynę Zasław. Pojmano pięciu książąt Połockich z ich żonami i dziećmi, uwięziono ich w Kijowie, a w r. 1129 na trzech łodziach odesłano ich do Konstantynopola, kędy zięć Mściława, Jan cesarz Grecki, udzielił wygnańcom gościnę. Tak upadła na chwilę dynastia książąt Połocko-Mińskich, blisko półtora wieku panująca na swój macierzystej dzielnicy. Krew starego Rogwołoda poszła na cudzą ziemię, pod choragwiami i na żołądce cesarzy Greckich waleczyć z Arabami, gdzie, jak świadczą latopisce, okryli się bojową chwałą. Tylko synowie Hleba: Wsewołod, Włodzimierz i Rościsław, wyzuci ze swój ojcowizny, zostawali w kraju na łasce Mściława.

A Mińsk? w chwili, gdy stracił swych władców, przeżył zaledwie sześćdziesiąt lat swojego istnienia (licząc od pierwszej o nim wzmianki w kronikarzach), a w tym przeciągu sześć razy był ofiarą nieprzyjających nożów i płomieni. Tylekroć wyludniany aż do dziecka, aż do pachółka, w opłakanym snadź musiał zostawać stanie, kiedy Mściław wyprawiwszy za morze starych jego władców oddał ich dzielnice pod panowanie syna swego Izasława.

Szerokie były tego ostatniego posiadłości w tej stronie. Oprócz Połocka i Mińska, które mu nadał ojciec, Izasław od stryja swojego Jaropółka (który po Mściławie posiadał tron Kijowski, gdyż wedle owocześnie obyczajów następował brat po bracie, nie zaś syn po ojcu), Izasław, mówimy, w zamian ustąpionego komu innemu Perejasławia, otrzymał 1133 roku miasta Pińsk i Turów. Ale rozrodzenie się domów udzielnych panujących na Rusi i osadzanie ich na rozdrobionych udziałach, było źródłem wiecznych pomiędzy rodami niechęci. Izasław pozbawiony Turowa, już to z wielkim księżciem Nowogrodu, już to wspólnie z braćmi podno-

sił oręż na stryja, jużto się z nim godził, układał, i w skutek układów obok Połockiej dzielnicy otrzymał miasto Włodzimierz. Już to znowu o Turów i Włodzimierz zmuszony był walczyć z Wsewołodem, który po Jaropołku nastąpił na wielko-książęcą godność w Kijowie (bo się tam panujący zmieniali często, gdzie miecz i wzajemne intrygi pisały kolej następstwa tronu), jużto się z nim kojarzył drogą małżeństw pomiędzy dwoma domami zawartych. Nakoniec uśmiechnęła mu się świetniejsza dola. W r. 1146 bunt wybuchnął w Kijowie, strącono z tronu Igora Olgowicza, a Izasław został naczelnym wielkim kniazem całej wschodniej Rusi.

Ale nad księstwami Krywiczów nieczuł się być panującym z prawa, jeno z mocy oręża. Prawa dawnych włodarzów tej strony, mieczem obróconych w hołdowników, musiały być szanowane, kiedy równo ze wstąpieniem Izasława na tron Kijowski, widzimy panujących na Mińsku synów Hlebowych, Rościsława, Wołodara i Wszesława Wiaćkiem przezwanego u kronikarzy, znowu dawną latorośl potomków Rognedy. Nawet w pewnym względzie szanowano wybioreczą wolę ludów: bo kiedy w 1151 r. Połoczanie przysłanego im z ramienia książąt Kijowskich Rogwołoda, zięcia Izasławowego, stracili z tronu i zesłali do Mińska jakby na wygnanie, zapraszając na swego władcę zięcia Mińskiego Rościsława,— Izasław nieśpieszył z daniem pomocy zięciowi, przestając na imieniu hołdownictwa tych krain *).

Ale Rościsław ledwie przez lat siedm mógł spokojnie panować nad Połoczany. Ludy, a raczej miasta owocześniejszej Rusi, posuwały nieraz aż do swawoli swoją miłość swobody, aż do wiarołomstwa swoje wybiorecze prawa. Rościsław sprzykrzył się Połoczanom; w 1158 r. wezwali Rogwołoda na nowo. Rościsław z wierną drużyną opuścił Połock, pustosząc jego posiadłości, i po-

*) Ob. Karamzin i Latopisiec Kijowski.

szedł szukać sprzymierzenia i ratunku u brata swojego Wołodara, który po jego wezwaniu na tron Połocki, panował w Mińsku. Rogwołod ścigał go, zajął Zasław, kędy rządził trzeci brat Rościsława Wiaćko, i obległszy w Mińsku synów Hlebowych, podał im warunki pokoju.

Wołodar bez sprzeczek ustąpił starszemu bratu panowania nad Mińskiem, sam udając się na wyznaczoną sobie dzielnicę do Gródka. Mińsk wtedy musiał mieć postawę nader obronną, gdy w lat parę po pierwszym oblężeniu, znowu w r. 1160 widzimy pod jego murami wojsko Rogwołoda, który niemogąc dobyć go szturmem, przez oblężenie jeno wymógł na Rościsławie nowe warunki, tylekroć poprzysięganego, tylekroć łamanego pokoju. Niedługo trwał ten pokój: w 1166 Rogwołod znowu pod Mińskiem, znowu napróżno zdobywa go przez sześć tygodni, i w drodze traktatów wyjednywa oswobodzenie kniaziów Wasilewiczów swych krewnych, którzy byli posiedli Zasław, a których Rościsław z Wołodarem zakuli w kajdany. Mszcząc się niepowodzenia pod Mińskiem, Rogwołod uderzył na Gródek, pragnąc go wydrzeć Wołodarowi; lecz musiał się cofnąć, gdyż w tej chwili doszła go wieść, że zmienni Połoczanie wezwali na tron swój Świętosława Wasilkowicza *).

Odtąd zaciemnia się w dziejach dola Mińska i jego władców. Nieskończyły się ich krwawe zatargi z Rogwołodem **); ale niewiemy dokładnej ich kolei. Niewiemy kiedy umarł książę Rości-

*) Ob. Karamzin. T. II, str. 182.

**) Do czasów Rogwołoda i wojen, o których mówimy, historyk Rosyjski Karamzin odnosi kamień znaleziony o 19 wiorst od Orszy z wyobrażeniem krzyża i napisem: „*W lieto 6670 (1171) maja, w 7 dzień, dospiet krest sij. Hospodi pomoci rabu swojemu, Wasilju, w kreszczenji imieniem Rogwołoda syna Borysowa.*“

sław; tylko w latach 1170 i 1183 widzimy na tronie Mińskim brata jego Wołodara, a w 1186 na Łohojsku, więc może i na Mińsku, Wołodarowego syna Wasilka, o którym się jeszcze r. 1195 pobieźna wzmianka w kronikarzach napotyka.

Spytajmy teraz: czém się to dzieje, że całe dynastje znikają z widowni historycznej? Oto: bo już tracą interes ich wciąż jednostajne rozterki, a ten historyczny interes gdzie indziej przenosić się musi. I rzeczywiście, od połowy XII wieku, zwraca już uwagę szczególne plemię, mowa, wiara i fizjonomija nie a nie niepodobne ani do Słowiańszczyzny, ani do Germanów, ani do Finnów, z którymi sąsiaduje. Plemię to wynurza się od Bałtyku i ujścia Niemna, wychyla się z niedostępnych lasów, ubrane w kudły niedźwiedzia, i trąbiąc w róg leśnego zuba niekształtnie wyrobiony, zbrojne w dębowe korbacze i kamienne topory, na małych konikach rozbiega się po Polsce, po Jaćwieży, po Rusi, po Niemczyźnie. Nieczci ani Chrystusa, ani Słowiańskiego Jesse, bo insze ma bogi. Niewciela się w skład potężnych żywiołów Słowiańszczyzny lub Germanizmu, bo przyszło samoistnieć, wywaleczyć dla się ziemię, wywaleczyć własną społeczność. Nazywa siebie Letuwa— a biedne mnichy, po klasztorach piszący pergaminowe kroniki, pocą się nad dójściem: co to za naród i zkąd przybywa? Na prędce klecą jego genealogiję od jakichś morzem przybylców Rzymskich, nieumiejąc dokładnie oznaczyć ani ich imion, ani czasu, w którym przybyli.

Rzecz naturalna, że pierwszym zadaniem podobnego ludu są podboje: Polska, Rossya i Ruś nastęrczyły mu szerokie do nich pole. Pierwsza od czasów Krzywoustego, druga jeszcze od Włodzimierza W., poszarpane na tysiące dzielnic, zabijające się rękami własnych dzieci, dawały otworzyste pole najazdom. Jak Litwini dostali się do ziemi Krywiczian, jak zhołdowali księztwa Mińskie i Połockie, jak kolejno zwyciężyli mieczem, zwyciężeni krzyżem, niestracając swęj narodowości, dali się pochłonać żywot-

niejszemu obcemu elementowi, trudno ze ścisłością dosledzać. To było dziełem wieków.

Cały wiek XIII upłynął na tych śmiertelnych bojach, których wyliczenie oddalając nas od przedmiotu, niewykazałoby dokładnie kolei przejścia panowania nad Mińskiem książąt tego lub owego plemienia. Jeszcze pod r. 1195, jak się rzekło, znajdujemy w kronikarzach wzmiankę o Wołodarze, synu Wasilka księcia Mińskiego, i wnet w tymże czasie występuje na widownię Mingajło, jeden z książąt Litewskich, który panuje nad Mińskiem, syn jego Ginwiłło i wnuk Borys, który jakoby miał rządzić księstwem Połockiem *). Przed r. 1220 również głucha kronikarska wiadomość mówi: że Mińsk należał do posiadłości Erdziwiłła, księcia Litewskiego, synowca znanego w dziejach Mendoga. W 1235, wielki książę Litewski, Ryngold, ostatecznie całą dzisiejszą Czarną i Białą Ruś wcielił do Litewskiego państwa. Głośna bitwa, jaką wygrał w tymże roku pod Mohylną, o kilka mil od Mińska, nad Świętosławem Kijowskim, Dymitrem Druckim i Lwem Włodzimierskim, sprzymierzonymi naprzeciw jego groźnej potędze knia-

*) Wiadomość jednak o Ginwille, jak w ogólności cały rodowód książąt Litewskich Strykowski, ulega wątpliwości dla krzyczących w nim anachronizmów. Strykowski tu, na poparcie swojego zdania, przytacza napis na kamieniu, będącym w rzece Dźwinie pod Dżisną: „*Hospodi pomoz rabu twojemu Borysu Ginwiłłowiczu.*” Uczony starożytnik Litewski, Eust. hr. Tyszkiewicz, widział, opisał i przerysował ten kamień w swém dziele: *Opisanie powiatu Borysowskiego*; ale nieznajdujemy na nim imienia Ginwiłła. „Tak więc, mówi hr. T., kamień ten do innego Borysa odnieść wypada;” dodajmy, może do ojca owego Rogwołoda, którego inny kamień wzmiankowaliśmy wyżej. Cóżkolwiek bądź, do rysu obyczajów staręj Słowiańszczyzny przybywa szczegół, że podobnemi kamieniami oznaczano granice państw, gdyż oba miejsca leżą na pograniczu księstwa Połockiego: kamień Karamzina na południowy, kamień zaś Eust. hr. Tyszkiewicza na północny zachód od Połocka.

ziami Ruskimi, stanowczo go uczyniła tych miejsce panem. Z tychże czasów i podobnie stanowczego znaczenia, jest bitwa stoczona przezeń w następnym 1236 r., pod miasteczkiem Kamieniem (także nieopodal od Mińska), z Pokowiczami i sprzymierzonymi z nimi Rycerzami Inflanckimi, gdzie poległ stary mistrz tych ostatnich, Wolkwin *).

Pojedyńcze na wschodzie i zachodzie Ruskie księstwa, tém trudniej zdołały się opierać groźnej potędze Litwinów, że z łona Azyatyckich stepów wynurzyło się inne rozbojnicze plemię, także nieznane aż dotąd w historii, także tężące duchem podbojów, naród koczujący, jak centaur zrosły ze swym koniem, wytrzymały na znoje, głód i pragnienie, szaloną żądzą łupów pędzony dalej a dalej, po za obręb swego pierwiastkowego gniazda. Tatarzyn, z mieczem i ogniem, już na początku XIII w. ukazał się w państwach wielkich kniaziów Kijowskich oraz ich sprzymierzeńców i wassali. Nielicznie rozsiani po lasach i polach krajowej, uciekali przed nim w popłochu. Perejesław, Czernihów, Głuchów, poszły z dymem płomieni, rzuconych przez wojska Battego i Manggu, wodzów Tatarskich; miasta Razań i Włodzimierz doznały tejże doli; nakoniec w 1240 niezliczone ich siły stanęły pod Kijowem.

Wymównie starzy kronikarze opisują to najście: „W mieście, „w chwili najścia nieprzyjaciela, niemożna było słyszeć, co ktoś „jeden do drugiego mówi, za skrzypem wozów jego, za rykiem „wołów i wielbłądów jego, za rżeniem koni jego. I napełniła „się cała ziemia Ruska zbrojnemi nieprzyjaciół. W większa część wodzów, mających bronić stary Kijów, uciekła; jeden tylko książę Dymitr, z garstką rozpaczonych mieszkańców, odważył się sta-

*) Inni nazywają go Walginus;— za jego czasów Krzyżacy Pruscy i Inflanccy przyjęli jednostajne herby i ubiory. Ob. *Kronika X. Murinusa* w *Bibl. star. pis. Pols.* str. 60.

wie czoło najezdnikom. Zakipiał bój: „pociski zaciemniły po- „wietrze, kopije gruchotały się jak trzaski“, trupów tłoczono kopytami. Tatarzy zdobyli mury Kijowa. Walka i jej okropne dla mieszkańców skutki, trwały ze straszliwą zawziętością: rabunek nieoszczędził nie tylko mienia prywatnych mieszkańców, lecz i cerkwi. Grób Olgi, kości Włodzimierza W., godna uwagi pod względem sztuki cerkiew' Diesiatinna i stara Ławra Peczerska, zarówno doznały zniszczenia. „Daruję ci życie!“ mówił Batty do wziętego w niewolę Dymitra, obrońcy Kijowa, czując dobrze, jak ten dar był pogardliwym.

Wzięcie Kijowa rozbiło ostatnią zapórę pomiędzy bezbronniemi Słowiańskimi państwami a srogą Tatarszczyzną. Nietutaj miejsce wysledzać krwawe ich szlaki po Rusi. Xiążęta, radzi, że się utrzymać mogą na swych dzielnicach, uchylali szyję pod jarzmo, podpisywali zobowiązania się na obelżywy haracz; owszem, przejęci strachem sami stawali w ich szeregi dla walczenia z jednoplemienną bracią lub Litwą. Przytoczmy jeden z takich przykładów, właśnie będący w związku z dziejami Mińska. Xiążęta Haliecy, Daniel i Wasilko, przynagleni obawą, wspólnie z hordami Tatarów wpadli do posiadłości Krywiczkańskich, teraz już bezwarunkowo podległych panowaniu Litwy. Skutkiem tego napadu miała miejsce krwawa porażka Tatarów pod Kojdanowem, 1249 r. Groźny a sławny w dziejach Mendog bronił już tych okolic jako swojego państwa. Przed siedmiu laty, bo w r. 1241, (jak twierdzi Strykowski, a za nim autorowie *Starożytniej Polski*), Skirmunt, xiążę Żmudzki, także w tych stronach pod Kojdanowem otrzymał walne nad Tatarami zwycięstwo.

Mińsk, o kilka mil od Kojdanowa położony i właśnie stojący na drodze Tatarskich zagonów, zanadto już znany i zanadto bezbronny, trudno przypuścić, aby niedoznał śladów krwawej gościnny wojsk chana Tatarskiego, Gajuka, i straszliwego jego na-

miestnika w tych stronach, Kojdhana. Fakt ten z niejaką pewnością notujemy w dziejach miasta.

Jeszcze na chwilę przed temi wypadkami i ostatecznym wcieleniem się ziemi Krywiczan do Litwy, mamy dowody, że Mińsk zostawał pod władzą swoich miejscowych książąt, snadź ze stariej dynastji Rognedy, a mieszkańcy jego, krom władzy książęcej, używali przywilejów, właściwej dawnym Słowianom formy gminowładnego rządu:—gdyż mogli legalnym organem deputacji wynurzać swe sympatyje. W r. 1243, w. książę Moskiewski, Jarosław, wrócił od hordy Tatarskiej przywiozłszy nowy kredens (ярлык) na dalsze sprawowanie swój władzy. Okoliczność ta, zapewniając pod pewnym względem Słowiańszczyznę, że się krwawe najścia Tatarów tak prędko nieponowia, napęliła radością sąsiednie księstwa i ludy. Z wynurzeniem tych uczuć zewsząd śpieszono do Jarosława. „Wrócił Jarosław od Tatarów z uczciwością do swój ziemi—pisze jeden stary kronikarz *)—i pocieszył wielu przychodniów. I przychodzili doń, do krainy Suzdalskiej, ludzie od sławnej rzeki Dniepru i ze wszech stron: Wołyńcy, Haliczanie, Czernichowcy, Perejaślawcy i sławni Kijanie (Kijowianie), Toropeczanie (mieszkańcy Toropca), Mienianie (mieszkańcy Mińska), Mieszczyrzanie, Smolanie, Połoczanie, Razańcy, i wszysey naśladowający jego męztwo.“

I znowu nastaje w historii długie, bo przez połowę stulecia trwające, milczenie o Mińsku. Tylko, kiedy 1307 r. Witenes, założca nowej dynastji Litewskiej, całą Ruś Wschodnią stanowczo wcielił do Litwy, przypuszczamy, że Mińsk, uległszy wspólnemu z okolicznemi miastami i księstwami losowi, począł stanowić nieodłączną część ogromnych posiadłości Gedymina **). Ale

*) U Karamzina, T. IV, nota 37.

**) Gedymin niezaprzeczenie był synem Witenesa; zgadzają się na to Polscy, Pruscy i lepszój wiary Rossyjscy kronikarze. Ale dla ciekawo-

i Litwa, jak niegdyś Ruś, po zawładaniu dawniej Krywiczan ziemi, snadź szanowała prawa miejscowych jej władców. Złączeni z Litwą dyplomatycznym stosunkiem, czujący zarówno z nią dolę i niedolę, udziałowi tutejsi książęta zostawali na dawnych swoich prawach. Za takich potomków stariej tubyleczj latorośli uważać musimy Wasila książęcia Połockiego i Teodora Świętosławowicza książęcia Mińskiego, którzy w r. 1326 zawierali traktat pokoju z miastem Nowogrodem i rycerzami Inflanckimi, w imieniu książęcia Gedymina, całej Litwy, a w szczególności w imieniu swych dzielnic *).

I jest to ostatnia wzmianka o Mińsku, jako oddzielnym księstwie z czasów Ruskich i czysto Litewskich. Zamieniony w jakąś drobną posiadłość, utracił swoje dziejowe znaczenie; kro-

ści przytoczmy tu baśń, skleconą przez jednego z latopisców, którą Karamzin (T. IV, w nocie) zbija i wyśmiewa. „Roku 1317 wielki książę Moskwy, Juryj Daniłowicz, przyszedłszy od Ordy, zasiadł na swojej stolicy, a widząc miasta wyludnione od Tatarów, posłał pewnego Gedyminika do ziemi Kijowskiej i Wołyńskiej i w okolice Mińska, aby w zawojowanych miastach i wsiach zebrał daninę. Z nim wyprawił pewnego posła, sławnego męża, nazwiskiem Borejke, i wielu innych. Ten zaś Gedyminik był mężem dzielnym i wielkiego rosumu; począł brać od ludzi daninę, zbierać skarby, zebrał wojsko, któremu nieskapo płacił, i zawładnął wielu krajami, od których począł się nazywać Gedyminem, pierwszym wielkim książęciem Litewskim.“ Ob. Jarosławska Rodosłowna w bibliotece Synodalnej N. 471). Te podania, mówi dalej historyk Rossyjski, pisane nowszemi czasami, niemają historycznej rekojmi. Okoliczność, że Gedymin przez księcia Juryja Daniłowicza posłany był dla uporządkowania ziem Kijowskiej i Wołyńskiej i zebrania z nich daniny, jest błędna; ze współczesnych kronik wiemy, że Gedymin już w tym roku władał Litwą, i walczył z Niemcami; wiemy także, że Wołyń i Kijów nienależały do Juryja Daniłowicza księcia Moskiewskiego.“

*) Ob. Karamzina T. IV, nota 132, cytowany Nowogrodzki latopisiec.

niki Ruskie przestały śledzić dzieje tych okolic, a przed wzrokiem dziejopisów Polskich albo Krzyżackich zanadto wielka odległość zaciemniła tę stronę;— dzikie lasy ją zakryły.

Kiedy Olgierd z Kiejstutem po śmierci ojca, w r. 1341, wyzuli brata swojego Jawnutę z wielko-książęcej dzielnicy na Litwie, osadzając go na blizkim od Mińska Zaslavin, kiedy wiemy jak później przyległe temu miastu księstwa, Borysów, Pińsk, Szuck, Turów, zostały dzielnicami Olgierdowej dziatwy, napróżno pytamy kronik, co się działo z Mińskiem. Niewiemy nawet z pewnością, czy należał później do Andrzeja brata Jagiełły, który długo panował na Połocku, lubo tego domyślać się godzi, z uwagi, że te księstwa po tyle razy znajdowały się w jednym ręku i stanowiły jakby pewnego rodzaju całość. W roku 1387 Mińsk *leżący na stronie Ruskiej wielkiego księstwa Litewskiego*, z ludźmi, dochodami i służebnymi kniaziami, został ustąpiony Skirgielle mocą przywileju z d. 28 kwietnia tegoż roku. Tymże zapisem objęte zostały miasta i włości: księstwo Trockie, Swisłocz, Bobrujsk, Rzezyca, Ihumeń, Łohojsk, Lebiedziew, Merecz, i wiele innych *). W 1392 te posiadłości przeszły w ręce Witolda.

W takim stanie przetrwał Mińsk pierwsze lata panowania Jagiełły jako w. księcia Litewskiego i zarazem króla Polskiego. Współ z całą Litwą okolice jego przystąpiły do wielkiego Odrodzenia z Wody i Ducha św. za sprawą tegoż króla. Posiadłości Połocko-Mińskie wcielone zostały do zarządu diecezji Wileńskiej, na której katedralnej stolicy zasiadł pierwszy biskup Wasilon, instalowany przez Stolicę Apostolską pośrednictwem Dobrogosta, biskupa Poznańskiego. Nowy biskup Wileński osobiście udał się na Ruś, dla chrzczenia i uczenia wiary chrześcijańskiej mieszkańców, których znaczna część zostawała jeszcze w po-

*) Ob. Narbutta: *Pomniejsze pisma historyczne*. (Wilno 1856) str. 103 i następne.

ganstwie, inna już wyznawała wiarę Chrystusa wedle Wschodniego obrzędu. Godzien tu uwagi otwarty rozkaz księcia Witolda do ciwunów i namiestników księżcych, dowodzący wysokiej tolerancji, jaką tchnęli książęta Litewscy: „Bądź wam świadomo— „pisze Witold *)— iż gdy ku wam przyjdzie książę biskup z tym „listem i moją pieczęcią, sam, tedy wy, moi ciwunowie, zbierzcie „przed nim Litwę, którzy się niechrzcili, a tych ochrzcij biskup, „jako jego wola; a który Rusin będzie, a będzie chciał po swój „woli się chrzczyć, ten się niechaj chrzcij, a który niechce, będzie „w swój wierze. A samemu biskupowi dawajcie jeść, pić dosyć „i jego koniom i jego przewodnikom...“ i t. d.

Jagiełło ze swęj strony, upowazniając biskupa do rozporządzania się wedle woli w dziele propagandy chrześcijańskiej, dozwoliwszy mu zakładać kościoły, gdzie mu się to okaże potrzebnem **), sam wznosił świątynie w Wilnie, Trokach, Krewie, a około r. 1390 założył kościół w Mińsku ***). Gdy wśród tylu prac, jakie zajmowały pierwsze lata panowania Jagiełły, niepodobna było uposażać każdy szczegółowo kościół, tymczasowo zabezpieczono był duchowieństwu przywilejem, wydanym w Lidzie w niedzielę po Trzech Królach 1389 r. I tak, na mocy tego przywileju pleban miał prawo pobierać:

- a) Od każdego ciwuna po sześć owocześnych rubli razem albo czterema ratami do roku;
- b) Od parafijan swoje ustawiczną (zwyczajną) dziesięcinę;
- c) Takąż dziesięcinę z dóbr królewskich, oraz po dwie so-

*) List ten wydrukowany w T. XIV, r. 1840, *Wizerunków i roztrząsań naukowych*, str. 134, z kopii zachowanej w Aktach Kapituły Wileńskiej.

**) Tamże w *Wizerunkach* list Jagiełły, str. 130.

***) Ob. *Starożytną Polskę* Michała Balińskiego i T. Lipińskiego, T. III, str. 418.

chy roli z każdego królewskiego folwarku ze stosowną ilością łąki *);

d) Przy każdym kościele trzy dwory, t. j. zabudowania;

e) Wolność połowu ryb w jeziorach;

f) Nakoniec, wolność utrzymywania po jednej karczmie **).

Na takich zasadach stanął, jakśmy rzekli, w liczbie innych fundacyj pobożnego króla, zakład kościoła parafijalnego w Mińsku, około 1390 r., a we dwa lata potem, t. j. 1392, Mińsk z całą Litwą przeszedł od Skirgiełły pod panowanie Witolda; ale czy tegoż roku niedostał się Świdrygielle, (który opanował Witebsk, a pokonany od Witolda, jako jeniec zaprowadzony został do Jagiełły)? rzecz pozostaje do wyjaśnienia. To pewna, że w lat kilka potem należał do Świdrygielly: bo w r. 1408, kiedy ten książę przejeżdżał do Moskwy, celem proszenia wielkiego kniazia Wasila Dymitrowicza o pomoc przeciw Witoldowi, w orszaku jego znajdował się pewny *Urustaj*, książę czy namiestnik Miński ***). Rzecz godna uwagi, że na sławną bitwę pod Grünwaldem, która miała miejsce we dwa lata później, tylko jedno księstwo Mińskie niewystawiło swój chorągwi na pole, gdzie wszystkie siły Polski i Litwy wystąpiły na śmiertelny bój z Krzyżakami.

Od sejmu Horodelskiego nastaje dla Mińska nowy peryod politycznego bytu, który następnie rozwinie. Na wiekopomnych aktach przyjęcia szlachty Litewskiej do herbów Polskich, oraz submissyi Litwy Polsce i Władysławowi Jagielle, nieznajdujemy podpisów starostów, namiestników lub deputatów Mińskich: dowód, że to miasto zeszło w tej epoce do liczby miast drugorzędnych ****).

*) Dwie sochy roli może znać morg Litewski, bo na zoranie w dzień takiego morga właśnie dwóch soch potrzeba.

**) Ob. tamże w *Wizerunkach* przywilej Władysława Jagiełły.

***) Ob. Karamzin, T. IV, str. 109.

****) Ob. oba te akta w zbiorze praw Litewskich Działyńskiego, Poznań, 1841.

Kończąc tę pierwszą, półpiątą wieku obejmującą, erę miasta, o którym mówimy, uczynmy krótkie studia nad przebieżoną epoką. Treść tego, co się rzekło da się zamknąć w kilku wyrazach. Za peryodu Rusi, Mińsk sześć razy zalał się krwią i wytrzymał sześć oblężeń; dwa razy splondrowali go Tatarowie; a niepodobna przypuścić, aby niepadał ofiarą Litwy, jeśli nie w dawnych czasach, to przynajmniej podczas zbrojnych zatargów Świdrygielly, Jagiełły i Witolda; nakoniec zyskał jedną chrześcijańską świątynię, — i oto całe jego dzieje z pierwszego peryodu. Na pierwszym planie owych wieków stoją bojujący z sobą kniazio- wie: — Władcy Połocko-Mińscy, potomkowie Włodzimierza W., jako potomkowie starszej linii, czuli swe prawa do zwierzchniego panowania nad Kijowem, i tém się tłumaczy ich w tym względzie roszczenia, tak dalece niebezpieczne, że młodsza linia musiała ich nieraz więzić a nawet wysyłać za morze. Ale z drugiej strony, czuli, że w ich żyłach płynie krew Rognedy, której *Włodzimierz W. uroczyście przywrócił dziedzinę jej ojca, panowanie nad Krywiczami*. W rodzie więc Rognedy przechowywał się dalszy ciąg domowej Krywiczańskiej dynastyi, i tém się tłumaczy poszanowanie dla praw książąt Mińskich, jakie mieli książęta Kijowscy. Mściśław był je podeptał; ale syn jego Izaśław uszanował i przywrócił je znowu. I aż do podbojów Litewskich i aż po epoce tych podbojów, krew Rognedy, nieprzerwanym ciągiem szanowana w swych prawach, przetrwała we władaniu ziemi Krywiczów, czyli Krywców: gdyż temi obójgu imionami kronikarze wciąż mianują naród dzisiejszej gubernii Mińskiej, odróżniając go od ludów wielkiemu państwu Kijowskiemu podległych. Następnie ród książąt Połockich musiał wygasnąć: bo nie czytamy u heraldyków, aby który z Litewskich albo Ruskich domów miał się z niego wywodzić. Powtórzmy szereg władców Mińska, od początku naszego opowiadania aż do Horodelskiego sejmu.

I. Przed pierwszą wzmianką o Mińsku:

Rogneda;
 Izasław, syn Rognedy;
 Bracisław, syn Izasława.

II. Po pierwszej wzmiance o Mińsku (szereg ściśle oznaczony):

Wszesław, syn Bracisława;
 Hleb, syn Wszesława;
 Izasław, syn Mściława, w. książę Kijowski;
 Rościsław, syn Hleba;
 Wołodar, syn Hleba, brat Rościsława;
 Wasilko, syn Wołodara.

III. Panowanie Litwy (z przelotnych wzmianek kronikarskich):

Minigajło;
 Ginwillo;
 Erdziwilł;
 Teodor Świętosławowicz,
 Gedymin,
 Jawnuta,
 Olgierd,
 Jagiełło,
 Skirgiełło,
 Witold,
 Swidrygiełło.

Wiele książęta Litewscy.

II.

Studjum nad dawnymi Krywiczami—Wiara—Obyczaje—Urządzenia polityczne.

Tyle o książętach; mówmy teraz o ludu rozsianym na szerokiej przestrzeni od Dźwiny do Prypeci, od Dniepru do źródeł Niemna. Lud ten nosił nazwę Dregowiczów i Krywiczów, mówił narzeczem Ruskim, którego szacowny pomnik pozostał w kilku latopiscach i w głośniejszej Pieśni o Igorze, a który niewiele się różniąc od języka dzisiejszych tutaj kmotków, pod nazwą dyalektu Białoruskiego stanowi przejście od mowy Wielkorosyjskiej do Małoruskiego narzecza Ukrainy. Wyznawał wiarę bałwochwal-

czą, śmiało rzec można, że przez całą epokę, którąśmy zakreslili. Bo lubo Izasław, syn Włodzimierza, wspólnie z ojcem przyjął chrzest święty i obrządek Wschodni, lubo dawni książęta Mińscy budowali cerkwie w Nowogrodzie i nieśli pobożne ofiary do Kijowa i Jerozolimy, lubo potem tolerancja książąt Litewskich pozwalała tu i ówdzie szepić się Łacińskiemu lub Greckiemu chrześcijaństwu; lud zanadto był rozpierzchły, zanadto żyjący pod tajemniczym urokiem wiary swych ojców, aby miał gorliwie śpieszyć do kościołów i cerkwi, pobudowanych w miastach od książąt, którym większa oświata wykazała już całą moralną i polityczną potęgę chrześcijaństwa. Nieznajdujemy przynajmniej dowodów gromadnego chrztu Rusi i Litwy przed Jagiełłą. Przesady dawnego pogańskiego wierzenia, zbyt jeszcze mocne do dziś dnia naszego ludu, świadczą że lud nieoświecony niepozbywa się łatwo i dobrowolnie wiary swych przodków, a w tamte wieki mało się kto troszczył jego moralną stronę. Religija zresztą jego, mniej w formę i w literę zamknięta, wybitnie nosiła piętno duchowe i piętno wrodzonego charakteru swoich wyznawców. Uczynmy nad nią krótkie studia, nie już powtarzając, co inni o wierzeniu Słowian popisali, ani się opierając na zabytkach dawniej Słowiańszczyzny tu i ówdzie wykopanych, bo jedno i drugie mogłoby wcale nieprzypadać do czci duchowej ludu w okolicach Mińska; lecz dzierząc się raczej moralnej niż dogmatycznej strony dawniej wiary Krywiczów, i budując tę moralną jej całość z okruszyn podań, przesądów, obyczajów i pieśni do dziś dnia pozostałych. Mniej powiemy, lecz ścisłej, bo gruntując się na pewnych materiałach.

Czy nazwa Krywiczów pochodzi od Litewskiego wyrazu: Krywe? czy zatem ma dowodzić przedwiecznego pobratymstwa ich plemienia i wiary z Litwą? myśli tej, rzuconej pierwsi przez Watsona, a teraz dowodzonej przez T. Narbutta, historyka Litwy, ani popierać, ani zbijać nieczujemy się w prawie.

Zasadniczą myślą wiary Krywiczów, jak wszystkich wiar plemiennych, był dualizm, ubóstwienie sił dobrego i złego. Źródłem dobrego był *Biały Bóg*, ojciec słońca i światła. Siłę ujemną, szkodliwą ludzkości, nazywano *Czarnobogiem*, przez skrócenie *Czortem* (czart, szatan), naznaczając jego siedlisko w czarnych lasach i w błocie. Tenże *Bóg*, czy inna jaka podrzędna, złośliwa postać, nosiła imię *Biesa*. *Biesowemi dziećmi* nazywano dzielnych wojaków, kiedy wojna znaczyła jedno, co treść okrucieństw wszelkiego rodzaju *). *Piorun*, bóg gromu, w témże znaczeniu, tylko mniej groźny co Litewski *Perkunas*, należał do państwa *Czarnoboga*. *Dadźbóg* znaczył to samo, co Opatrzność lub Nadzieja; bogini *Dola* (dobry los) była wnuczką *Dadźboga* **). *Niedola*, postać uosobiona, przeciwniczka *Doli*, „była bóstwem „nieznanem w ziemi wnuków *Dadźboga*“ ***). *Łado*, bóg ładu, porządku domowego i moralnego, wzywany był wśród godów, wojen. *Światowid* (niewiemy czy Krywicki) bóstwo o kilku twarzach, symbolizowało słońce, które wszystko widzi, wszechmądrość, duch wieszcz, który zgłębia przeszłość, obecność i przyszłość. Z tego głównego zarysu mythologii Słowiańskiej, widzimy, że niejest przeciążona baśniami, od których nawet niejest wolne cywilizowane bałwochwalstwo dawnych Greków i Rzymian, że owszem wszędzie w niej wybitniejsze myśl moralna i filozoficzna, tylko upostaciowana dla ludu, który potrzebuje rewelacji. Skrzywione, mistycznejsze pojęcia religijne, wzięły jak wszędzie tak i tutaj początek swój od ofiarników, a bez tych nieobeszło się w Krywickiej Słowiańszczyźnie. Ludzie więcćj zbliżeni do natury, oswojeni z jej tajemnicami, poczęli wywierać wpływ na lud, który wyłącznie ubóstwiał naturę. Zjawili się *znachorowie*

*) Ob. *Słowo o półku Igora*.

**) Tamże.

***) Tamże.

(znawcy rzeczy nadprzyrodzonych), *czarownice* *) i wyższy ich stopień *wiedźmy*, stare kobiety udarowane *wiedzą* głęboką rzeczą niedostępną innym; własność roślin i innych sił natury, których młodsze pokolenie, mniej doświadczone a więcćj bieżącym życiem zajęte, zgłębić niemogło, była na zawołanie tych wróżbiarek. *Dudarze*, *lirniey*, *gęslarze*, słodyczą muzyki i urokiem starych pieśni działający na naród, zostali *guślarzami*, t. j. przywłaszczyli sobie przez guśla jakiś charakter nadprzyrodzony. Starcy, dziady, zwyczajne żebraki, korzystając ze swych praw wieku, doświadczenia i czei, jaka ich otaczała, także przyoblekli się pewną tajemniczością. I ci *znachorowie*, *guślarze*, *dziady* i te *wiedźmy*, stanowią już jakby kastę kapłańską w Krywickiej Słowiańszczyźnie,—i czystą zrazu, logiczną, filozoficzną wiarę ludu, ubierają w dogmata, zakuwają w formy. Ale te dogmata i formy, aby działały na umysły, muszą przypadać do głównej zasady wierzeń i ściśle odpowiadać charakterowi ich wyznawców. Nastąpiła religija obrzędów z ich tajemnicami. Wróżbita rozmarzył wyobraźnię ludu, uduchowcił w jego oczach istoty i rzeczy ze świata czysto-zmysłowego. I ptaka i roślinę i kamień wezwał do swęj pomocy, aby się stała tém gęstsza, tém bardzieź tajemnicza siatka, w którą osnowywał głowy i serca ludu. *Kruk* **), prorok kłęski, ulatujący nad wójkiem, poczał się uważać za strasznego posłańca *Czarnoboga*;—*Zozula* (kukulka) ***), swém tajemniczym kukaniem zamieniła się we wróżbitkę lat i losów;—*Bocian*, kapryśny w wyborze miejsca, stał się pożądanym zwiastunem szczęścia dla chaty nad którą uwił swe gniazdo;—*Jaskółka*, jak szczebio-

*) Trudno niedopatrzyć wspólności źródłowości, pomiędzy wyrazami: *Czarnobog*, *Czart*, *Czary*, *Czarownica*, *Czarownik*, *Czara* (używana przy obrzędach), a może nawet rzeka *Szczara*.

**) Ob. *Piosnki Krywkie z nad Niemna i Dźwiny*, p. J. Czeczota. Wilno 1846, pieśń XXXIII.

***) Tamże, pieśń XXV i XXXIV.

tliwa gospodyni, poczęła się opiekować domem;— *Puhacz* wziął na się straszne proroctwo śmierci;— *Sroka* cieszyła lud uprzejmy, zwiastując mu gości;— *Koń*, towarzysz bojów Słowianina, został udarowany duchem wieszczym zgadywania skutku tych bojów; on, wedle pieśni, na grobie poległego rycerza stoi ze smutnie spuszczoną głową i matce wieść o zgonie syna posyła;— *Sokół* *) i *Gólab'* **), stały się jakimiś nieorzeczonymi symbolami pieszczoty.

Mniej znajdujemy ubóstwionych przedmiotów w państwie roślinném, nie dla tego, iżby Krywiczanie zapoznawali potężne siły przyrody, rozlane w drzewie, trawce i kwiecie; ale że kasta ofiarnicza znachorów i wrózek, przy sobie zachowawszy klucz do tych tajemnic, dała za przedmiot ubóstwienia ludowi rośliny tylko, oblekając je mytycznym urokiem. *Osina* była drzewem przeklętym; zabić chatę kołkiem osinowym oznaczało skazać ją na choroby i klęski;— *Paproć* słynęła własnością obdarzania skarbmami i wiedzą;— *Ruta*, czczona była jako symbol dziewictwa;— *Kalina* ***), tak często wspominana w pieśniach ludu, musiała mieć jakieś uroczyste znaczenie;— *Jawor*, niemniej symboliczny, był drzewem szczęśliwszym od kaliny ****);— *Grusze* rozsiane po polach i *ogromne kamienie*, musieli udawać ofiarnicy za siedlisko bogów, kiedy naród już zostawszy chrześcijańskim, tak chętnie widzi w podobnych miejscach objawianie się cudownych

*) Ob. tamże, pieśń XVIII, XXXII, XLVI i XLIX.

**) Tamże, pieśń XLI.

***) Tamże, pieśń XXI i XXXII.

****) Ob. tamże, piosnkę XXXII: „Jak pojedziesz żenić się, młodzieńcze, niestaw' konia pod kaliną, bo kalina nieszczęśliwem jest drzewem. Na wiosnę dziewczęta ją łamają, w jesieni ptaszki dziobią jej jagody. Staw' konia pod jawor, szczęśliwe drzewo: w pniu jaworu mieszkają czarne bobry, w rdzeniu lęgną się rajskie pszczoły, a w gałęziach sokoły gniazdo wiją. Czarne bobry przydadzą się na boby, pszczołki dadzą miód słodki, a sokół posłuży na zabawę.“

obrazów i posągów. *Krynice* też i rzeki posiadały święte namaszczenie; przypisywano im własność leczebną i duch prorocty: rzeka *Doniec* przemawia do Świętosława w pieśni o Igorze; rzeka *Dunaj* musiała być czémś świętym, kiedy po całej szerokiej Słowiańszczyźnie, kędy naród niewidział *Dunaju* ani w oczy, zostało o nim tyle wzmianek w skazkach i pieśniach. Do wiatru przemawia Świętosławna w téjże pieśni o Igorze; *nasłanie choroby z wiatrem, z plec na sucho*, przypisują do dziś dnia wpływom czarownic. Bo czegoż znowu niedziały czarownice dla zjednania wpływu nad ludem? i czego sam lud na ich karb niewymyślał?! One mogły odebrać udój krowom, one mogły zawijać w zbożu złowrogie załomy, umiały spojrzeć złém okiem, spowodować urok; umiały znowu te uroki odpędzić, te klęski oddalić, zjednać miłość niewzajemną, wyrzucić przyszłość, słowem, stać się o tyle pożądanymi o ile strasznymi. Tu już odrębnie od pojęć religijnych wybitnie interes kasty ofiarniczej: tłómaczyć, mistyfikować, upiększać zasady pierwiastkowej wiary, to już było rzeczą guślarzów, wiedźm, znachorów. Niekiedy w tych wykładach spotykamy czystą baśń, niekiedy wysoką filozoficzną lub moralną prawdę, czasem cudną poezję. Dajmy próbkę jedną z takich pieśni, niewątpliwie sięgającą czasów pogańskich Krywiczów *).

„Zgubiła zorza swe klucze, gwarząc z xiężycem, bawiąc się ze słońcem. Wejdźcie, jasne zorze, znajdźcie mi klucze brzące. Czas otworzyć ziemię, czas wypuszczać rosę, jedną rosę z lodu, drugą miodową.“

W dni obrzędowe lud się schadzał do swych *horodyszcz*, na miejsca bogom poświęcone (które, jak twierdził Zoryan Chodakowski, na każdej kwadratowej mili znajdować się muszą, co się sprawdza na Mińskiej gubernii) i tam czynił ofiary bogom. Waż-

*) Ob. Zbiór Czeczota, pieśń LXXIX.

niejsze ze znanych nam świąt są: *Kolada*, zamieniona w Chrześcijaństwie na święto Bożego Narodzenia, początek pogańskiego roku, termin umów rozmaitych, przyjmowania służących i t. d.; *Kupała*, święto letnie, na cześć niewiadomego nam boga, pamiętne tём, że lud wieczorem skakał przez stosy ognia, noc była pełna cudowności i dziwów, a rankiem słońce przy swym wschodzie igrało w żywych podskokach *); *Dziady*, zaduszna pamiątka umarłych; *Dożynki*, święto żniw, i t. p. Z obrzędów wspomnijmy *igrzyska* (ihryszcze), o których mówią badacze Zachodniej Słowiańszczyzny, że były schadzka ogólną młodzieży płci obojęd, powszechnym weselem, na którym pary, dowolnie połączone, kojarzyły się w związki małżeńskie, bez dalszych obrzędów; następnie *pogrzeby*, towarzyszone jękiem płaczek, gdzie nieboszczyka chowano w kurhanie, zakopując z nim garnki, broń i inne upodobane mu przedmioty; na grobach miała miejsce stypa i rycerskie igrzyska zebranych młodych wojowników, znana pod imieniem *tryzny*.

W takich to pojęć religijnych osnowie jak w macierzystej kołębce uwinięty Krywiczanie, wiekowal z pokolenia w pokolenie. Podania, przesady, powieści i pieśni praojców, stały się tak nieodłączną częścią jego myśli i duszy, że ich ani czas, ani zmiana wiary wydrzeć z jego wnętrza niepotrafiły. Co mógł ze starych wierzeń przykleić do dogmatów chrześcijaństwa; czego niemógł, wierzy w to odrębnie od swojej dzisiejszej religii, może silniej niż w samą religię.

Uważajmy nakoniec Krywiczanie pod względem ich społeczności towarzyskiej i rządu.

Wnet po przeminieniu burz, jakimi dzieci mroźnej północy gwałtownie pędzone były na południe, jak kruki na żer przy rozkładającym się cielsku starego Rzymu, wnet po przejściu bojów

*) Ob. tamże pieśń IV.

i stałem osiedleniu się, Słowianie poczęli kłaść fundamenta gospodarczego zamieszkania stron, kędy ich Opatrzność umieściła. Już w VI wieku po Chrystusie znajdujemy ślad w kronikarzach Bizantyjskich, że u Słowian nad Dunajem były już stałe wioski i posady. Dregowiczanie i Krywiczanie, mieszkańcy dzisiejszych Witebskiej i Mińskiej gubernij, jakkolwiek daleko później osiedlać się i wiązać w porządną społeczność poczęli, jednakże śmiało można twierdzić, iż w w. IX już się trudnili uprawą ziemi. Świadcami tego są kamienne młoty, znajduwane na polach a używane do rozbijania brył ziemi, wprzód nim się upowszechniło żelazo, (młoty te używano i na wojnie); świadkami są wiekiaste nasze lasy, rosnące na ziemi, na której z łatwością ślady zagonów odkrywać można; świadkiem nakoniec jest staroświecka, tyle razy przez nas wspomniona, pieśń o Igorze, a w niej porównania wzięte od narzędzi i prac rolniczych: „miecze grzmocą po karkach nieprzyjaciół, jak cepy po klepisku.“ Wojny przerywały prace rolne: „wtenczas na Rusi nieujrzyć rataja,“ (taż pieśń); ale wróciwszy z wyprawy, Krywiczanie rad się na nowo brać do pola.

Rolnictwo jest początkiem cywilizacyi, czyni snadniejszym życie, ułatwia jego potrzeby, zaopatruje w lnianą i wełnianą odzież, karmi chlebem i mlekiem, i co najważniejsza, rozwija piękne cnoty domowe, uszlachetnia dzikie bojaństwo pierwiastkiem miłości ojczyzny, a rozwija słodycz charakteru, gościnność, zamiłowanie muzyki i pieśni. Te są właśnie cnoty, które jednogłośnie przypisują Słowianom wszyscy historycy. Z chluby można powiedzieć o towarzyskich cnotach plemienia, u którego (jak w całej Słowiańszczyźnie) wyrazy: *Hospod* (Bóg), *Hospodyn* (pan), *Hospodar* (władca kraju i gospodarz), mają tenże źródłosłów co: *gospoda* (dom gościnny), co *gość*, co *gościnność*. W tym jednym źródłosłowie widzimy jakby religijną świętą ustawę gościnności, od czasu, gdy się zagospodarzyli t. j. oddali rolnictwu. Rolnictwo i za-

miłowanie domowej zagrody, dały początek patryarchalnemu rządowi, który w swém rozwinieciu stworzył gminowładztwo. Starzec, Starosta, wyrazy prawie jednoznaczne, ukazują przechód, jakim ojciec rodziny zajmuje swe polityczne miejsce w gronie współobywateli. Bo kiedy pojedyncze rodziny *osiedliły się siołami* (wieś), kiedy święte *horodyszcz* zamieniły się w *grody* i miasta, zbiór rodziny dla wspólnego obradowania stał się niezbędnym. Takie zbiory nazywały się *wieczami*, i niewyszły na Słowiańszczyźnie z użycia, nawet wtedy, kiedy do pojedynczych ziem przyszli Waragsey i Normansey rycerze, aby nad nimi panować. Władza sądownicza nad ludem została w ręku tegoż ludu z niewielkim wpływem xiażat. Panowie, żupani, sudpani, byli to urzędnicy z łona samegoż ludu, których władza przeciwważyła z władzą wojaków, bojarów, wojewodów, urzędników z panującego zwyciężkiego ramienia. Zresztą, sam lud w massie nieraz załatwiał swe sądy i sprawy. Słaby, pojedynczy obywatel kraju uczuwał swoje potęgę, kiedy się zbierał w gromadę—i gromadę nazywał wielkim człowiekiem. Takie gromadzkie zbiory nazywały się *kopami*, a ślad ich pozostał nawet w pomnikach prawniczych XVIII wieku, kiedy ucywilizowane i szlacheckie prawo Polskie, szanowało wyroki *gromady, jako wielkiego człowieka*, wyroki wydane przez lud pozbawiony zkażynad wszelkich praw cywilnych.

Nakoniec urzęda Dziesiętników i Setników, dziś jeszcze po wioskach a niedawno w wojsku zachowywane, mamy prawo odnieść do głębokiej przedchrześcijańskiej Słowiańszczyzny.

Powtórzmy: że w związku ze starymi czasy historii Mińska, kreśląc ten krótki rys wiary i obyczajów starych Dregowiczów i Krywiczów, unikaliśmy barw wyczytanych z obcych studyów nad Słowiańszczyzną: gdyż te do naszych stron mogłyby nieprzypadać. Ograniczyliśmy się najprostszymi jakie mamy pod ręką za-
bytkami, w przekonaniu, że im się skromniej używa przypuszczeń, tem więcej obraz zyska na rzeczywistém świetle.

O ZIEMIACH,

PODŁUG DAWNYCH PRAW LITEWSKICH

PRZÉZ

MIKOŁAJA MALINOWSKIEGO.

Przed kilku laty napisałem tę krótką rozprawę na żądanie nicodżałowanej pamięci Ignacego Turkułła. Znajomość z nim moja sięga więcej lat trzydziestu. Wchodził on wówczas w ten wiek męskiej dojrzałości, w którym wszystkie zasoby umysłu, wrodzone i nabyte, stanęły na swojej dobie, ale niejasny jeszcze był kierunek, który wiaść miały. Późniejsze zdarzenia otworzyły im świetny zawód. Mianowany ministrem sekretarzem stanu królestwa, z miejsca swojego zasiadł w radzie państwa i był tam przedstawicielem elementu Polskiego. Przy urządzeniu nowych stosunków społecznych, musiano w téj radzie, na każdym kroku zapytywać przeszłości, i jeden Turkułł tylko chciał i umiał odpowiadać prawdziwie i dowodnie. Wszyscy pamiętają, z jakimi trudnościami walczyć musieli potomkowie officerów sztabowych, urzędników ziemskich nieobowiązkowych, i woźnych, w osiągnięciu służących sobie praw do szlachestwa. Turkułł wyjaśniwszy prawdziwe znaczenie uchwalonych w tym przedmiocie ustaw,—rodowitość ich utrzymał i stał się dobroczyńcą ogromnej liczby osób. W podobnych zdarzeniach, starczyło mu niewątpli-

wie własnych wiadomości; ale czy to dla głębszego pojęcia pytania, czy dla pewności wewnętrznej, że i sam się nie łudzi i innych w błąd nieprowadza, miał zwyczaj, odwoływać się, w każdej ważniejszej rzeczy, do ludzi których nauce wierzył. Czytałem u niego wiele takich odpowiedzi, Jana Winc. Bandtke, Felixa Zielińskiego, Tadeusza Kukiewicza, Ignacego Daniłowicza i w. in., które na jaw wydane, rzuciłyby obfite światło na zawilsze części naszego prawodawstwa. W r. 1853, sądzono: iż *ziemianom* szlachectwa odmówić należało. W rozmowie którą z tego powodu Turkułł ze mną rozpoczął, oświadczyłem się być bezwarunkowo za szlachectwem ziemian; wezwany abym to wsparł dowodami, wręczyłem mu te kilka stronic, które dziś na sąd czytelników oddaję.

Dawna Litwa odstępując własnych, przyjmowała instytucje społeczne, naprzód od Rusi a potem od Polski. Po zhołdowaniu pierwszej, wielcy książęta Litewscy, niezmienili w niczem wewnętrznego składu podbitego kraju; szanując owszem jego wiarę, język, obyczaje i ustawy, utrzymali też istniejący w nim od wieków podział ludności na pewne klasy. Ze wcieleniem księstw Ruskich do Litwy, weszły do jej ustaw nazwy: *kniaziów, dworzan, bojarów, muzyków otczynnych, tiahłych, zachożych, czeladzi niewolnej* i t. p., znaczenie atoli tych klass, wzajemny ich stosunek między sobą i zawisłość od panującego, polegały jedynie na zwyczaju: bo aż do Władysława Jagiełły, nieokreśliło ich żadne prawo pisane.

Szlachectwo, jako nowy pierwiastek społeczny, wprowadzony został na Litwie, od wydania, w 1387 r. dnia 20 lutego, przywileju, w którym król Polski zapowiedział: że każdy z ludzi rycerskich (*armigeri*), przyjmujący wiarę katolicką, używać będzie praw, któremi się cieszy *szlachta Polska*. (Ob. *Działyńskiego*

Zbiór praw Litewsk. str. 1—2). We 26 lat później, Jagiełło jeszcze bliżej łącząc obadwa narody z sobą, wezwał 1413 roku w Horodle Litwinów do herbownego ze *szlachtą* Polską braterstwa. Stopniowo więc pojęcie szlachectwa, które za wieków średnich, w całej swojej wzniosłości, tylko w jednej Polsce było znane, coraz więcej w Litwie rozpowszechniać się zaczęło. A lubo nie od razu znikły instytucje feodalne, lubo nadużycia możniejszych, wyobrażenie *braterstwa*, a zatem równości szlacheckiej, ciągle maciły, lubo liczne rodziny kniaziów Ruskich i potomków wielko-książęcych, krajowych i dworskich dostojników, statecznie odróżniać się od dalszej szlachty usiłowały, lubo nawet w prawach i przywilejach, nazwy: *kniaziów, panów chorągiewnych* i *paniąt*, pozostały,—to wszakże prawdziwego wyobrażenia szlachectwa przytłumić niemogło. Potężniało ono ciągle w narodzie i bez żadnych wstrząśnień, bez walki, tylko żywotną siłą braterskiego pierwiastku, stanęło w Polsce i Litwie na tej moralnej wysokości, na jakiej ją najoświecześniejsze ludy kiedykolwiek ujrzeć pragnęły.

Chociaż więc nazwy: *kniaziów, panów chorągiewnych, dworzan*, a w niektórych województwach Ruskich *bojarów* przetrwały aż do ostatniej redakcyi (1588) statutu Litewskiego, nieulega jednak najmniejszej wątpliwości, że te nazwy, znaczenia w obec prawa nie miały, że wszystkie łączyły się i niknęły w ogólnym wyrazie: *szlachty*.

Już przed ogłoszeniem przez Zygmunta I w r. 1529 tak zwanego *pierwszego statutu*, liczne przywileje ziemskie, postanowienia sejmowe, nadania osobom pojedynczym służące, równość cywilną *szlachty Litewskiej* zabezpieczały, sejm zaś Lubelski 1569, przypuszczając ją do najroześciągłego uczestnictwa *praw politycznych*, zniósł i tę drobną, więcej urojoną, niż rzeczywistą, różnicę, jaka między *kniaziami, panami* i *paniętami* a *szlachtą* istnieć mogła.

Szlachta i w przywilejach ogólnych i w nadaniach pojedynczych i we wszystkich trzech statutach, najczęściej zwana jest *ziemianami*, lubo także wyrazy: *rycerstwo*, *dworzanie* i *szlachta*, nierzadko są używane. Ta nazwa *ziemian*, w przywilejach, pojedynczym zwłaszcza osobom służących, powtarza się statecznie aż do ogłoszenia 3-go statutu. Łatwo byłoby i z późniejszych czasów przytoczyć podobne akta; ale ponieważ we wszelkich pyta- niach prawnych, powaga statutu jest stanowczą, określimy więc naprzód, podług przywilejów i nadań, znaczenie wyrazu *ziemianin*, a następnie okażemy jakie tymże *ziemianom* podług statutu prawa służyły.

Ze wyraz *ziemianin* oznaczał *szlachcica osiadłego*, przekony- wa nadanie *Kazimierza Jagiełły* w r. 1450 lipca 24, który potwierdza wysłużoną u w. xiążęcia Lit. *Świdrygajły*, włość miel- nicką przez: *Ziemianina Luckoho*, pana Olizara Sziłowicza (Ob. Akta odnoszące się do historii Rosyi zachodniej t. I, str. 67).

Król Alexander nadając ziemię pisze: „Bił nam czełom, *zie- mianin* Kremeniecki Olexa Skoworodka.“ Dany ten przywilej 1506 r. stycznia 22 w Lublinie. (Ob. tamże t. I, str. 368).

Król Zygmunt I, w roku 1507 d. 2 lutego, nakazał na sejmie Wileńskim, sporządzić powszechny popis ludności w w. x. Lit., przez następne słowa: „Panowe, kniażata, *ziemianie*, wdowy i wsia szlachta, mająt w imeniach swoich, liudi swoi wsi perepi- sati i pod prisiahoju hospodaru jeho miłości ty spiski dati.“ (Ob. tamże t. 2 str. 8).

W tymże 1507 roku marca 18 w ogłoszonym okólniku, Zyg- munt I podaje do powszechnej wiadomości uchwałę sejmu Gro- dzieńskiego o złożeniu do skarbu Litewskiego „*serebszczizny*“ pod następną karą: „A jestliby też któryj kniaź, abo pan, abo *zie- mianin*, chtobykolwiek z poddanych, s ktoroho imienja swojego, abo z liudiej, toje serebszczizny społna do skarbu naszoho nie- otdał, a chtoby to na koho pereweł, my na tom zostawili so wsi-

mi pany radami naszymi: chtoby ktoroje imienje abo liudi wtał, my toie imienje i liudi majem w neho wziati k' naszój ruce i dati tomu, chto na neho to perewedet, i majet użo tot toje imienje, komu dadim, na wieki wiecznyi derżati.“ (Ob. tamże t. 2, str. 18).

W r. 1531, grudnia 13 dnia w Krakowie, król Zygmunt I, oznajmiwszy iż: „biła nam czełom *ziemianka nasza Niemirina- ja Olechna*“, aby oddać ję w dożywotni rząd klasztor zakonne w Owruclu, zezwala na to, a ponieważ ten klasztor był zawsze podawania królewskiego, przeto Niemirowa ma być jego ihumeni- ją i rządzić się na nim tak, jak i ję poprzedniczki. (Ob. tamże t. 2, str. 218).

Na sejmie walnym Wileńskim 1547 r., szlachta prosiła króla Zygmunta-Augusta, aby mieszczanie którzy majątki pokupowali u szlachty, obowiązani byli na równi ze szlachtą z tych dóbr nieść obronę ziemską. Król odpowiedział: że rzecz o mieszczanach zo- stawuje według uchwały i postanowienia przeszłego sejmu Brze- skiego t. j.: „iż meszczane wsich mest jeho miłości, s tych ime- nej swoich, ktorzyje budut' u *ziemian*, szlachty skupili, mająt' służiti i zastupowati słuźbu zemskuju tak, jako bojare szlachta.“ (Ob. Działyńsk. Zbior praw Lit. str. 431).

Na tymże samym sejmie, król oznajmuje: że dochodzą go „żałoby ot kniażat i ot paniat i ot *ziemian* pohraniecznych“ o krzyw- dach które mają od panów Polaków, i zapewnia, że wkrótce ma- ją przybyć z korony sędziowie, którzy spólnie z urzędnikami Li- tewskimi tę krzywdę rozsądzą. (Ob. tamże str. 428).

Na sejmie Wileńskim 1551, ziemia Wołyńska zaniósła prośbę do króla Zygmunta-Augusta aby: „na imeniach kniażskich, pan- skich i *ziemianskich*, mytniki jeho korolewskoje miłości i storo- zi komor mytnych ne leżali.“ Której prośbie jako niesłusznęj król odmówił. (Ob. tamże str. 467).

Podobnie na sejmie Wileńskim 1554 listopada 11 dnia rozpoczętym, między prośbami ziemi wołyńskiej znajduje się i następna: „Prosili też jeste jeho korolewskoje miłości około wradow zamku tamosznego Luckoho, a menowite o tyje, to jest: horodniczoje, klucz i mostowniczoje, iż nikoli ku starostwu nepri-słuchało, ale *ziemianie* tamosznije, bratja wasza to zawedywali; prosite, aby jeho korolewskaja miłość ot toho was i teper otdaliti neracził.“ Król kazał im odpowiedzieć: iż to niejest rzecz wasza, ale wszystkie urzędy za godnością i służbami, raczy dawać, komu jest wola jego miłości hospodarska. (Ob tamże str. 504).

W r. 1563 czerwca 19, król Zygmunt-August zwołał był sejm walny do Wilna, dla obmyślenia obrony ziemskiej. Niektórzy sądzili, iż drobniejsza szlachta co z ojcowiznami swojemi poddała się w opiekę możniejszym panom, wyjętą od popisu będzie, lecz król inaczej rozstrzygnął a mianowicie: „Kazał hospodar jeho miłość wam powediti: że ne odno tych szliachticzow, któryje z imeni swoimi panom, ale też i chto z nich budet *ziemianom* szliachtie z imeni swoimi poddali się, aby choruzije, zosobna każdy u choruzstwie svojem, takowych menowite.... hospodaru koroliu jeho miłości... sprawu i wedomost' o tom dali.“ (Ob. tamże str. 531).

Nakoniec na tymże sejmie król postanowił że: „z dworow abo domow kniaźskich, panskich abo *ziemian*skich, nadworniki żadnoho podatku z mestom dawati nemajut', okrom oborony mestskoje czasu potreby nebezpiecznosti, которaja oborona iż wsim jest odnako potrzebna, tohdy w tom z mestom zarowno majut' oboronu delati.“ (Ob tamże str. 534).

Nawet po Zygmuncie-Anguście nazwa *ziemian*, w znaczeniu właścicieli ziemskich, ciągle się utrzymuje. Znajdziemy ją w ciekawym przywileju Stefana Batorego wydanym w Malborgu we wrześniu, bo dzień wyczytać trudno, 1577 r. Był wówczas

w Mińsku bogaty monastér Wniebowstąpienia Pańskiego. Czy to zakonnicy sami rządzić się nieumieli, czy co podobniej do prawdy, szlachta zawsze chciwa na chleb duchowny, potrafiła wmówić nieświadomemu praw i zwyczajów królowi, że pod kierunkiem świeckich i dobra monastérskie utrzymają się w lepszym stanie i służba Boża staranniej odbywać się będzie; dosyć, że oddawanie dóbr klasztornych w dzierżenie ludzi świeckich, a następnie frymarczenie niemi, tak jak to miało miejsce ze starostwami, poczęło być bardzo częste. Owoż i w obecnym przypadku król mówi: „Oznajmujem, szto kotoryj monastyr... ne dawno seho, dali jesmo byli *dworaniu* naszemu Bohuszu Newelskomu a tot Bohusz Newelski choteczy jeho, tymże prawom jemu danym, spustiti *ziemianinu* naszemu powietu Meńskaho Stefanu Dostojewskomu...., my hospodar z łaski naszoje hospodarskoj na to pozwolenie nasze dali i to jemu listom naszym potwierdili.... tot pomienientyj monastyr, s folwarkami, s paszneju monastyrskoju, także i so wsimi lety, ludmi, khrunty, dochody i pożytki wsiakimi k' nemu zdawna przysłuchajuczimi.... Majet pomienientyj Stefan Dostojewski tot monastyr.... na sebe derżati i wsiakie obriady duchownyje w nem radnie s pomnożeniem chwały Bożoje i słusznym poriadkom spraw cerkownych, podług obycaju zakonu Hreczeskaho sprawowati i toho monastyria so wsim, spokojnie użiwati, aż do żywota swojeho.“ (Ob. Akta do historii Zachodniej Rosyi t. 3, str. 218).

W roku następnym 1578 kiedy za uchwałą sejmu Warszawskiego, król wyprawiał wojsko do Inflant, chcąc opatrzyć porządne jego ciągnięcie i zapobiedz skargom mieszkańców, nietylko uniwersałami rozesłanemi z Krakowa 10 października, uprzedził o drogach, któremi wojsko ciągnąć miało; ale też oznajmił: „kniazem, panom wojewodom, kasztalianom, marszałkom naszym, starostom, knehiniam, paniom wdowom, derżawcam, wriadnikom zemskim i khrodskim, *ziemianom* i dworianom naszym,“ że przed

wojskiem jedzie posłaniec królewski z listem żądającym: aby wszędzie według rozpisania na rejestrze, poddani noclegi przygotowywali, aby mosty i drogi naprawowano, żywność zaś na ludzi i koni na sprzedaż, aby ze stron, na miejsca naznaczone sprowadzano. Płacić zaś wojsko ma podług następnej ustawy: za wołu karmnego pięć złotych, za krowę dojną trzy zł., za jałowicę dwa zł., za wieprza karmnego trzy zł., za wieprza niekarmnego 40 gr., za poleć słoniny złoty jeden, za cielę złoty jeden, za barana groszy 10, za jagnię gr. 5, za gęś gr. 2, za koguta lub kurę grosz jeden, za sę kątowy gr. 2, za sę mały gr. 1, za miednicę masła zł. 2, za 10 jaj pieniędzy 5, za miednicę miodu przasnego zł. 3, za beczkę miodu pitnego $7\frac{1}{2}$ złotego, za beczkę piwa gr. 18, za beczkę żyta złoty 1, za beczkę pszenicy 40 gr., za beczkę owsa 10 gr., za jednokonny wóz siana 2 gr.— Król był tak przezorny, że nawet ustanowił cenę na kopy zboża niemłóconego, gdyż zdarzyć się mogło, że w ciągnięciu wojska, w niedostatku ziarna, żołnierze mogli sami wziąć się do cepa, byle prędzej opatrzyć się w żywność dla siebie i koni. (Ob. tamże str. 236).

Podobnymże uniwersałem i tegoż roku października 29 z Krakowa danym, król Stefan oznajmuje: „kniazem, panom wojewodom, kasztalianom, marszałkom, starostom, derżawcam, knehiniam, paniom wdowom, namiestnikom, tiwunom, *ziemianom* i dworianom naszym i wsemu rycerstwu szlachty obywatelom wojewódstwa Wileńskiego,“ aby i sami i z pocztami swojemi, śpieszyli pod chorągiew hetmana w lit. Mikołaja Radziwiłła. (Ob. tamże str. 238).

W r. 1579 lutego 17, za przybyciem króla Stefana do Grodna, duchowieństwo i wyznawcy cerkwi Greckiej, nieomieszkali zwrócić uwagę mądrego króla, na frymarki czynione dobrami monastérskiemi. Jakoż aby przeciąć to nadużycie, król oznajmił przywilejem swoim wówczas wydanym: iż jeszcze do Warszawy Naj-

przewielebniejszy Elijasz (Kuczuk), metropolita Kijowski; Jan Hlebowicz, kasztelan Miński, tudzież inni urzędnicy i niektóra szlachta powiatu Mińskiego pisali, że Bohusz Newelski, (któremu dobra monastéru Mińskiego były dożywociem puszczone), niechcąc stanu duchownego przyjąć, tenże monastér *ziemianinowi* Stefanowi Dostojewskiemu, także człowiekowi świeckiemu a do tego jeszcze nie Greekiego wyznania, puścił, cośmy i listem naszym potwierdzili, ale ponieważ ten Dostojewski tylko na korzyść własną rzeczony monastér trzyma, chwala zaś Boża nigdy w nim według Greekiego zakonu spełnianą niejest, pisały zatem do nas wymienione osoby, abyśmy obok inszych swobód i prawa duchowne w całości zachowując, ten monastér u tego Dostojewskiego, jako u człowieka świeckiego wzięwszy, *ziemianinowi* naszemu tegoż powiatu Mińskiego, Michałowi Rahozie, człowiekowi w uczciwości, stateczności, bogobojności zachowałemu i w Piśmie świętym umiałemu dali, on zaś stan czernecki (zakonny) na siebie wzięwszy i osobą duchowną zostawszy, za nas Boga prosić i monastérem tym sprawować chce. A tak, ponieważ ten Dostojewski będąc człowiekiem świeckim i nie Greekiego zakonu, monastér dzierży wbrew zwyczajom cerkwi Wschodniej i wbrew uchwale sejmu Grodzieńskiego, za przodka naszego króla i w. x. Lit. Zygmunta Augusta, uczynionej i potwierdzonej, w słowach: „iż komuby, „kolwiek chleb duchowny był dan, a tenby za trzy miesiące stanu duchownego przyjąć niechciał, taki od téj daniny odpada.“ Z tych przyczyn my gospodar, ten monastér od Dostojewskiego odebrać kazawszy, rzeczonemu Michałowi Rahozie, od metropolity, kasztelana, urzędników i niektórej szlachty powiatu Mińskiego, nam zaleconemu, z łaski naszej gospodarskiej, daliśmy i tym listem naszym dajemy.“ Ten przywilej oprócz świadectwa, że Michał Rahoza był *ziemianinem*, daje piękny dowód sprawiedliwości królewskiej i uszanowania dla wiary, wyznawanej przez ogromną liczbę mieszkańców Rzeczypospolitej. (Ob. tamże, str. 240).

W roku następnym 1580 marca 10, król Stefan będąc w Grodnie i dowiedziawszy, że: „*ziemianka* Sofija Wołowiczowna Kir-diejowa,“ która monastér św. Barbary w Pińsku dzierżała, w tych czasach ze świata zeszła, przeto przestrzegając, iżby spraw cerkiewnych w nabożeństwie swoim, bez porządku zwykłego, nieomieszkivano, rzeczony monastér..... „dał *ziemiancie* pannie Raimie Wojniance“ mając zalecenie o ucziwém i bogobojném jój, życiu. (Ob. tamże, str. 252).

Z tych wszystkich przywilejów, uchwał sejmowych i nadań, powagą królów, wielkich xiażąt Litewskich okrytych, okazuje się najdowodniej, że wyraz *ziemianin* był jednoznaczającym z wyrazem *szlachcic*, więcej nawet, bo z pewnością twierdzić można, że zawsze oznaczał posiadacza ziemi. Widzimy, że starożytne rodziny, Niemirów, Wołowiczów, Wojnów, Rahozów nazwę *ziemian* nosiły: każdy bowiem niepiastujący urzędu dwornego, albo ziemskiego, a posiadający *ziemię*, lub z rodu mający do tego prawo nazywał się *ziemianinem* a to tak dalece, że chociaż wyraz szlachta i szlachcie były używane, nigdzie atoli niekładziono ich pojędyńczo w żadnym akcie urzędowym. Dokumenta osób prywatnych, mające wprawdzie tylko powagę względną, przekonywają aż do oczywistości, że nazwa *ziemianina*, oznaczała szlachcica, obywatela, posiadacza *ziemi*, ale niezaszczyconego urzędem. Niejeden co się pisał *ziemianinem* jego kr. mości, powiatu *takiegoto*, otrzymawszy urząd, już pisze się z dodaniem dostąpionój godności. Nieraz zdarzało się, że członkowie znakomitych rodzin, czy to ze stanu zdrowia, czy to z zamięłowania spokojności domowój, uchylali się od posługi krajowi, a więc i takie przykłady niierzadkie, że gdy jeden brat był dostojnikiem w. x. Lit., drugi rodzony jego, zawsze przed prawem nosił nazwę *ziemianina*. Metryki Litewskie są pełne przywilejów na urzęda ziemskie nadawanych *ziemianom*, w aktach zaś ziemskich, mnóstwo znajduje się dokumentów takich, jak np. następny: „Ja Krzysztof To-

łoczko, podsędek Grodzieński, a ja Magdalena Rudominówna małżonka jego mości, obiedwie osobie za jedną, a jedna za obiedwie, jednostajnie obowiązując się i jedna osoba po drugiej została, pod wszystkie obowiązki i paragrafy w tym liście niżej opisane podlegając i zapisując się, zeznawamy i jawno czynimy tym naszym listem dobrowolnym, zastawnym zapisem: iż co w roku terazniejszym 1636, miesiąca marca 30 dnia, będąc my potrzebni summy pieniędzy, wziawszy, do rąk naszych odliczywszy półczwarta tysiąca złotych polskich u *ziemianina* króla jego mości powiatu Grodzieńskiego, u syna naszego pana Dadziboga Tołoczka, w tój summie zastawiliśmy w moc i dzierżenie podali panu synowi naszemu imienie nasze Hlebowicze, w powiecie Grodzieńskim leżące, ze wszystkimi pożytkami, poddanymi i ich czynszami, robotami, powinnościami i t. p. (Ob. w Archiwum centralnem xięga ziemstwa Grodzieńskiego od r. 1636—37 N. 49, dokument 76 na str. 148—151). Używali więc *ziemianie* w pełności praw właściwych stanowi rycerskiemu, jak później, w znaczeniu politycznem, szlachtę zwać poczęto. Godność urodzenia szlacheckiego, tak była wysoko ceniona, że chwilowe nawetniżenie się do stanu miejskiego, oddanie się kupiectwu lub rzemiosłu, czasowie tylko zawieszało używanie praw szlacheckich, ale nieznosiło ich, ani w samym wyłączającym się ze społeczności szlacheckiej, ani w jego potomkach, bo zaćność krwi nieulegała żadnemu przedawnieniu. (Ob. Statutu Lit. rozdz. III art. 20 i 25). Jeżeli więc kupiectwo i rzemiosło niepozabawiało praw szlacheckich, tём mniój ubóstwo, lub niemożność odjęcia się przemocy szlachcica krzywdziły. Ztądto wynikała zależność znacznej liczby szlachty, *ziemian* od możniejszych właścicieli, zależność upoważniona prawem, ale w niczym stanowi i prerogatywom szlacheckim nieprzynosząca ujmy. Zdarzało się bowiem, że często możniejsze domy, dla zapewnienia sobie przewagi na sejmikach, starały się pod dogodnemi warunkami co najwięcej

szlachty na nieosiedlone ziemie swoje ściagać, przywiązując ją drobną opłatą czynszu i posługami bynajmniej szlachcica niekrzywdzącemi, jako to: rozwożeniem listów i wychodzeniem z rusznicy lub oszczepem na łowy, znaczne osady pod nazwą *szlachty czyniszowej* lub *ziemian* w dobrach swoich potworzyły. Radziwiłłowie, działając w tym względzie na większy rozmiar, otoczyli główne zamki swoje Mir, Nieświęż, Słuck i Kojdanów takimi osadami; a że w zarządzie ogólnym dóbr swoich zawsze przodkowali porządkiem, stąd i w inwentarzach od XVI wieku zachowanych, tak zwane *zaścianki* szlachty ordynackiej i ziemian xięstwa Słuckiego, najdokładniej są opisane: w nich trzymano się statecznie tego prawidła, że przy nazwisku każdego *ziemianina*, w inwentarzu umieszczonego, jako znamie jego szlacheckiego pochodzenia, wyraz: *pan* dokładano. Same zaś powinności ziemiańskie nie były niczem innem, tylko umową między możniejszym a uboższym szlachcicem.

Gdy tak *ziemianie* w przeciągu wieku lub więcej, przez kilka pokoleń na ziemi Radziwiłłowskiej lub mniej możnego pana siedzą, właściwą kolejną rzeczy, inaczej stać się niemogło, tylko że w sąsiedzkich między sobą zatargach, w razie popełnienia jakiego gwałtu, lub zbrodni, udawali się do sądu swojego nadawcy i dla tego osobny urząd sędziowski na zamkach Nieświężkim, Słuckim, a zapewne i na zamkach innych panów, istniał. Wiele podobudek skłaniało szlachtę do poddawania się tym sądom; najgłówniejszą była: prędki niepłatny i bezstronny wymiar sprawiedliwości, i to właśnie dało początek tak zwanym przysądom zamków lub dworów obywatelskich. Wszakże jeśli *ziemianin* wołał udawać się do sądów ziemskiego lub grodzkiego swego powiatu, nigdy mu to bronnem nie było i za ledwie w dobrach królewskich uwolnienie się z pod przysądu zamkowego lub starosty niegrodowego, potrzebowało rozstrzygnięcia najwyższej władzy.

Rozwijanie się tych nowych stosunków w Litwie wywołało

w wieku XVII, coś nakształt senioralnej władzy średniowiecznych baronów, a że zwykle mniejsi właściciele możnych panów naśladować pragną, że ubliżało to niejako obywatelom, urzędnikom ziemskim lub dostojnikom nadwornym w. x. Lit., że *ziemian* w swoich dobrach niemają, że bez posługi w rozwożeniu listów i pomocy przy łowach obejść się niemogli, przeto po kilku lub kilkunastu włościan na powinności *ziemiańskiej* osadzali. Gdy to raz weszło w zwyczaj zmąciły się wyobrażenia i to tém bardziej, że niekiedy starostowie, powodowani chciwością, *ziemian* na dobrach królewskich osadzonych, którym skutkiem zaburzeń krajowych lub przypadkowie pierwotne nadania poginęły, do rzędu włościan, lżejszą tylko powinność pełniących, stracali. Te nadużycia starostów, w innej drodze na miasta rozciągnięte, dały powód mnogim sprawom *ziemian* i mieszczan ze starostami o których w Aktach Assessoryi w. x. Lit. liczne ślady pozostały. A jakiego zatem nadużycia dopuszczał się taki starosta w królewskich, najpodobniejsza do prawdy, że niezaniechał go i we własnych dobrach; podobnież więc *ziemian* na swojej ziemi osiadłych, ze służących im praw wyzuwał. Zły przykład urzędników mógł ośmielić właścicieli drugiego rzędu, do wpisywania *ziemian* w inwentarze z uciążliwymi od pierwiastkowych powinnościami. Wszakże to wszystko razem wzięte, jako wyjątkowe, z obrazą prawa dopuszczone, ani stanu *ziemian* zniżyć, ani potomków ich rodowości szlacheckiej pozbawić mogło.

Jeśli by jednak po tém wszystkiem, co tu powiedziano, potrzebny jeszcze był dowód: że *ziemianie* byli to właściciele ziemscy, że posiadali poddanych, że używali wszystkich praw stanowi szlacheckiemu służących, dostarczy go statut Litewski, w następnych swoich rozporządzeniach:

Rozdział pierwszy, artykuł 29. *O mytach nowych i o wolności zasadzania miasteczek i o budowaniu mostów, abo grobel w imionach szlacheckich.*

W artykule tym w § 3, między innemi powiedziano: „A którzyby też xiążęta, panowie, *ziemianie*, szlachta, stare drogi, stawami swemi zatopili, albo zaorali, przywłaszczając sobie pożytki, takie drogi nowe mają być położone nie ku krzywdzie ludziom przejeżdżym.“ W § 5: „tak też urzędnicy i mytnicy naszy, po drogach, miasteczkach i po wsiach naszych hospodarskich i też xiążęcych, pańskich, *ziemiańskich*, gdzie przedtém myta niebierano, czasu kiermaszów i schodów, żadnych myt i targowego wymyślać i brać niemają.“

Rozdział drugi, artykuł 1. *O powinności jako wszyscy obywatele tutejszego państwa, służbę ziemską służyć mają.*

§ 1. „Ustawujem też.... iż wszystkie stany duchowne i świeckie, xiążęta, panięta i urzędnicy ziemscy, dwornicy, dworzanie i *ziemianie*, szlachta chorągiewna.... winni będą osobami swemi wojnę służyć.

W artykule 2-gim: „Obiecujemy wiecznemi czasy... iż my hospodar s pany radami naszymi... niebędziem mogli ani szereb-czynny, ani płatu żadnego i nijakiego poboru ustanawiać, tak na poddanych kniazich, pańskich i *ziemiańskich*, jako też i na miastach i poddanych naszych hospodarskich, aż pierwiej sejm wielki, walny złożywszy.“

W artykule 17-tym. *O chorążych aby ziemian doma nieosadzowali i nieodpuszczali.*

„Ustawujemy też i przykazujem: aby chorąży naszy, nieśmiali żaden z nich *ziemianina* i każdego stanu człowieka, wojnie należącego, doma od wojny wyzwalać i z drogi albo z wojska odpuszczać. A jeśliby który *ziemianin* doma został a chorążyby tego przed hetmanem nieopowiedział, zataił, a toby nań było przewidziano, tedy takowy chorąży urząd swój traci.

Rozdział trzeci, artykuł 5-ty. *O nie danie szlachty i ich imion, ludzi, gruntów i wszelakich wolności i też nie dania listów i przywilejów przeciw temu statutu, tudzież artykuł 30.* „A któryby

szlachcie wysłużywszy na którym panu imienie i niemając listu i wolności z tē imieniem służyć, albo sprzedać, przemienić, komu by on chciał, a potēmy służyć onemu panu swemu, kromia wolēj i wiadomości jego z tē imieniem nam hospodaru albo za którego innego pana poddał się, sprzedał, albo jakimżekolwiek prawem to imienie, ludzie albo grunty od niego puścił, tedy on pan, albo potomkowie jego, pod kimby to imienie miał, wolen to imienie od każdego takowego wzięść, wszakże pierwiej czas na wyrumowanie sześć niedziel przez woźnego złożyć mu ma. A chociażby i kto inszy, a nie ten sam *ziemianin*, albo bojarzyn to imienie dzierżał, przecię niedzierżącemu, ale temu komu to imienie pierwiej dano było, przez woźnego czas składan być ma.“

Artykuł 36-ty. *O miarach i łokciach aby były równe.*

„Ustawujem: ktobykolwiek z poddanych naszych, także kniazich, pańskich i *ziemiańskich* śmiał się tego ważyć a inakszemiarzy ustanawiać i ich używać... wówczas xiążęta, panowie i *ziemianie*, przez pozew grodzki będąc na rok zawity od ukrzywdzonego przyciągnięni, usprawiedliwić się mają.“

Rozdział czwarty, artykuł 14-ty. *O przesądziech i pamiętném w imionach xiążęcych, pańskich i ziemiańskich.* Artykuł 15-ty. *O braniu widzowego, oględnego i innych dochodów w imionach xiążęcych, pańskich i ziemiańskich:*

„Ustawujem... że na imionach xiążęcych, pańskich i *ziemiańskich* duchownych i świeckich, widzowego, oględnego, od więźniów, poturemnego, niema być więcej brano, tylko według tēj ustawy naszēj niżēj opisanēj, to jest, widzowi na każdą rzecz wziętemu i oględnego bitych i rannych, na miejscu grosz jeden.“

Artykuł 69-ty. *O mieszczaniech prawa Majdeburkiego.*

„Też ustawujem: jeśliby komu z mieszczan prawa Majdeburkiego, jaka krzywda działa się od xiążąt, panów i *ziemian* i poddanych ich, a oniby sami dobrowolnie usprawiedliwić się niechcieli, albo sprawiedliwości z poddanych swych nieuczynili, tedy

takowego każdego, mieszczanin ma do sądu ziemskiego powiatowego pozwać i dalej postępować przeciwko jemu, wedle postępków prawa i statutu ziemskiego.“

Rozdział dziewiąty, artykuł 31. *O porciech wodnych i o towarzech zatonętych na wodzie.*

„Gdzieby się trafiło wodną drogą wioząc towary jakie i inne rzeczy, z przygody naczynie się rozbiło albo zatoneło przy czymkolwiek brzegu, tedy on towar stonęły kupiec albo i któżkolwiek ma dobrowolnie z wody wybrać i na brzeg wynieść, a urzędnicy nasi, xiążęta, panowie i ich urzędnicy, *ziemiańskie* i ludzie prości, czykolwiek brzeg jest, niemają od tego nic brać.“

Rozdział dziesiąty, artykuł 3-ei. *O barci, o jeziora i sianożęci, kto ma w czyjjej puszczy.*

„Też ustawujemy, którzy mają barci swe w puszczy naszej gospodarskiej, albo też xiążęcój, pańskiej i *ziemiańskiej*... tedy ku jezioru z niewodem jechać wolno, ... sianożęci swych starych używać a nowych niema przybawiać.... bartnicy mają chodzić ku barciom, ale niemają z sobą psów brać, ani rohatyn, ani żadnej strzelby, czémby miał szkodę w zwierzu uczynić, ale bartnicy mają mieć tylko siekierę a piesznę, czémby barć urobić.“

Artykuł 9-ty. *O bobrowe gony.*

„Ustawujemy też, jeśliby xiążęce, pańskie i *ziemiańskie*, były gony bobrowe, dawne, wieczyste, w inszego sąsiada dziedziznie, tedy ten pan w czyjjej dziedziznie będą bobrowe gony, niema sam ani ludziom swoim dopuszczać, starego pola dobrać, tak daleko jakoby od żeremienia mógł kijem dorzucić, także daleko i sianożęci podkoszywać niema i łozy trzebić.“

Rozdział jedynasty, artykuł 39. *O karaniu ludzi stanu prostego za zabicie szlachcica.*

K' temu ustawujemy: jeśliby ludzie prostego stanu, bądź nasi gospodarcy, albo xiążęcy, pańscy, *ziemiańscy*... zabili szlachci-

ca albo szlachciankę, tedy ile ich będzie przez stronę żalobną przed prawem obwiniono, a postępkami prawnymi to na nich dowiedziono, mają wszyscy gardłem karani być.“

Rozdział dwunasty, artykuł 24. *O lożnych którzy do miast naszych gospodarskich, xiążęcych i pańskich przychodzą.*

„Każdy człowiek będąc bez służby, kiedy gdzie do którego miasta albo miasteczka przyjdzie, albo przyjedzie, ma się opowiedzieć urzędowi temu, bądź naszemu gospodarskiemu, albo xiążęcemu, pańskiemu i *ziemiańskiemu*, dając o sobie sprawę, kto i odkąd jest, komu służył i w którą stronę bierze się.“

Rozdział trzynasty, artykuł 4-ty. *O grabież człowieka xiążęcego, pańskiego i ziemiańskiego.*

„Ustawujemy też, jeśliby szlachcie czyich ludzi pograbił na targu, przy cerkwi i na dobrowolnej drodze, takowy ma stronie obwinionej winy zapłacić sześć rubli groszy, a grabież z nawiązką oddać, to jest konia koniem, wołu wołem nawiązać.“

Rozdział czternasty, artykuł 8-my. *Dla pokoju pospolitego za-
stanowienie od złodziejstwa.*

„Trafiliby się to na targu, że ktokolwiek konia, wołu, krowę i insze wszelakie rzeczy kupił w mieściech xiążęcych, pańskich, *ziemiańskich*, do samego pana, w niebytności pańskiej, do urzędnika jego przyjść i tę sprzedaż, albo frymark do xiąg zeznać i zapisać dawszy, on kto kupi albo wyfrymarczy, wypis na to sobie wziąć ma. Aby sprzedaż na targach, ale nie po wsiach, ani w domach odbywały się, tak urzędnicy nasi gospodarcy, jako xiążęcy, pańscy, duchowni i *ziemiańscy* mają postrzegać.“

Artykuł 14-ty: „Też ustawujemy gdyby pokradziono któremu panu albo *ziemianinowi* świren skarbný, a toby nań prawem było przewidziano, tedy za to będzie powinien (winowajca) zapłacić winy 12 rubli groszy i szkodę pokradzioną za przysięgą opłacić.“

Artykuł 24-ty. *O wydaniu lica z urzędu naszego i też z dworu xiążęcego, pańskiego i szlacheckiego.*

„Ustawujemy k' temu, jeśliby lice przyniesione, było do urzędu naszego hospodarskiego, xiążęcego, pańskiego i ziemianńskiego, a chociażby to lice była rzecz ważna, złoto, srebro, pieniądze, szaty drogie, tedy od wszystkiego tego lica, każdy urząd wzięwszy dochód swój 50 groszy, ma to lice temu, kto go zyszcze, wrócić i oddać, a złodziej gardłem karany będzie.“

Tak więc widzimy, z nadań królewskich, uchwał sejmowych i prawa statutowego:— że *ziemianie* posiadają ziemię, ludzi, miasta; że w obronie ziemskiej chorążowie powiatowi popisują ich razem z xiążętami i panami; że w stopniowaniu społecznym, bezpośrednio po nich zajmują miejsce; że dopóki niedosłużyli się żadnego urzędu, członkowie pierwszych domów w kraju używają nazwy *ziemian*: a więc niema najmniejszej wątpliwości, że ktokolwiek przyjdzie z aktem urzędowym, w którym przodek jego był nazwany *ziemianinem* jego królewskiej mości, ten dowód jest dostateczny na jego szlachecką rodowitość i że w myśl prawa statutowego, żadne zmiany losu, późniejsze ubóstwo, chwilowe oddanie kupiectwu lub rzemiosłu pozbawiać go klejnotu szlacheckiego niemoże i niepowinno.

Pisano w Petersburgu,
20 lipca 1853 roku.

K R O T K I Z A R Y S

HISTORII LITERATURY CZESKIEJ,

PRZEZ

LUDWIKĄ RITTERSBERGĄ.

(z Pragi Cz.)

Sądzimy, że szanownym czytelnikom téj xiążki artykuły niezbyt długie są pożądanse. Ale gdy wszystko należące do naszego założenia, poznamienia Polaków z literaturą Czeską, wiąże się w pewien jednolity organizm; dla tego, aby ułatwić zrozumienie całości rzeczy, którą mamy następnie po szczególe wyjaśniać, umyśliliśmy dać tu pobieżny rzut oka na całą literaturę Czeską. Przegląd ten uwolni nas w dalszym ciągu od powtarzania: przebiegając bowiem mające się z czasem napisać artykuły, czytelnik podług naszego tu podziału sam bez trudności będzie się mógł oryentować. Wskazawszy zasadniczy związek przedmiotów, będziemy mogli później bez obawy przerywania porządku i jasności, pozwolić sobie większego urozmaicenia w wyborze przedmiotów.

Najlepszą xiążką do poznania naszego piśmiennictwa jest Józefa Jungmana *Historia literatury Czeskiej*, od najdawniejszych czasów do r. 1846. W xiążce téj Jungman wyliczył 7,273 dzieł Czeskich, jużto drukowanych, już zostających w rękopismach; a nadto 193 dzieł, które wątpliwemi nazywa, dla tego, że tylko

znał ich tytuły, po większej części z *Indexu librorum prohibitorum*. Opierając się na pewnych dowodach, twierdzić można, iż największa część Staroczeskich pism, w czasach nieszczęśliwych dla naszej ojczyzny, bez śladu zaginęła. W późniejszych naszych artykułach postaramy się usprawiedliwić to twierdzenie. Gdy olbrzymia pracowitość nieocenionego Jungmana o wszystkich pozostałych utworach literatury Czeskiej dowiedzieć się niezdolała, gdy od ukończenia jego *Historii literatury* upłynęło już lat jedenaście, w ciągu których, jak u Czechów, tak na Morawie i u Węgierskich Słowaków, nadzwyczajnie wiele w narodowym języku pisano i drukowano: sądźmy przeto, że liczbę xiążek przez Czechów, Morawianów i Słowaków po czesku napisanych na 9,000 lub 10,000 można rachować.

Charakter i kierunek naszej literatury narodowej w każdej epoce ma inne wybitne rysy. Do pierwszego peryodu odnoszą się najstarsze pomniki naszego piśmiennictwa: peryod ten kończy się na wygaśnięciu Staroczeskiej dynastii sławnych Przemyślawców w r. 1306. Jednakże zmiana w charakterze literatury naszego ludu, spowodowana innym kierunkiem panowania królów z domu Luxemburskiego, nienastąpiła tak prędko, abyśmy się nieodważyli, za ostatni objaw pierwszego peryodu położyć rymowaną kronikę *Dalimila*, chociaż go Jungman przez sumiennność chronologiczną już do drugiej epoki przenosi. Ogólną cechą tego peryodu naszej literatury jest to, że jak w innych krajach, tak i u nas, do piśmiennictwa historyczno-dyplomatycznego, do rządowych dokumentów i tym podobnych rzeczy, używano języka Łacińskiego. Lecz i wtenczas już poezya, woniejąca aromatem ducha czysto-narodowego, pielęgnowana była w języku Czeskim. Ocalały też niektóre pisma pobożne z tej epoki pisane po czesku.

Z liczby najznakomitszych pamiątek tej pierwszej epoki literatury Czeskiej, przytaczamy tu: *Liubuszyn sąd* (znajomy także p. t. *Sniemy, sejmy*); zbiór starych poezyj, głośny pod nazwiskiem

Krółodworskiego rękopismu; *Nowy Testament Szawski*, czyli *Rheimski*, na którym dawniej królowie Francuzcy przy koronacji przysięgali; oraz *Rymowaną Kronikę Dalimila*. Mówiąc o ówczesnej literaturze Łacińskiej w Czechach, niepodobna zapomnieć o Kosmasie, patryarsze naszych historyografów (zm. 1125).

Druga epoka Luxemburska obejmuje przeciąg czasu od r. 1310 do 1409, t. j. do czasu zjawienia się Hussycyzmu. Literatura Czeska tego peryodu ma charakter arystokratyczny, zresztą zajmujący, uświetniony pięknym kwitnieniem żywiołu narodowego. Piśmiennictwo stało się bogatszym i rozmaitszym. Z tego czasu zachowały się słowniczki i wokabularze. Ocalał najstarszy *Zbiór przysłów Czeskich* przez Jana Smila Flaszke z Pardubia, który także allegoryczną *Nową radę zwierząt* napisał, a może jest autorem i innych pism satyrycznych i moralnych, które się owego czasu bezimiennie pojawiły. Wielką wartość mają pięć ułamków z epopei *Alexandreis* zwanęj. Znakomite jest romantyczne poema *Trystram*, którego Angielski oryginał naprzód na język Niemiecki a potem z tego na Czeski przetłómaczony został. Również zabawna rymowana powieść rycerska *Tandaryusz*, jest kwiatem z Angielskiej ziemi do Czeskiej przesadzonym. Z Łaciny mamy owocześnie przełożone na język Czeski: *Distycha Catonis moralia*, *Kronikę Marcina Polona* (przez Bonesa z Horzowic) i *Kronikę cesarzów Rzymskich* (przez Wawrzyńca z Brzezowej). Postępem na drodze do krytyczności odznacza się *Kronika Czeska* Przybysława Pulkawy Radonińskiego. Bijografije też zaczęły się pojawiać w tej epoce. Najlepszą z nich jest *Bijografija cesarza Karola czwartego*, przez niego samego po łacinie napisana, a na język Czeski przez nieznanego przełożona. Wawrzyniec z Brzezowej przełożył Jana Mandewilla *Podróż po świecie*, w latach 1331 — 1335 odbytą.

Miedzy rozmaitemi pismami filozoficznymi i moralno-religijnymi, zajmuje zaszczytne miejsce, oryginalne *Dzieło rycerza To-*

masza ze *Szczytnego*, systematycznie i jak na ówczas wybornie napisane.

Zachowało się niemało rękopismów traktujących o prawach i ustawach Czeskich z niepospolitą biegłością. Na ich czele stoją dzieła, któremi się pochlubić możemy, jak na przykład: *Księga starego pana Rosenberka*, *Porządek prawa ziemskiego*, *Wykład zasad prawa Czeskiego* przez Jędrzeja z Duběj, i wiele innych.

Przewodnikiem i zarazem pochodnią w tej epoce był Karol, pierwszy król Czeski a czwarty cesarz Rzymski tego imienia. Lubiący oświatę aż do namietności, zgromadzał w Pradze Czeskiej ludzi uczonych i artystów ze wszystkich krain, wyprzedzając wszystkich Niemców założył tu głośny uniwersytet, wspierał postęp w każdym kierunku, tak, że za jego panowania drzewo nauki w szerokie konary rozrastało się przemożnie.

Trzeciej epoce naszego piśmiennictwa nazначył Jungman czas od r. 1410 do 1526. Była to właściwa epoka Husycka, nacechowana surowością, fanatyzmem i bohaterskością posuniętą do najwyższego stopnia. Z tego czasu wyliczył wprawdzie Jungman 947 dzieł w języku Czeskim; ale ściśle biorąc, literatura ówczesna nie jest tak bogata jakby się zdało: bo w liczbie tej najwięcej obejmuje się dzieł opisujących niepożyteczne boowanie na arenie teologicznej polemiki i scholastyki. Jan Huss, Jakóbek ze Strzybra, Jan Rokicana, byli koryfeuszami teologów Kalisznickich. Nieśmiertelny Jan Žyzka Trocnowski, król Czeski Jerzy Podiebradzki i syn Jego Hynek (po którym pozostało dobre poema *Sen majowy*), wybornie piórem kierowali. Wiktoryn Korneliusz ze Wszechradu napisał nader ważną książkę *Oprawach, sądach i archiwach ziemi Czeskiej*, tudzież przełożył na nasz język *Pisma św. Jana Złotoustego*. Grzegorz Hruby z Jeleni przetłómaczył mnóstwo pięknych książek z obcych języków na Czeski. Źródła domowej historii z owego czasu, niestety, bardzo są ubogie. Ułamki kronik, które nam zostały bardzo w ogólności są zajmujące, — ale to

tylko ułamki. Do lepszych między niemi należą: *Nowa kronika* (ciąg dalszy starszej, którą przełożył Benesz z Horzowie); *Kronika pisarza Bartosza* (o zaburzeniach domowych w gminie Praskiej); *Kronika Czeska Eneasza Sylwiusza Pikkolominego* (później papieża Piusa II) przełożona z łaciny na czeszczyznę przez Konecza; *Historia powszechna* Pawła Žydka. W tej epoce zaczęto wydawać w Czechach gazety; ale pierwsze wychodziły tylko przypadkowo, pojedynczo, przy szczególnych zdarzeniach. Najstarsze są z r. 1515.

Lew Rozmitalski, Marcin Kabatnik i Jan z Lobkowie opisali odbyte przez się podróże. Pierwsza karta geograficzna Czeska wyszła w r. 1517. Bardzo zajmujące, a pięknym stylem pisane listy zostawili nam: Jan Žyzka z Trocnowa, Jan Huss, Gaspar Szlik i Prokop Rabsztejski; pisali też Alesz Szternberg-Holicki, Ulryk Rosenberski, biskup Joszl Rosenberski, król Jerzy Podiebradzki, oraz wyborni Morawcy Wilhelm z Parnsztejna i Šeibor Limburski. Pedagogikę uprawiał Jan z Lobkowie i Ludwik z Pernsztejna. Do astronomii mieszała się astrologija; do fizyki alchemija; do sztuki lekarskiej gusła. Pisano też o ekonomii.

Epoka czwarta zwana Rudolfską (od r. 1526 do 1620), jest tém bogatszą, że obejmuje owoce świetnej działalności cywilizacyjnej Braci Czesko-Morawskich, oraz piękne a przyjazne naukom panowanie Rudolfa II. Z owego czasu wyliczył Jungman 1,998 dzieł literackich. Kierunek tej epoki był uniwersalnym, encyklopedycznym, pedagogicznym i teologicznym. Dla mnóstwa znakomitych książek, dla płynnego i dzwięcznego języka, a zapewne i dla tego, że młodzi czytelnicy niewiele znali starsze piśmiennictwo, — epokę Rudolfską nazywano *złotym wiekiem literatury Czeskiej*. Prawda, że w tym czasie za pomocą druku, którego działalność szybko i energicznie u nas się rozszerzała, oraz przez wpływ wybornych szkół Braci Czesko-Morawskich, czytanie a za niém oświata głęboko się do masy narodu były przedarły.

Wszakże w tym złotym wieku język Czeski już nie miał tój jedności i czystości, jakimi się zaleca w epoce poprzedniej; te obszerne i okazałe xięgi niezamykały już tego szczerze narodowego ducha, jak pisma Czeskie za Przemysławców i Luxenburgów. Jakkolwiek wielka była liczba xiąg uczonych,—reakcyjne działanie, które się z panowaniem Ferdynanda I poczęło i trwało do krwawego dramatu wojny Trzydziestoletniej, pochłaniało coraz bardziej narodowość Czesko-Morawską.

W takiej massie materyałów niemożemy się zapuszczać w szerokie rozbiory; wspomnimy tylko pokrótce o niektórych wybitniejszych postaciach. Marcin Kuttén Szprynsberski był pierwszym założycielem porządku chronologicznego w historii Czeskiej. Napisał *Kronikę o założeniu państwa Czeskiego*, i drugą *Kronikę o Janie Žyżce*. Brykeć z Licka był autorem *Nauki moralnej* z dzieł wielu filozofów i doktorów kościoła ułożonej, oraz *Zbioru praw miejskich i przywilejów stanu duchownego i szlacheckiego*. Paweł Krystyan Klatowski z Koldyna na Marciniech zostawił nam nader zaćne dzieła: *Prawa i zarządzenia ziemskie*, oraz *Prawa miejskie królestwa Czeskiego*. Syxtus z Ottersdorfu napisał *Pamiętniki o dwóch niespokojnych latach w Czechach 1546 i 1547*. Tenże pospół ze swym bratem Ambrożym przełożyli wiele ważnych xiąg Łacińskich na język Czeski. Wacław Hajek z Libočan jest autorem kilku dzieł, między którymi odznacza się *Kronika Czeska*, wielce popularna, lecz przepełniona błędami. Jan August biskup Braci Czeskich układał piękne *Poezye religijne*, osobiwie w więzieniu, w którym go, zmęczonego wprzód na torturach, cesarz Ferdynand I przez lat szesnaście trzymał. Z pod jego misternego pióra wyszło wiele pism, pomiędzy którymi najwięcej teologicznych. Szymon Lomnicki z Budeza, bardzo obfity autor (bo zostawił 42 dzieł), był najznakomitszym poetą tój epoki tudzież dobrym satyrykiem. Danijela-Adama z Welesławina można nazwać patryarchą epoki Rudolfskiej. Od r. 1572

do 1576 był professorem uniwersytetu Praskiego; ale zrzekł się tój posady, i ożenił się z córką sławnego drukarza Jerzego Melantrycha z Awentynu, po którym objął drukarnię. Tu się tak popisowywał, że słynął pod nazwiskiem *Arcy-drukacza*. Nasz Jungman tak o nim pisze: „Styl i język jego dotąd za przykład służy. Cokolwiek literackiego w Czechach wyszło pod panowaniem Rudolfa, to wszystko jego za twórcę, albo za tłómacza, albo za pomocnika, albo za drukarza miało.“ Syn jego Samuel Adam z Welesławina postępował zaszczytnie drogą wskazaną przez ojca, nim wygnany z ojczyzny, na cudzej ziemi dokonał żywota.

W ogólności epoka ta wydała daleko więcej przekładów, niż dzieł oryginalnych. Do lepszych tłómaczów należą: Jan Stranienński, Paweł Worliczny (Aquilinas), Tadeusz Hajek z Hajka, Tomasz Reszel, Wacław Placel z Elbingu, Adam Huber z Ryzenbachu, Jan Kocyn Kocynecki, Abraham Günterod, Wojciech-Sebastyan Berliczka (Scipio) i kilku innych. Grammatykalnych traktatów o języku Czeskim, Łacińskim i Niemieckim, było nader wiele. Jakób Sernee Wazważowski wydał *Zbiór przysłów Czeskich*. Słownikarska literatura tój epoki obfituje w wiele dzieł nienajgorszych. Jeden z pracujących w tój gałęzi nauki Piotr Lodereker wydał Słownik siedmiorga języków, oraz *Kancyonały* (zbiory hymnów kościelnych), zawierające obfite skarby poetyczne i muzykalne, którymi Czechowie chlubić się mogą. Historia była też starannie pielęgnowana. Prócz autorów już wspomnianych, słynęli w tój sferze D. A. z Welesławina i nieśmiertelną zasługą uwieczony Polak Bartłomiej Paprocki. Geografia była także uprawiana.

Swoje podróże do cudzych ziem pięknie opisali Czescy ryccze Ulryk Prefal z Wilkanowa, Wacław - Wrotysław z Mitrowie, Wacław Budowec z Budowa, Krzysztof Narald z Polzyc i Bezdrzyż, i inni. Na roku 1597 zaczęło się porządniejsze miesięczne wydawanie gazet. W ogóle najrozmaitsze nauki miały swoich

uprawiaczy. Z wielkiej liczby pism teologicznych niegodzi się przypomnieć *Biblii Kralickiej* Braci Czesko-Morawskich, przez siedmiu bardzo uczonych ludzi ułożonej, która pod względem języka i ortografii nader długo za nieomylny autorytet uchodziła. Z owej też epoki mamy najdokładniejsze zbiory praw Czeskich, Morawskich i Szlązkich.

Epoka piąta (od r. 1620 do 1774), napiętnowana rozkładem i ulotnieniem ducha narodowości, smutne obudza wspomnienie. Po przegranej na Białej górze, bardzo źle poszło ozdobom naszego Parnasu. Professorowie uniwersytetu Karolińskiego musieli na rozkaz cesarski w ciągu trzech dni opuścić Pragę. Wszyscy niekatolicy, składający większą część ludności w Czechach i na Morawie, zostali wygnani z ojczyzny. Uniwersytet Praski oddano Jezuitom. Kości sławnych Czechów wykopano z ziemi i spalono,—grób uchronić niemógł od prześladowania. Pomiedzy osobami świętymi za cesarskim rozkazem byli przedni pisarze albo mecenas literatury: Wacław z Budowa, Harant, Kaplerz, Bogusław z Michałowie, Jędrzej Szlik, Otto z Losu, Dyonizy Czernin i wielu innych. Niektórych wieszano; inszych ćwiertowano. Sławnemu doktorowi Janowi Jeseńskiemu urżnięto język, potem go ścięto, nakoniec rozćwiertowano. Lomnicki przez Rudolfa II wawrzynem uwieniczony, dostał teraz na Praskim moście sto kijów i musiał pójść po zebranie. Miłośników oświaty narodowej, wygnanych z ojczyzny przez cesarza, było tyle, że ich ani wyliczyć niemożemy. Największe przywileje królestwa Czeskiego rozdarł własną ręką cesarz Ferdynand II. Jezuita z cesarskimi żołnierzami, od domu do domu, chodzili po całej ziemi; a gdzie Czeskie książki znajdowali, wydzielali je gwałtem z rąk ludu, pod pretekstem zawierającej się w nich herezyi. Książka Czeska a heretycka, u nich znaczyło jedno. Tak powydzierane skarby naszej literatury, składali Jezuita w wielkie stosy, i palili je, jako uroczyście auto-da-fe. Jak długo to trwało, widać

z tego, że jeszcze Jezuita Antoni Koniasz, który w r. 1760, więc we 140 lat po bitwie na Białej górze umarł,—chwalił się, że on sam 60,000 (sześćdziesiąt tysięcy) Czeskich książek popalił. Szkoły przeszły do rąk Jezuitów:—i nauki tak świetnie przedtym w Czechach kwitujące, teraz upadły całkowicie.

Co przy takich okolicznościach mogła wydać nasza literatura? Jungman wprowadzie i z tej epoki 1677 dzieł autorów Czeskich wylicza; ale jakież to były te dzieła? Partaniny pisane przez Jezuitów lub w ich duchu. Oto próbka: „Zaklinać aneb „bić dąbla s abzwłástnými zprávami na złé duchy kteříž se při „pokladech nacházěj, jak se mají skrze tytoswaté modlitby adhá- „nět pryč niež se nachází wirgulár ukazujúc kde se mají wir- „gule řezati“ i t. d. Albo też: „Křestánský Zodyak, t. j. nebesky „cirkl a kolo, aneb dwanáctero znamení, po kterýchžto každý „křestán blíž poznati může, zdaliby křestán k věčnému životu „byl předřizen čili ne“ i t. d. Mnóstwo mamy podobnych wyrobów. Kto chce, niechaj taką partaninę literaturą nazywa!

Jeżeli w tej epoce Muzy Czeskie zupełnie niemilezały, zawdzięczamy to tylko szlachetnej pracowitości Braci Czesko-Morawskich, z ojczyzny wygnanych na tułaczkę: były to gwiazdy wśród ciemnej nocy ogarniającej cały naród! Kiedy zgasły te gwiazdy, słońce jeszcze długo nieweszło. Najsławniejszym z tych wygnańców był Jan Amos Komeński (Komeniusz) ostatni biskup Braci Czeskich. Wsławionymi pisarzami byli także: Paweł Skala ze Zhorza, Bogusław i Olbracht Krzynecki z Ronowa i kilku innych. Komeńskiego imię ma rozgłos Europejski; do scharakteryzowania go i jego dzieł potrzeba osobnego artykułu. Skala napisał *Chronologiję kościelną*, tudzież *Powszechné dzieje Kościoła*, zawierające gruntowne wiadomości o politycznych wypadkach w Czechach za jego czasu. Uczone dzieła tych męczenników wzniosły się jak mauzoleum na grobie oświaty Czeskiej.

Szósta i ostatnia epoka naszej literatury zaczyna się od r. 1774, w którym cesarz Józef II po szkołach i sądownictwach zaprowadził język Niemiecki, tak w Czechach jak i na Morawie. Jestto epoka walki mordereczej, z jednej strony o zachowanie narodowości, z drugiej o zatarcie jej śladów. Prawda, że za Józefa II zbudziła się oświata w Czechach i nienajgorzej się krzątała; ale nowa literatura, czy to przez cudzoziemców, czy przez rodowitych Czechów pielęgnowana, była nie nasza, nie Czeska—lecz obca. Urzędnictwo, służba wojenna, szkoły nauki, piśmiennictwo, sztuki piękne, wyższe warstwy towarzyskie i przemysł, wszystko miało wspierać politykę cesarską, dążącą do zniemczenia Czechów i Morawianów.

To się działo za ojców teraźniejszej starszej generacji naszej. Większość arystokracji, mianowicie posiadacze ogromnych dóbr, byli z cudzej krwi, po bitwie Białogórskiej na majątnościach Czechom odjętych osadzeni. Z małej liczby arystokratycznych rodzin Czeskich, co się utrzymały przy swych posiadłościach, największa część na ołtarzach cudzych bogów składała ofiary. Ponieważ do Niemieckiego urzędowania w pierwszej chwili dosyć Czechów albo Morawców się nie znalazło: przeto całe zastępy ladajakich ciurów Niemieckich osiadły kancelarye, rozpełzły się po kraju. Przeciwno tej powodzi obczyzny stali mieszczaństwo i kmiecie Czescy; lecz i wśród nich liczne dystrykta kolonij Niemieckich robiły luki. Duchowieństwo, szczególnież niższe, trzymało więcej z ludem, niż inne wyższe klasy.

Literatura Czeska była zniszczona,—lud zaniedbany, nędzny, ślepy, bez głowy, bez energii. Garść patriotów naszych zrozumiała, że ludowi w Czechach i na Morawie zagraża los, jaki spotkał Słowian Nad-Elbiańskich, którzy dawno utracili swój język i imię swych ojców. Ale jaki było wynaleźć ratunek? Niewiemy, niema co robić, wszystko darmo! Tak odpowiadał prawie każdy; i wyznajemy, że samibyśmy to powiedzieli, gdyby dzisiejsze po-

łożenie było tak smutnem jak ówczesne. Nierzeklibyśmy nie więcej nad to, co największy Słowianofil swojego czasu, słynny Józef Dobrowski wyznawał. Wielki ten genjusz, cud uczoności Czeskiej (ur. r. 1753, zm. 1829), pisał o naszym języku, o naszej historii, o Słowiańszczyźnie; lecz uważając to wszystko za umarłe, za preparata anatomiczne, i sam po czesku niepisał i nie chciał aby drudzy to czynili. Weiaż tylko mówił: „Dajcie pokój umarłym!“

Jednakże choć mimowoli, choć nieświadomie, stał się Dobrowski odrodzicielem Czechów. On przygotował właśnie to, czego założyciele nowych fundamentów oświaty narodowej potrzebowali; on utorował im drogę; on, niechęć ani słysząc o Nowoczeskiej literaturze, jak Atlas dźwignął ją na swe barki i podniósł ku górze. Do pierwszych wielbicieli opuszczonego Parnasu, do pierwszych obrońców umierającego ojczystego języka, należeli: Sebastyan Hniewkowski, Antoni Piszeli, Antoni Puchmayer (lub Puchmir), Józef Rautenkrane (lub Rautowski), Karol-Ignacy Tham, bracia Wojciech i Jan Nejedłowie, Franciszek-Jan Tomsa, Wacław-Maciej Krameryusz, bracia Józef i Antoni Jungmanowie, Wacław Hanka. Bez nagrody i wsparcia, zasilani jeno współczuciem garści lepszych rodaków, wyśmiewani przez wielki świat, przez tak zwane towarzystwo dobrego tonu, biorące ich za waryatów, niedali się zrazić i pozostali wierni postanowieniu stworzenia nowej literatury narodowej prawie z niczego; nielekali się smutnych następstw, że całą siłę, całą niezmordowaną działalność, całe życie swoje poświęcają dla rzeczy bezwarunkowo zgubionej.

Bojowali na śmierć i życie, ufni w dobroć sprawy, z nadzieją powodzenia. Studiowali starą literaturę narodu, pisali oryginalnie, przekładali z obcych języków dzieła, uczyli się i uczyli drugich, werbując młodzież pod chorągiew oświaty Słowiańskiej,—wytrzymali aż do końca, który się uwieńczył zwycięstwem. Hniewkowski, Puchmayer, Wojciech Nejedły, pielęgnowali głów-

nie poezję; Tham, Tomsa, Jan Nejedlý pracowali nad uprawą języka; dzieła Jungmana i Hanki, stanowiące epokę, potrzebują osobnego artykułu.

Rozwinięto chorągiew narodowości, — i wnet pozyskano publiczność, chociaż nieliczną, ubogą. Ale bój był równie ciężki jak święty, począwszy od końca wieku XVIII do drugiej ćwierci XIX. Nieraz omdlały, ręce, nieraz nadzieja się zachwiała. Ogromna massa niewierzących, niesprzyjających patryotom, patrzyła wciąż na to z urągowskiem. Na nieszczęście usprawiedliwiała w części takie patrzanie zawzięte a gorszące spory o ortografię. Dobrowski ustanowił tak zwaną *ortografię analogiczną*, bardzo rozumną i potrzebną; Hanka ją przyjął i rozjaśnił. Nejedlý bez przyczyny począł na nią powstawać, denuncyować u rządu, — a wynikłe ztąd spory trwały aż do r. 1848. Ortografija Hanki i Czelakowskiego tak się rozszerzyła, iż jest nadzieja, że się na koniec utrzyma.

Co takie swary i inne przeszkody psuły, to naprawiało zgłębianie żywiołów Słowiańskich; myśl do tych badań, jak wiele innych, podał mimowoli Dobrowski. Przeciż oddziaływania nieprzyjaciół naszej narodowości były tak mnogie, tak uzbrojone silnemi środkami, że życie albo zaginięcie Nowoczeskiej literatury długi czas było niepewnem. Do ugruntowania wiary, do pokrzepienia znużonych bojowników oświaty narodowej, potrzeba było nowej a silnej dźwigni moralnej. Dźwignia ta się znalazła. W r. 1817 Hanka wydarł zatraconiu *Rękopism Królowowski*, o którym jużśmy wspomnieli. W r. 1818 wynaleziony przez Norberta Vanka *Sąd Liubuszyn*, do naszego muzeum oddany został. Te nieocenione zabytki Staroczeskiej liryki narodowej wzbudziły powszechny zapal. Niemcy Herder i Goethe, przed niedawnym czasem, przykładem własnym nauczyli naszych literatów, że w poezji gminnej, w piosnkach prostego ludu wielkie skarby spoczywają. Skoro u nas tę prawdę zrozumiano, naczelnicy rozkrzewiciele

naszej umysłowości wzięli się energicznie do rzeczy. Franciszek Władysław Czelakowski, wydaniem *Narodowych pieśni Wszechsłowiańskich* (głównie Czesko-Rusko-Illiryskich), do badania gminnej poezji Słowiańskiej wielkiego dodał popędu. Później Karol Jaromir Erben wydał piękny zbiór *Narodowych pieśni Czeskich*, a Franciszek Suszył wyborne *Pieśni gminne Morawskie*. Z narodową poezją Słowaków poznał publiczność Jan Kollar, wydając pieśni tego ludu p. t. *Narodnie zpiewanki*.

Wacław Hanka, Józef Jungman, Jan-Świętopełk Presl, hrabia Berchtold, Jandera, Jan Purkynie, udali się do rządu z prośbą o pozwolenie założenia muzeum w Pradze. Dopiął tego hr. Gasper Sternberg, — i muzeum Czeskie, które podówczas można było nazwać narodowem, założonem zostało 15 kwietnia 1818. Najwyżsi dostojnicy Czesey: hr. Franciszek - Antoni Kolowrat Libsztejński i jego następca hr. Karol Chotek, obaj należący do rodzin patryotycznych, opiekowali się młodym zakładem. Tu miała ognisko oświaty Czeska, mając ku rozszerzeniu dobroczynnego ciepła wszelkie możliwe pomoce. O komitetach tego muzeum powiemy później; tutaj wspomnimy tylko, że *Macica Czeska*, w r. 1831 założona, długo była silną podporą naszego piśmiennictwa. Ogromne postępy historyograficzne, które takie obudziły zajęcie, taki ruch umysłowości sprawiły — w dziejach Czeskich Franciszko-wi Palackiemu, a w Starosłowiańskich Pawłowi - Józefowi Szafarzykowi, zjednały wdzięczność rodaków i Europejskie imię.

Nowa epoka literatury Czeskiej zajaśniała pięknym blaskiem. Wyobrażenia zmieniły się aż do zasad. Dźwięczna lira Jana Kollara, natchnionego piewcy *Sławy Córy*, moeno sercami wstrząsnęła. Wyćwiczona pod starymi wodzami, młodzież ochoczo stanęła w szeregi. Niejeden Czech, który dotąd dla braku rękopisów mało dbał o narodową literaturę, teraz ochoczo stanął na jej stronie, i czytelnictwo Czeskie znacznie rozszerzyło swój zakres. Wszakże obok tego wszystkie żywioły, któremi się narzucona

Niemiecka supremacya podpieraa, żyły i działały po dawnemu. Czesi, broniący swego języka i narodowości, tak samo jak dzisiaj, walczyli nierówną bronią z żelaznym zastępem, złożonym z wyższego towarzystwa, z przemysłowców, z ogromnej czeredy biurokratyczno-wójskowej, ze szkolnictwa, z większości artystów i z *non plus ultra* niemieckich synów Izraela; — braknie oddechu na wyliczenie wszystkich szczegółów tej skomplikowanej morderczej machiny.

Pod hasłem: „*Pro aris et facis!*“ przyjaciele narodowości, chociaż nawet pomiędzy swoimi uważani byli jeno za jakieś stronnictwo, stworzyli przecież przy najtrudniejszych okolicznościach nową literaturę ojczystą, która już teraz tak się rozgałęziła, że chyba osobna książka mogłaby w całości odzwierciedlić jej oblicze. Tutaj podamy tylko niektóre główne jej rysy. Ograniczymy się na autorach znaczniejszych dzieł oryginalnych: bo przekładów z języków obcych mamy tak wielką masę, że niepodobna by je przeliczyć w lada chwili.

Mickiewiczów ani Puszkina, niestety, niemamy; niejedna gwiazda Parnasu Polskiego mogłaby u nas bezpiecznie za słońce uchodzić: przecież poezya Nowoczeska, przed r. 1848 dosyć obfita, zaszczyca się nieposłednimi płodami. Patryarchą naszej liryki był patryotyczny, ognisty Słowak Jan Kollar. Z poezyj Franciszka - Władysława Czelakowskiego, uważamy za najlepsze *Odgłos pieśni Czeskich*, lubo i wiele innych jego utworów odznacza się niepospolitemi przymiotami. W pojęciu ducha czysto Słowiańskiego stoi na pierwszym miejscu Karol - Jaromir Erben, chociaż niewiele wydał ze swych wybornych poezyj. Gładkim stylem a niezrównaną znajomością języka słynie Karol Winařzky. W kwiecie młodości r. 1838 zmarły, Karol-Hynek Macha napisał poemat *Maj*, które wielkie było wzbudziło nadzieje, — śmierć je zniweczyła. Utalentowany Jarosław Langier stał się ulubieńcem Czeskich Muz i publiczności, lecz umarł zbyt prędko naprzód

duchem a wkrótce ciałem. Jan-Erazm Wocel, dziełami swojemi: *Przemysłowcy*, *Miecz i Kielich*, *Labirynt sławy*, stanął na czele narodowych epiecznych pisarzy. Nieżyjący już Jan-Prawosław Konbek zasłużył na uczenie przez wielostronne wykształcenie i żywą fantazyę; oprócz innych szacownych prac, pięknie i czule opiewał *Groby poetów Słowiańskich*. Wincenty Furch jest naczelnym przedstawicielem śpiewaków Morawskich. Niedawno zmarły Milota Zdirat Polak wydał poemat *Wzniosłość przyrody*, które się bardzo podobało. Karol-Marya baron Villani przed rokiem 1848 płodny i ulubiony poeta, teraz milczący, jest autorem *Lyry a miecza* i wielu innych utworów. Wspomnijmy tu jeszcze — śpiewnego sielankarza Wacława-Jaromira Piecka (który pisał także pod imieniem Podswijańskiego), wielce zasłużonego Józefa - Kalasantego - Kajetana Okmeńskiego, utalentowanego i przejętego patryotycznym zapałem młodego hr. Rudolfa Choteka, księdza Tupe (Jabłońskiego) oraz ognistego Józefa Frycza (syna). Jeżeli o wielu innych synach Apolla niemówimy, to nie dla tego, iżby pomiędzy nimi nie było dosyć nienajgorszych poetów. Przed rokiem 1848 utworzyło się było kwieciste grono z naszej płci pięknej, coś à la Sappho, à la Korryna. Wdzięczne ich wiersze wychodziły w równiance p. t. *Pomnienki*. Ostry wiatr kazał zamilknąć tym naszym nieśmiałym słowiczkom. Jedną tylko Marya Czacka (właściwie Franciszka Pichlowa, małżonka szanownego literata Czeskiego), niezrażenie pielęgnująca naukę, wydała w bieżącym (1856) roku zbiorek swoich dźwięcznych a przyjemnych poezyj.

Pole powieściopisarstwa uprawiał głównie Józef-Kajetan Tyl, obfity autor bardzo popularnych powieści. Jan-Henryk Marek (pseudonym Jan z Hwizdy) wydał szacowne powieści romantyczne p. t. *Konwalinky*, r. 1824, i *Zabawne pisma* w r. 1843. Czcigodny weteran, Wacław Kliepera, dowiódł, że i w romansach nie brak mu oryginalności i bogactwa fantazyi. Na wysokim stopniu

w powieściopisarstwie stanął Prokop Chocholouszek: — dzieła jego unas z ochotą czytane, przełożone na język Illiryski bardzo się południowym Słowianom podobały; — sądzymy, że niektóre z nich godne są aby je kto i na Polski przetłómaczył. Ulubione są także *Romanse, powieści i narodowe klehdy*, Bożenny Niemców. Zalecające się energiczną fantazją i stylem efektu pełnym powieści Józefa-Jerzego Kollara, mogą być każdej literatury ozdobą. Karola-Władysława Zapa *Podróże i przechadzki po wschodniej Galicyi* zajmują wierną charakterystyką opisywanych miejscowości. Także niektóre powieści piérwszój jego małżonki Honoraty z Wiśniowskich Polki, która po czesku pisała, zasługują na ocenienie. Moser napisał zajmujący romans, *Ślepa pani*. Żywe uczucie i półot romantyczny charakteryzują powieści Józefa Frycza syna (Brodskiego). Franciszek-Jaromir Rubesz (Czyżkowski) i Wacław Filipek wspierali humorystykę, osobliwie w xiążce zbiorowój *Paleczek*. Wlastymiła Rużyczkówna i Chorwatka Józefa z Kunowic Kubinowa, pomagają Muzom Czeskim wierszem i prozą. Autor obecnój korespondencyi wydał także kilka powieści; niektóre z nich wyszły pod tytułem: *Zabawne pisma*.

Drammatyczna nasza literatura ciągle się wzbogaca. Zamilczając o mnóstwie ulotnych produktów i wielkiej massie przekładów (pomiędzy któremi przekład Szekspira epokę stanowi), ograniczymy się wyliczeniem lepszych oryginalnych pisarzy. Jan-Nepomucen Sztiepanek i Wacław Kliepera byli piérwsi, co wypędziwszy z Czeskiej sceny Rynaldów i Hansklachlów, poczęli ją osadzać narodowymi postaciami. Najznakomitszym był Kliepera, któremu do szczęśliwego rozwinięcia pięknego talentu, jeno czystszej i jaśniejszej niż Kralohradecka atmosfery brakowało. Chociaż i dramata jego mają swą cenę, najwięcej mu jednak wesoła Thalia sprzyjała. Niewyczerpana płodność Kliepery długi czas była jedyną podporą Czeskiego repertuaru, i długo jeszcze jego jędrne prace będą lubione. Józef-Rajetan Tyl, krom wielu

innych zasług, pisał niemało dzieł dramatycznych. Niektóre z nich bardzo się podobały. Jeżeli ku końcowi swojego męczeńskiego życia wystąpił ze słabszymi utworami, to dla tego, że był zmuszony do zbyt prędkiego pisania. Jerzy Kollar, znakomity tłómacz wielu dzieł klassycznych, jest także autorem kilku oryginalnych. Piękny jego dramat *Monika*, przełożony na język Polski przez J. N. Kamińskiego, i na Lwowskiej scenie się podobał (1851). Zabawna jest jego komedia *Numer 67*, pełna wielkich efektów *Magelona*; lecz koronę dzieł Kollara stanowi wzniosła tragedia *Śmierć Żyzki*, w r. 1850 raz tylko, ale z ogromnym powodzeniem, w Pradze przedstawiona, a potem zakazana i skonfiskowana.

Wysoko także stanął Ferdynand B. Mikowec. Jego tragedye: *Zguba rodu Przemysławskiego* i *Dymitr Iwanowicz* (Samozwaniec), były bardzo uprzejmie przyjęte. Teraz ma pod piórem trzecią: *Konrada Wallenroda*. Szymon Karol Machaczek, pilny tłómacz, pisał też dzieła oryginalne; jego komedia *Zalotnicy* (Żenichowie) i tragedia *Zawisz* ze wszech miar są pięknymi utworami. R. J. Erben jest autorem dobrego wodewilu, *Piwowarzy* (Sladcy). Józef Frycz syn (pod pseudonymem Hynek) z powieści Gogola *Taras Bulba* ułożył dramat, który niedawno na naszej scenie przyjęty został z poklaskiem.

Na polu historycznym, wykarczowanem z większych zawad przez Dobrowskiego i jego poprzedników, wyrosły Franciszkowi Palackiemu i Pawłowi-Józefowi Szaffarzykowi nieśmiertelne laury. Kilka krótkich słów niemogłoby wyliczyć ich zasług: dla tego zamierzamy w późniejszych artykułach obszerniej o nich pomówić. Oprócz tych ze wszech miar zacnych mężów, mamy jeszcze innych zasłużonych historyków. Józef-Franciszek Smetana wydał w r. 1846 *Powszechną historję świata*, o tyle dokładną, o ile mu okoliczności pozwalały. Aloizy-Wojciech Szembera jest autorem wielu wybornych monografij, będących dobrym przyczynkiem

do ogólnych dziejów ojczyźnych. Antoni Boczek historyograf stanów Morawskich (zmarły 1847), zgromadził wiele materyałów, lecz mało prac mógł dokończyć. Professor Wacław-Władywoj Tomek wydał *Krótkie dzieje Czech*, *Dzieje cesarstwa Austriackiego*, *Dzieje powszechne*, obszerne *Dzieje uniwersytetu Praskiego*, *Dzieje Pragi Czeskiej* i t. d. Niemaló także zajmujących wiadomości do historyi Słowiańszczyzny ogłosił pilny professor Karol-Władysław Zap w rozmaitych czasopismach. Od K.-J. Erbena mamy nader ważny *Dyplomatarysz Czeski* i kilka szacownych monografij. Józef-Sławomir Tomiczek wydał *Dzieje Angielskie*. Pan baron Alexander Helfer raczył się męczyć nad uczeniem się języka Czeskiego, aby napisawszy dzieło o *Janie Hussie*, obalić autorytet F. Palackiego:— zobaczymy!

Wasz korespondent jest autorem *Kieszonkowego słowniczka konwersacyjnego*, zawierającego materyały do najnowszój historyi, szczególnieź Słowiańskiej, i *Dziejów Rossyi aż do pokoju Paryżkiego, 1856*.

Obok historyi stoi archeologija. Pracownikami na tój niwie są: J.-E. Wocel, który do tój nauki w Czechach drogę utorował; gorliwy redaktor *Pamiętek archeologicznych* K.-W. Zap; W. Hanka, i t. d. Niezmordowany badacz i zbieracz starożytności, wielce zasłużony Wacław Krolmus, wydał między innemi (pod imieniem Sumlorka), bogaty zbiór *Staroczeskich powieści, pieśni gminnych, przysłów* i t. d. Niemożemy zamilczeć, że i Jan Kollar wiele pisał o archeologii, chociaż, niestety, nader żywa jego fantazya często zapominała o krytyce.

Najznakomitszym pracownikiem na polu geografii w naszój nowszój literaturze jest K.-W. Zap; najwięcej mapp z Czeskim tekstem rytował W. Merklas. O historyi naturalnej wydali obszerne i gruntowne dzieła Jan-Swiętopełk Presl i brat jego Karol-Borzywoj. Józef Peczyrka jest autorem dobrej *Zoologii* dla gimnazyj. Wielce zasłużony Jan Purkinie redaguje traktujące o przy-

rodzie czasopismo *Žywe*. *Małą historyę naturalną* napisał Wacław Staniek. Antoni Skrzywan jest autorem wybornego dzieła *O nauce kupieckiej*. Józef-Franciszek Smetana wydał doskonałą *Astronomiję* i również dokładną *Fizykę*. Zbyt zawczeźnie zgasły professor Petrzyna jest autorem kilku prawdziwie klassycznych artykułów w przedmiocie fizyki i matematyki. Antoni Jungman (brat Józefa) pisał o *Sztuce położniczej*. Filip-Stanisław Kodym, pilny redaktor *Gazety gospodarskiej*, wydał *Zabawy niedzielne* (pismo popularnie traktujące o rozmaitych przedmiotach fizycznych), *O żywiołach*, *O zdrowiu*, i t. d. Karol Amerling napisał: *Entomologiję*, *Florę Alpejską*, *Chemiję*, *Naukę o truciznach i środkach na nie*, i wiele innych. J.-S. Presl jest autorem *Chemii* i *Technologii*. Dla technologii jest także ważny *Słownik gospodarsko-techniczny*, utwór bardzo czynnego Fr. Szpatnego.

I amatorom filozofii możemy ukazać dzieła, coby ich zajęły. Pisali w tym przedmiocie: Antoni Marek, Klacel, Amerling, Hannusz i inni. Na wspomnienie zasługują *Listy o wychowaniu kobiet*, pozostałe w rękopiśmie po Honoracie z Wiśniowskich Zapowój. Pedagogicznych dzieł mamy dosyć; pobożnych mnóstwo.

Gramatyka, Słownikarstwo, filologija pielęgnują się gorliwie. Patryarchą naszych filologów był Dobrowski, głównym filarem tój nauki Józef Jungman. Hanka wydał *Gramatykę języka Czeskiego*, opierając się na systemie Dobrowskiego; ułożył maleńkie *Grammatyki Polską i Illiryską* oraz rozszerzył i wydał *Grammatykę języka Rossyjskiego* Puchmayera. P.-J. Szaffarzyk pisał nader uczone dzieła *O języku Staroczeskim i Glagolice*. Jan Nejedlý bojował uparcie za ortograficzny stabilizmus. F.-Z. Czelakowski wydał *Porównawczą grammatykę wszystkich języków Słowiańskich* i *Dodatek do Czeskiego słownika Jungmana*. Franta Szumawski jest po Jungmanie najznakomitszym leksykografem Czeskim; obecnie pracuje nad wielkim *Słownikiem wszystkich języków Słowiańskich*. Podstrański wydał *Słowniczek Polsko-Czeski*.

Jerzy Palkowicz wydał *Słownik Czesko-Niemiecko-Laciński*. Inni nad lingwistyką pracujący autorowie są: J.-B. Mały, Tomiczek, pilny a patriotyczny Tomasz Buryan, Koneczny, Kampelik, Hatala, i wielu innych.

Nieraz ukazywały się na horyzoncie naszej nowej literatury almanachy; ale od *Noworoczenki* Klieppry i Chmely, aż do zajmującej *Lady-Nioli* wydanej przez Józefa Frycza, wszystkie upadły, niepozyskawszy współczucia publiczności. Kalendarzy mamy aż do zbytku. Najlepsze z nich są: *Kolada* w Bernie pod redakcją Chytyla, i *Pokladnice* w Pradze Czeskiej pod wydawnictwem Ohérala.

O dziennikarstwie naszym, o jego pracowitości i trudnym rozwijaniu się do r. 1848, o jego zakwitnieniu w latach 1848 i 1849, o smutnym upadku od r. 1850, pomówimy w osobnym artykule. Teraz mamy: rządową *Gazetę Praską* (Praskie nowiny) pilnie redagowaną przez Szestaka; *Słoweńskie nowiny* w Wiedniu, mało warte; *Morawski narodowy liść* w Bernie pod redakcją Hanemanna, który z najpoczeiwszą wolą tyle czyni, ile mu słabe środki pozwalają. Peryodyczne pisma Maticy Czeskiej (wszystkie kwartalne) są: *Czasopism Czeskiego muzeum* pod redakcją Wacława Nebeskiego; *Pamiętki archeologiczne* pod red. R.-W. Zapa i Żywa pod red. Jana Purkinie. Ultramontański *Blahowiest* redaguje Wacław Sztule, — *Gazetę gospodarską* Kodym. Głównym reprezentantem naszej beletrystyki jest tygodnik *Lumir* redagowany przez B.-F. Mikowca. Wybornie stawia pierwsze kroki nowe pismo popularne *Praski posel* pod redakcją Wojciecha Bielaka. Dobre czasopismo pedagogiczne *Szkola i Życie* ma za redaktora zasłużonego xda F.-J. Rzezacza. W ogólności, terażniejsze okoliczności bardzo mało sprzyjają peryodycznej Czeskiej literaturze.

Słowacy Węgiersey od wieków byli połączeni z nami piśmiennictwem; czytając Czeskie książki, które bardzo dobrze rozumieją,

sami też piszą po Czesku. W ciężkim boju o wywalenie praw obywatelstwa dla młodej Czeskiej literatury, bracia Słowacy stali z nami pod chorągwią sławnego Jana Kollara, P.-J. Szaffarzyka i czciwego Jerzego Palkowicza, — zawsze i mężnie nieśli swą chętną pomoc! Antoni Bernolak (ur. 1762, zm. 1813) zaczął był wprowadzić przyswajając literaturze Słowaków dyalekt Nitrański; lecz każdy wkrótce się przekonał o śmieszności, beznadziejności, a najbardziej szkodliwości tego przedsięwzięcia. Niezważając na to Liudewil Sztur i Miłosław - Józef Hurben ze swymi towarzyszami, spowodawawszy nowe odszczepieństwo niektórych ziomków od języka Czeskiego, probowali wznieść na tron literatury Słowackiej dyalekt Liptowski. Jestto dowód niepojęcia własnego interesu.

Byłoby dziwnie zaprawdę, gdyby ktoś radził Polakom: „Nie-dobrze, że wszyscy macie literaturę Polską; trzeba wam mieć literatury dyalektów lub żargonów Rzeszowskiego, Tarnowskiego, Wadowickiego, Radomskiego i t. d., czyli dla każdego obwodu i miasta inny język literacki.“ Każdy rozumny Polak na taką radę odpowiedziałby owemu mędrkowi: „Jesteś waćpan półgłówek.“ Jeszczeż gdyby wszyscy Słowacy tylko jeden mieli dyalekt! ale w każdym obwodzie, w każdym zakątku mówi się coraz inaczej. Kto zechce puścić się w tę gmatwaninę, zabłądzi w labiryncie, z którego i nie Aryadny niewyprowadzi. My Czechowie wcale nie mamy potrzeby gniewać się za to odpadnięcie: bo gdy się pojawił koncept Sztura, tyle już młodzi stało pod sztandarem narodowej oświaty, że zbiegowstwa tego mogliśmy nawet niepostrzedz. Ruch polityczny, i socyalny, wsparty środkami materialnymi naszej własnej ojczyzny, tętni życiem i zdrowiem. Pracowników mamy tyle, że moglibyśmy podtrzymać piśmiennictwo daleko bogatsze niż nasze. Dla tego nieszczęśliwie pomyslane współcznienie się Sztura, Hurbena i spółki, nikomu niejest tak szkodliwe jak im samym i Słowakom. Lejąc do beczki Danaid,

naprózno się wysilają, nie inszego ztąd niemając nad to, że oświacie narodowej Słowiańskiej stawiają zawady, a cudzoziemszczyźnie wrota na oścież otwierają.

Pozostaje jeszcze mówić o zakładach naukowych i sztukach, z literaturą Czesko-Słowiańską w blizkim zostających związku. Zamierzamy sobie pomówić z czasem obszerniej o szkołach, o Muzeum i Matcey Czeskiej, o Matcey Morawskiej, stowarzyszeniach naukowych i przemysłowych, o bibliotekach, teatrze, muzyce, malarstwie, architekturze, sztuce wojennej u starych Czechów, i innych ogniskach ducha narodowego.

Bogdaj szanowni czytelnicy Polscy równie chętnym sercem przyjęli naszą pogadankę, jak Czesi już oddawna wiadomości o literaturze i narodowości Polskiej z prawdziwem upodobaniem czytają!

LIST PROFESSORA Z.

(z Pragi Cz.)

Odezwe Pańską do mnie uważam za piękne zjawisko przebudzającego się uczucia, które Bóg wlał do serca każdemu ze Słowian, aby ich kojarzyło i ratowało, gdy napływ srogich klęsk ich rozdziela. Uczucie braterstwa między Słowianami wszelkich stanów i rozmaitego stopnia oświaty, jest mocniejsze niż u któregoś innego narodu,— chociaż, niestety! rzeczywistych tego dowodów dotąd nieoglądamy. Przecież wiekuista Opatrzność wie co potem będzie!

Chcielibyście poznać duch, charakter, oświatę, narodowe i naukowe życie Czechów i Morawian. Bardzo dobrze;— ale jakże trudno dać jasne wyobrażenie o tém wszystkiem Słowianinowi, który nie był pod wpływem rządów Niemieckich! który choć przez krótki przeciąg czasu nieżył w otaczającej nas atmosferze! Jak to trudno, dowodzi powszechnie u was panujące najopaczniejsze pojęcie o nas (albo bardzo złe, albo z przesadą dobre). Wynikiem téj trudności jest także to, że we wszystkich książkach Polskich o historii powszechnej traktujących, całe dzieje Czech skupiają się na jednej małej kartce, żywcem z Niemieckiego lub Francuzkiego przetłómaczonéj. (Na potwierdzenie tego co mówię, przytaczam: *Wychowanie macierzyńskie*, tomik VIII, *Hist. Powsz.* Warsz. 1847, str. 171). A przecież Czechy są basztą Słowiańską najdalej ku zachodowi w Europie posuniętą; ich tysiąco-letnia historia— to cała olbrzymia tragedia, której katastrofę my biedni przeżyliśmy, zapomnieni od braci, potępieni i uciemiężeni przez tych, którym szczęście dało panowanie nad nami.

Naród Czeski niema teraz innych przedstawicieli, prócz swoich uczonych, którzy wprawdzie niemałe zasługi położyli dla Słowiańszczyzny, lecz w składzie teraźniejszego społeczeństwa wielkiego znaczenia mieć niemoga. Wszelako przez to jedno zasługuje ten lud, aby jego losem zajęły się inne narody Słowiańskiego szczepu, nielicząc już prac na korzyść Europejskiej oświaty w minionych wiekach podjętych. Szlachty u nas niema: za nas została wypędzona; ta co ocalała, cudzym bogom pali kadzidła, i tём samém nie jest Czeską.

Niechę was nudzić długim spisem naszych biéd i niedostatków. Zresztą, jakem napomknął, niełatwa to rzecz wyjaśnić od razu wszystkie stosunki w jakich teraz zostajemy; poprzestanę tylko na wyliczeniu tego, z czego się może da choć zdaleka osądzić teraźniejszy stan naszego piśmiennictwa i zakładów naukowych.

Literatura Czeska, mająca teraz swoich opiekunów tylko w średnim stanie społeczeństwa, w małym mieszczaństwie i kmeńcu, dzieli się na naukową i popularną, przy których stoi niebardzo kwitnąca teraz literatura nadobna. Co do dzieł naukowych, śmiało rzec można, że jeśli nie co do ilości, to pewnie co do znajomości rzeczy i dokładności, dzieła te wyrównują wszystkim innym w Europejskich językach pisany. Prace naszych uczonych w przedmiocie historyi, filologii, nauk przyrodzonych i t. p. znalazłyby wszędzie godne siebie ocenienie, pochwały, nagrody i zaszczyty;— u nas nieczém się nieopłacają: lud za biédny aby mógł wynagrodzić zasługi tego rodzaju, przyjmuje je jako dar z serdeczném: „Bóg zapłać!“ i kształci się na nich; bogata część odszczepieńców, to jawni lub skryci nieprzyjaciele,— im nic do tego wszystkiego, dla nich literatura narodowa nie istnieje. Popularna część literatury jest powszednim chlebem jądra narodu, prostego ludu, o ile mu przystępne życie umysłowe,— z pociechą widzimy tu coraz lepsze powodzenie. Do dzieł popularnych

zaliczamy pisma mające na celu rozwiązanie trudnego zagadnienia— uczynić przystępnymi ogółowi nauki ścisłe. Literatura nadobna, co właściwą literaturę stanowi, u nas teraz bardzo uboga, i niemoże się podnieść od czasu rozruchów r. 1848, głównie dla tego, że wszystkie potężniejsze siły są rozerwane, lub wciśnięte naukowym zawodem czynność swą rozwijają. Przyczyną tego są nasze teraźniejsze towarzyskie stosunki.

Teraz powiem jeszcze kilka słów o zakładach mających za cel rozwijanie literatury i w ogólności oświaty w duchu narodowym. Na pierwszym miejscu stoi Matica Czeska, t. j. fundusz przeznaczony na wydawanie dzieł Czeskich poważnej i literackiej wartości; rządzi się przez obranych członków z Muzeum Czeskiego. Kto złoży jednorazowie 50 zł. R., nabywa prawo do odbierania darmo przez całe życie wszystkich dzieł przez Maticę wydawanych. Fundusz jój w kapitałach i materyałach (t. j. książkach) wynosi obecnie 90,000 zł. R.; każde dzieło musi się odbijać w 4,000 exemplarzy dla obdzielenia wszystkich członków żyjących. Drugim podobnym zakładem jest Dziedzictwo św. Jana Nepomucena w Pradze: jest to stowarzyszenie dla wydawania książek katolickich, popularnych; nieskłada kapitałów, ale wydaje swe dzieła teraz już w 10,000 exemplarzy. Trzecim jest Dziedzictwo św. Cyrylla i Metodyusza w Bernie, podobne do Dziedzictwa Świętojańskiego; wydaje dzieła katolickie popularne po czesku, także w wielu tysiącach exemplarzy. Publiczne zakłady naukowe i towarzystwa, jak Muzeum Czeskie, Królewsko Czeskie towarzystwo nauk, Towarzystwo muzyki kościelnej,— tylko po części mają wzgląd na duchowe potrzeby narodu; większa liczba innych działa prawie wyłącznie w duchu Niemieckim. O tём wszystkiém potrzeba by dużo pisać; lecz muszę tu tylko na szkieletcie poprzestać. Co mamy, to mamy sami przez siebie; nikt na świecie niepodaje nam ręki pomocy: a że nasze siły ograniczone, więc nie dziw że mało mamy. Wszakże nikt naszemu pokoleniu nie-

może i niebędzie mógł robić wyrzutu, że zaniedbało wykonanie powinności względem siebie i swoich rodaków.

Na końcu pozwalam sobie zrobić uwagę tyczącą się rzeczy praktycznej, t. j. czytania dzieł Czeskich. Niewątpię, że się znajduje między literatami Polskimi niejeden, który chętnie pragnie z czytania dzieł Czeskich poznać ducha naszej literatury. Wprawdzie nieznajomość wymawiania podług naszej ortografii, tudzież rozmaite znaczenie wyrazów, odbiera chęć do ślęczenia, témbardziej, że niekażdemu dano trafnym domysłem dochodzić sensu tego, co czyta;—wszakże przy jednakowej prawie grammatycznej budowie języków Polskiego i Czeskiego, potrzeba nam tylko trochę leksykalnych wiadomości, aby wzajemnie z łatwością jeden i drugi język czytać i rozumieć. Dobrą ku temu pomocą może być *Słowniczek Polsko-Czeski* przez Podstrańskiego, wydany w Pradze Czeskiej u Wacława Hessa, 1852 r.; słowniczek ten kosztuje 1 zł. R. 50 kr. i znajduje się we wszystkich księgarniach Pragskich. Część *Czesko-Polska*, niestety, niewyszła dotąd, z obawy nakładcy, że nieznajdzie kupujących *). Pomiedzy literatami naszymi nie masz prawie ani jednego, któryby choć czytać po polsku z łatwością nieumiał. Polskie książki byłyby u nas daleko więcej rozszerzone, gdyby temu nieprzeszkadzała niesłychanie wysoka ich cena handlarska **). Jedynie w bezpośredniem czytaniu dzieł narodu pobratymczego, jest zrozumienie jego ducha oraz szczerza wzajemność literacka i braterska; artykuły dziennikarskie mogą tylko być ułatwieniem stosunków pod tym względem, lecz zawsze tylko podrzędne zajmą miejsce....

*) Wydanie téj pracy P. Podstrańskiego właściwie należy do naszych księgarzy: słownik bowiem *Czesko-Polski* potrzebniejszy jest Polakom niż Czechom. Spodziewamy się, że który z naszych Wileńskich lub Warszawskich wydawców nieomieszką zająć się tą rzeczą, i z góry rokujemy mu powodzenie, gdy nakoniec obudziło się w nas zacne zamięszanie się współplemiennymi narodami. (Przyp. Red.)

*) Jestto, niestety, aż nadto słuszne wyrzekanie: u nas nawet bibulaste książki sprzedają się po przedpotopowych cenach! (Przyp. Red.)

